

BIULETYN IPN

nr 3/2012

pamięć **POL**

35 procent wolności – wybory '89

Palmiry – miejsce straceń

Celebryci i Solidarność



**Piłka nożna i polityka:
„Dokopać Ruskim!”**

Cena 6 zł (5%VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

**Dodatek specjalny:
Reprint plakatu wyborczego
Solidarności autorstwa
Tomasza Sarneckiego**

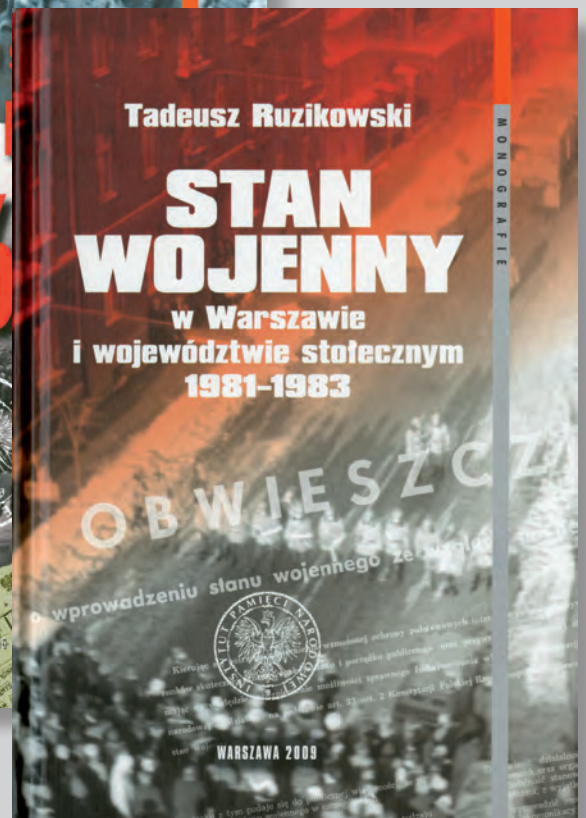
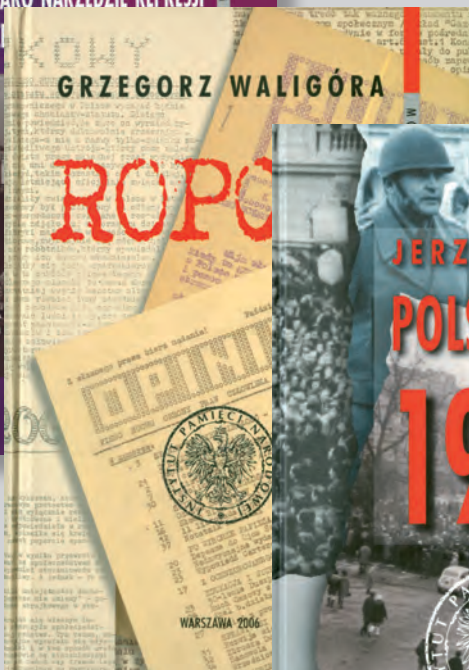
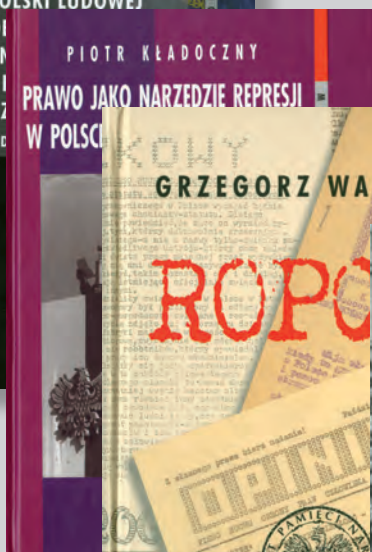
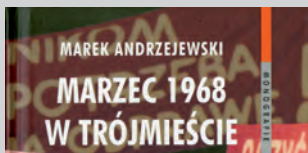


PROJEKT **BIBLIOTEKA NA TO CZEKA** WYSYŁKA PUBLIKACJI HISTORYCZNYCH DO BIBLIOTEK

Instytut Pamięci Narodowej oferuje bibliotekom publicznym bezpłatne pakiety 20 publikacji historycznych dotyczących XX-wiecznych dziejów Polski. Szczegółowe informacje znajdują się na stronie www.ipn.gov.pl

Partnerami projektu są
Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich
oraz biblioteki wojewódzkie w całym kraju.

SBP STOWARZYSZENIE
BIBLIOTEKARZY
POLSKICH



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**



- 3** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

- 8** Maciej Rosalak,
Na Wasz apel, Towarzyszu Gierek!

STOPKLATKA

- 10** Radosław Poboży, Do przerwy 1:1

WYWIAD

- 13** Historia w obrazkach
rozmowa z Tomaszem Łabuszewskim
i Sławomirem Zajączkowskim

Z ARCHIWUM IPN

- 18** Grzegorz Wołk, Sprawa obiektowa

PIŁKA NOŻNA I POLITYKA

- 20** Mariusz Żuławnik, „Dokopać Ruskim”
- 24** Jacek Słoma, Gdy Lechia Gdańsk
grała z Juventusem Turyn

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 27** Mikołaj Getka-Kenig,
Przemienić brylanty w traktory
- 30** Maria Wardzyńska,
Palmiry – miejsce masowych straceń
- 34** Filip Gańczak, Muzeum, jakich mało
- 36** Patryk Pleskot, Solidarni z Solidarnością
- 40** Paulina Codogni, 35 procent demokracji
- 45** Antoni Dudek, Czerwcowy plebiscyt



Ilustracja z komiksu Wilcze tropy



Fot. PAP/Stephen K. Proszewski



Fot. Jerzy Koźnik/FORUM



Fot. Erasm Ciolek



Fot. Rajca Marek / FilMOTEKA Narodowa

Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO

- 48** Piotr Byszewski, Akcja „Poronin”

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

- 53** Jerzy Eisler, Poznań '56

Z BRONIĄ W RĘKĘ

- 56** Michał Mackiewicz, MORS znaczy śmierć,
polski pistolet maszynowy wz.39

ORZEŁ BIAŁY

- 59** Tomasz Zawistowski, Orły polskich
lotników na tle narodowej symboliki
Royal Air Force

MIEJSCA Z HISTORIĄ

- 62** Tomasz Stańczyk, Z Pruszkowa
do Moskwy przez Włochy

EDUKACJA HISTORYCZNA

- 65** Katarzyna Florczyk, Marta Szczesiak-Ślusarek,
Uczniowie piszą historię

- 68** HISTORIA NA PLANSZY
Karol Madaj, Powstanie Warszawskie
w wersji soft

70 RECENZJE

72 BIBLIOTEKA IPN

PROSTO Z NAJWESELSZEGO BARAKU...

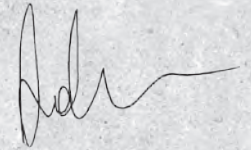
- 73** Szczyt rozrzutności: podłożyć komuś świnie...

Szanowni Czytelnicy!

Przed finałami Euro 2012 wielu zastanawiało się, czy ewentualne sukcesy reprezentacji Grecji wpłyną na poprawę sytuacji społeczno-politycznej w tym kraju. W historii władza często wykorzystywała „igrzyska” jako katalizator napięć wewnętrznych, a poddani/obywatele – jako okazję do zmanifestowania swego niezadowolenia. Także w XX wieku reżimy totalitarne (choć nie tylko) nieraz wykorzystywały sport do przypudrowania złowrogiego oblicza systemu i odwrócenia uwagi obywateli od innych spraw. Dla tych ostatnich sport i kibicowanie nie rzadko były zamiennikiem rywalizacji pomiędzy państwami, czasem wręcz derywatem konfliktu zbrojnego. Na przykład w 1957 roku, kiedy Polacy grali ze Związkiem Radzieckim. „Dokopać Ruskim” – o czym pisze w tym numerze Mariusz Żulawnik – znacząco wówczas dla Polaków odegrać się (choć trochę) za sowietyzację, szarpnąć łańcuchy „wielkiego brata”. Kibice piłkarscy mają też swój wkład w działalność opozycyjną. Jacek Słoma przypomina

o niepokornych kibicach Lechii Gdańsk (z Lechem Wałęsą na czele), którzy byli solą w oku SB. Choć ich działania często były widowiskowe i odbijały się echem na arenie międzynarodowej, mimo wszystko jednak były mniej ryzykowne niż niektóre przedsięwzięcia opozycji niepodległościowej. Przykład takiej niebezpiecznej akcji opisuje Piotr Byszewski w artykule o zamachu na pomnik i muzeum wodza rewolucji w Poroninie. W numerze 3 „Pamięci.pl” przypominamy też wydarzenia roku 1989 (zapewne wielu kibiców skojarzyłoby tę datę ze zdobyciem mistrzostwa Polski przez Ruch Chorzów), które rozpoczęły ostatni etap polskiej drogi do niepodległości i demokracji. O zawirowaniach wokół „okrągłego stołu” i wyborów czerwcowych piszą w swoich artykułach Paulina Codogni i Antoni Dudek. Pamiętamy także o ofiarach zbrodni w Palmirach, gdzie hitlerowcy wymordowali prawie 2 tys. przedstawicieli inteligencji polskiej.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Naukowa:
dr hab. Grzegorz Berendt,
dr hab. Krzysztof Szwagrzyk,
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,
dr Maciej Korcuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,
dr Joanna Żelazko

Kolegium redakcyjne:
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,
Andrzej Krajewski, Jan Olszak,
Kamila Sachnowska, Paweł Sasanka,
Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. (22) 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka

Korekta:
Magdalena Baj, Anna Kaniewska

Projekt graficzny:
Krzysztof Findziński, Marcin Koc,
Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna:
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:
Sylwia Szafrąńska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Drukarnia Edit Sp. z o.o.
ul. Inwalidów Wojennych 14, 05-400 Otwock

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

OBLAWA AUGUSTOWSKA

Latem 1945 roku jak kamień w wodę przepadło około sześćset mieszkańców Suwalszczyzny, którym Sowieci przypisywali związku z polskim podziemiem niepodległościowym. Dziś nie ma wątpliwości, że wszystkie zaginione osoby zostały zgładzone przez NKWD. Wydarzenia te, nazywane czasem „małym Katyniem”, były największą zbrodnią popełnioną na Polakach po zakończeniu II wojny światowej w Europie. Anna Pyżewska pisze o przebiegu obławy augustowskiej i wciąż otwartych pytaniach. Rodziny ofiar nadal bowiem nie wiedzą, gdzie spoczęły ciała ich bliskich.



Fot. AIPN

Z PROF. GRZEGORZEM MOTYKĄ O WOŁYNIU

Lipiec 1943 roku to apogeum rzezi wołyńskiej – czystek etnicznych dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej. W sumie w latach 1943–1947 z rąk OUN-B/UPA zginęło ok. 100 tys. Polaków. Jak doszło do fali krwawych zbrodni? Czy można je nazywać ludobójstwem? Jak oceniać polski odwet? Dlaczego polsko-ukraińska przeszłość do dziś budzi tak duże spory i emocje? O tych trudnych sprawach rozmawiamy z prof. Grzegorzem Motyką, wybitnym znawcą historii polsko-ukraińskiej.



Fot. P. Życieński

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.pamiec.pl

■ IPN przyznał po raz kolejny nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”. Uroczystość wręczenia statuetek odbyła się 31 maja na Zamku Królewskim w Warszawie.



Fot. P. Życieński

Nagroda, ustanowiona w 2002 roku z inicjatywy dr. hab. Janusza Kurtyki, przyznawana jest instytucjom, organizacjom społecznym i osobom fizycznym za szczególnie aktywny wkład w upamiętnienie historii Polski w latach 1939-1989 oraz za działalność

publiczną zbieżną z ustawowymi celami Instytutu Pamięci Narodowej. Tegoroczni laureaci to:

■ **Julien Bryan** (pośmiertnie) – amerykański fotograf, filmowiec i pisarz, który we wrześniu 1939 roku wykonał pierwsze kolorowe fotografie wojny w Polsce. Zawdzięczamy mu bogaty materiał dokumentujący życie walczącej Warszawy i niemieckie zbrodnie. Film *Oblężenie*, zrealizowany na podstawie materiałów Bryana, obejrzało w czasie wojny ponad 40 mln ludzi na całym świecie.

■ **Zygmunt Goławski** – podczas wojny żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, a w latach 1944–1946 więzień łagrów. W komunistycznej Polsce działał w opozycji demokratycznej, m.in. w ROPCio. Współtworzył podlaską Solidarność. Był inicjatorem utworzenia Związku Sybiraków w Siedlcach, jest autorem Ściany Katyńskiej w siedleckim kościele św. Stanisława.

■ **Urszula Łukomska** – nauczycielka historii, pomysłodawczyni Izby Pamięci w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Złoczewie, w której zgromadziła materiały dotyczące tragicznych losów tej miejscowości w 1939 roku. Urządza wystawy i prowadzi lekcje muzealne. Organizuje spotkania z kombatanami, byłymi więźniami obozów koncentracyjnych i Sybirakami. Popularyzuje historię wśród młodzieży.

■ **Dieter Schenk** – autor książek, które przybliżyły niemieckim czytelnikom zbrodnie na narodzie polskim podczas II wojny światowej, m.in. *Poczta Polska w Gdańsku: dzieje pewnego niemieckiego zabójstwa sądowego*, *Albert Forster – gdański namiestnik Hitlera*, *Hans Frank. Biografia generalnego gubernatora* oraz *Noc morderców. Każdą polskich profesorów we Lwowie i Holokaust w Galicji Wschodniej*. Przyczynił się do sądowej rehabilitacji w RFN polskich pocztowców zamordowanych w 1939 roku. Jest honorowym obywatelem Gdańska i profesorem honorowym Uniwersytetu Łódzkiego.

■ **Stowarzyszenie „Memorial”** – niezależna rosyjska organizacja, zajmująca się dokumentowaniem i upowszechnianiem wiedzy o ofiarach represji komunistycznych oraz ochroną praw człowieka w Rosji i krajach b. ZSRR. W ramach stowarzyszenia działa Komisja Polska, która m.in. prowadzi badania nad Zbrodnią Katyńską i działa na rzecz sądowej rehabilitacji jej ofiar. Dzięki „Memorialowi” Polacy uzyskali dostęp do wielu dokumentów z archiwów byłego ZSRR, choćby dotyczących kulis tzw. oblawy augustowskiej w 1945 roku.

„Ojczysty Panteon” obowiązkowy

Wątek tematyczny „Ojczysty Panteon i ojczyste spory” musi być obowiązkowo uwzględniony w podręcznikach do przedmiotu historia i społeczeństwo. Minister edukacji Krystyna Szumilas podpisała rozporządzenie w tej sprawie.

Decyzję poprzedziły długie spory, a nawet protest głodowy dawnych działaczy opozycji antykomunistycznej. Nowa podstawa programowa dla szkół ponadgimnazjalnych daje nauczycielom przedmiotu historia i społeczeństwo bardzo dużą swobodę w doborze tematów. Krytycy reformy chcieli tymczasem, by aż do matury istniał kanon treści i tematów wspólnych dla wszystkich uczniów. Prof. Andrzej Nowak z Uniwersytetu Jagiellońskiego postulował, by obowiązkowym na lekcjach historii i społeczeństwa uczynić przynajmniej wątek „Ojczysty Panteon i ojczyste spory”, opisujący w pigułce polityczne dylematy Polaków od czasów przedrozbiorowych po PRL. Do niedawna wątek „Ojczysty Panteon” był jedynie zalecany przez MEN. Teraz będzie inaczej.

Prezes IPN dr Łukasz Kamiński komentuje:

Zaakceptowanie przez minister Krystynę Szumilas kompromisowej propozycji prof. Andrzeja Nowaka to decyzja, która cieszy. Ogranicza ona negatywne skutki zmiany systemu nauczania historii, w postaci zbyt wczesnego zerwania ciągłości edukacji historycznej. To także sukces obywatelskiego ruchu, który narodził się wiosną tego roku. Okazało się, że warto troszczyć się i zabiegać o sprawy publiczne. Silne jest przekonanie o znaczeniu edukacji historycznej jako jednego z najważniejszych elementów budowania poczucia tożsamości narodowej. Warto w tym miejscu przypomnieć, że IPN przed kilku laty odwoływał się właśnie do hasła „historia tworzy naszą tożsamość”. Debata wokół kwestii nauczania historii w szkołach budzi nadzieję, że zainteresowanie sprawami edukacji pozostanie żywe.

O nowej podstawie programowej do nauczania historii w szkołach ponadgimnazjalnych pisaliśmy obszernie w poprzednim numerze „Pamięci.pl”.

oprac. Filip Gańczak

KONKURS Trwa konkurs na dziennik, pamiętnik lub wspomnienia dotyczące lat osiemdziesiątych XX wieku. Szczególnie preferowany jest okres stanu wojennego. Prace muszą być dziełami indywidualnymi, niepublikowanymi nigdy w całości. Należy je nadsyłać do 31 sierpnia na adres: Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa z dopiskiem „Konkurs na wspomnienia”. Rozstrzygnięcie nastąpi w grudniu. Nagrodzone prace zostaną opublikowane przez IPN. Dodatkowych informacji udziela dyrektor BEP dr Andrzej Zawistowski: andrzej.zawistowski@ipn.gov.pl, tel. (22) 431-83-83/86.

POSTAĆ MIESIĄCA

6 czerwca 1947: W Wielkiej Brytanii zmarł Władysław Raczkiewicz, pierwszy prezydent RP na uchodźstwie.

Przed wojną był m.in. ministrem spraw wewnętrznych i marszałkiem senatu. Początkowo kojarzony z endecją, z czasem związał się z obozem piłsudczywskim. Po klęsce wrześniowej dostał się do Francji. 30 września 1939 roku zastąpił na stanowisku prezydenta internowanego w Rumunii Ignacego Mościckiego. Dzięki temu udało się zachować ciągłość polskich władz państwowych.

Raczkiewicz mianował premierem gen. Władysława Sikorskiego, który przed wojną pozostawał w opozycji do piłsudczyków. To właśnie przedwojenna opozycja szybko zyskała w emigracyjnym rządzie pozycję dominującą. Także dzięki temu, że prezydent zrezygnował z części swoich uprawnień na rzecz nowego premiera.

Władysław Raczkiewicz sprzeciwiał się podpisanemu 30 lipca 1941 roku układowi Sikorski-Majski, który nie gwarantował Polsce przedwojennych granic na



Fot. NAC

► Prezydent Władysław Raczkiewicz

Wschodzie. Prezydent uważał, że z podpisaniem układu ze Stalinem należy zacząć, a sytuacja militarna ZSRR pogorszy się na tyle, iż Związek Radziecki będzie zmuszony do ustępstw. Sikorski postawił jednak na swoim.

Po śmierci Sikorskiego (1943) pozycja polskich władz na uchodźstwie osłabła. Pod presją władz brytyjskich 30 września 1944 roku Raczkiewicz zdymisjonował ze stanowiska Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który nie chciał ustąpić Sowietom w sprawie polskich granic na Wschodzie i zarzucał zachodnim aliantom brak pomocy dla Powstania Warszawskiego.

Latem 1945 roku Wielka Brytania i USA wycofały uznanie dyplomatyczne dla władz RP na uchodźstwie. Raczkiewicz stracił resztki wpływu na polityczny kształt przyszłej Polski. Zmarł po długiej chorobie i został pochowany na Cmentarzu Lotników Polskich w Newark w Wielkiej Brytanii. Wbrew wcześniejszym ustaleniom, przed śmiercią mianował swoim następcą piłsudczyka Augusta Zaleskiego, przedwojennego ministra spraw zagranicznych. Odrzucił uzgodnionego wcześniej kandydata, Tomasa Arciszewskiego z PPS. Decyzja ta pogłębiła podziały wśród polskiej emigracji. ■

4 czerwca 1917: Prezydent Francji Raymond Poincaré wydał dekret o utworzeniu Armii Polskiej. Była to ochotnicza formacja wojskowa, mająca walczyć na froncie zachodnim przeciwko Niemcom. Od koloru mundurów nazywana była także Błękitną Armią. Główny jej trzon stanowili Polacy z Francji i USA oraz byli polscy jeńcy wojenni z armii zaborczych. Oficerami byli głównie Francuzi.

Powołanie Armii Polskiej było zasługą Romana Dmowskiego i kierowanego przez niego Komitetu Narodowego Polskiego (KNP). Pierwszym dowódcą został francuski generał Louis Archinard. 4 października 1918 roku zastąpił go gen. Józef Haller. Kilka dni wcześniej KNP uzyskał pełną kontrolę polityczną nad armią.

Z jednostek Armii Polskiej w końcowych walkach I wojny światowej zdały wziąć udział 1. Pułk Strzelców i 1. Dywizja Strzelców Polskich. Zasadniczy wzrost liczebności Błękitnej Armii nastąpił już po I wojnie światowej. Składała się wówczas z dwóch korpusów, dwóch samodzielnych dywizji strzelców, pułku czołgów i oddziałów lotniczych. Między kwietniem a czerwcem 1919 roku Błękitna Armia została przetransportowana do Polski. Liczyła wtedy ok. 70 tys. żołnierzy. Przywiozła również dużą ilość sprzętu i uzbrojenia, co umożliwiło uzbrojenie powstających w kraju jednostek Wojska Polskiego. Armia Hallera wzięła udział w wojnie polsko-ukraińskiej w Galicji-Wschodniej i na Wołyniu oraz w wojnie z bolszewikami. Odegrała ważną rolę w walce o niepodległość i kształt granic Rzeczypospolitej. We wrześniu 1919 roku została włączona w skład Wojska Polskiego. ■



Fot. AIPN

► Gen. Józef Haller

5 czerwca 1947: George Marshall, amerykański sekretarz stanu, przedstawił plan pomocy gospodarczej dla zniszczonej II wojną światową Europą (tzw. plan Marshalla). Istota programu sprowadzała się do udzielenia krajom Starego Kontynentu pomocy finansowej w formie bezzwrotnych pożyczek lub nisko oprocentowanych pożyczek długoterminowych.

Amerykanom chodziło m.in. o powstrzymanie ekspansji komunizmu w Europie. Tuż po wojnie partie komunistyczne cieszyły się bowiem wysokim poparciem choćby we Francji i Włoszech. Władze USA trafnie przewidywały, że wpływy komunistów trudno będzie ograniczyć, jeśli w krajach dotkniętych przez II wojnę światową nie uda się uzdrowić sytuacji gospodarczej.

Oficjalnie pomoc zaoferowano także ZSRR, zgodnie z przewidywaniem nie została jednak przez tamtejsze władze przyjęta. Co więcej, Związek Radziecki wymusił odrzucenie planu Marshalla na krajach, które znalazły się w sowieckiej strefie wpływów, w tym na Polsce.

Plan Marshalla objął w rezultacie tylko kilkanaście krajów zachodniej i południowej Europy. Największymi beneficjentami programu były Wielka Brytania, Francja i zachodnie Niemcy. W sumie od kwietnia 1948 do czerwca 1952 roku Amerykanie przekazali w ramach planu Marshalla ok. trzynastu miliardów dolarów pomocy (przy dzisiejszej sile nabywczej pieniądza byłoby to ponad sto miliardów).

Przez kolejne dwie dekady wiele regionów zachodniej Europy doświadczało wyjątkowo dobrej koniunktury. Przepaść w poziomie życia, dzieląca Zachód od krajów bloku wschodniego, znacząco się pogłębiała. ■

► Manifestacja pierwszomajowa w Warszawie, 1948 rok; plan Marshalla jako „odbudowa imperializmu niemieckiego”



Fot. PAP

8–14 czerwca 1987: Jan Paweł II odwiedził Polskę. Była to trzecia pielgrzymka papieża do ojczyzny i pierwsza po formalnym zniesieniu w PRL stanu wojennego.

Ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego na próżno liczyła, że Jan Paweł II będzie zachęcał rodaków do posłuszeństwa wobec władzy. „Jeśli chcecie zachować pokój, pamiętajcie o człowieku. Pamiętajcie o jego prawach, które są niezbywalne” – usłyszeli od papieża rządzący.

Podróży Jana Pawła II, zwłaszcza na Wybrzeżu, asystowały liczne siły MO, SB i ZOMO. Telewizji tym razem polecono transmitować uroczystości. Władze miały nadzieję, że dzięki temu wielu ludzi zostanie w domach. Mimo to Jana Pawła II znowu witały tłumy. Wszędzie masowo pojawiały się transparenty i symbole Solidarności.

Wymowna była wizyta papieża na grobie zamordowanego przez funkcjonariuszy SB ks. Jerzego Popiełuszki. W 1987 roku Jan Paweł II mógł też już odwiedzić Gdańsk – kolebkę Solidarności – na co władze komunistyczne nie zgodziły się cztery lata wcześniej. Papież spotkał się z Lechem Wałęsą i jego rodziną. Modlił się również przy Pomniku Poległych Stoczniovców – ofiar Grudnia 1970 roku.

Podczas mszy św. na gdańskiej Zaspie Jan Paweł II przypomniał o porozumieniach sierpniowych 1980 roku, dodając, że „pozostają wciąż aktualne”. Wywołało to entuzjazm zgromadzonych. „Opozycji i tzw. podziemiu udało się pokazać, że jeszcze istnieje. Została dowartościowana poprzez wystąpienia papieża” – przyznał gen. Czesław Kiszczak, ówczesny minister spraw wewnętrznych. ■



Fot. AIPN

▶ Jan Paweł II w Warszawie, 14 czerwca 1987 roku

Czerwiec 1947: W Rzymie ukazał się pierwszy numer „Kultury”. Wydawcą był prowadzony przez Jerzego Giedroycia Instytut Literacki. Pierwotnie pismo pomyślane było jako kwartalnik traktujący o sprawach literatury. Szybko jednak „Kultura” stała się miesięcznikiem – i najbardziej wpływowym tytułem polskiej emigracji.

Jeszcze w 1947 roku Giedroyc przeniósł redakcję do Maisons-Laffitte pod Paryżem. Zamieszkali tu także inni członkowie zespołu: Zofia i Zygmunt Hertzowie czy Józef Czapski.

Z „Kulturą” współpracowali czołowi publicyści i pisarze emigracyjni, tacy jak Gustaw Herling-Grudziński, Witold Gombrowicz czy Czesław Miłosz. Z czasem w miesięczniku pojawiły się utwory autorów krajowych, które w PRL nie miały szansy przejść przez sito cenzury – np. Zbigniewa Herberta i Marka Hłaski. Na łamach pisma publikowały również wybitne zagraniczne pióra z obu stron „żelaznej kurtyny”: Albert Camus, Borys Pasternak czy Aleksander Solżenicyn.

13 czerwca 1982: Porozumienie Solidarność Walcząca przeprowadziło we Wrocławiu pierwszą masową akcją demonstracyjną. Działająca od czerwca 1982 roku Solidarność Walcząca (SW) była radykalną antykomunistyczną organizacją podziemną. Jej inicjatorem i przewodniczącym był Kornel Morawiecki, który uznał, że po wprowadzeniu stanu wojennego i zdelegalizowaniu NSZZ „Solidarność” konieczna jest bezkompromisowa postawa wobec reżimu.

Głównym celem Morawieckiego była walka o odzyskanie przez Polskę pełnej suwerenności. „Nie wierzymy w ugodę z tą władzą i reformowanie tego systemu” – napisano w tekście programowym SW *Kim jesteśmy? O co walczymy?*.

Solidarność Walcząca nawiązywała do tradycji Armii Krajowej, miała podobną przysięgę („Rotę”), własny sztandar i podziemną pocztę. Organizacja nawoływała do masowych wystąpień ulicznych przeciwko władzom komunistycznym. Prowadziła również działalność wydawniczą, nadawała audycje radiowe.

Solidarność Walcząca była luźną federacją terenowych grup, z których najprężniejsze działały we Wrocławiu, w Trójmieście, Katowicach, Poznaniu i Rzeszowie. Do grona liderów należeli oprócz Morawieckiego Andrzej Kołodziej, Jadwiga Chmielowska, Ewa Kubasiewicz, Maciej Frankiewicz, Wojciech Myślecki, Andrzej Zarach czy Hanna Łukowska-Karniej. Morawiecki został aresztowany w listopadzie 1987 roku, a następnie deportowany z kraju. Powrócił potajemnie w sierpniu następnego roku, lecz nadal musiał się ukrywać.

Solidarność Walcząca odrzuciła ustalenia „okrągłego stołu” i nawoływała do bojkotu częściowo wolnych wyborów, które odbyły się w czerwcu 1989 roku na mocy porozumienia władz z umiarkowaną opozycją. Zorganizowała także akcję „Jaruzelski musi odejść”, bezskutecznie próbując nie dopuścić do wyboru generała na prezydenta PRL.

W czerwcu 2007 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył kilkudziesięciu działaczy SW wysokimi orderami państwowymi. ■



Fot. AIPN

▶ Manifestacja zorganizowana przez Solidarność Walcząca

„Kultura” była przemykana do kraju, czytana przez opozycjonistów i intensywnie rozpracowywana przez Służbę Bezpieczeństwa PRL. Skromna redakcja w Maisons-Laffitte stała się ważnym ośrodkiem polityczno-kulturalnym polskiej emigracji. Giedroyc chciał Polski niepodległej, wolnej od nacjonalizmu i klerikalizmu. Skutecznie promował kandydatury Czesława Miłosza i Lecha Wałęsy do Nagrody Nobla. Jednocześnie mocno wspierał w walce o suwerenność, demokratyzację i emancypację sąsiednie narody ukraiński, litewski i białoruski. „Kultura” ukazywała się do śmierci Jerzego Giedroycia w 2000 roku. ■



29 czerwca 1914 roku

„Tragiczna wieść wstrząsnęła państwem i jego ludnością. Z ręki morderców padł Następca tronu i jego Małżonka. Nie ma nikogo, kogo by do głębi nie wzruszyła ta tragedia człowieka i dynastii” – z głębokim żalem pisano w nadzwyczajnym dodatku do krakowskiego „Czasu” nr 251 z 29 czerwca 1914 roku. Dodatek ukazał się w sprzedaży nazajutrz po zamachu na następcę tronu Austro-Węgier, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, do którego doszło w Sarajewie, stolicy Bośni i Hercegowiny. Wieść o zabójstwie Habsburga rozeszła się po imperium lotem błyskawicy. Oczekujący najświeższych informacji czytelnicy dziennika mogli zapoznać się m.in. z zamieszczonym na jego łamach telegramem C.K. Biura Korespondencyjnego, zawierającym opis całego zdarzenia: „Gdy Następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand z małżonką księżną Zofią Hohenberg jechał dziś przed południem autobilem, rzucono na automobil bombę. Arcyksiążę odrzucił bombę ręką. Bomba eksplodowała obok samochodu. Jadący w drugim samochodzie hr. Boos Waldegg i adiutant przyboczny szefa rządu podpułkownik Marizzi odnieśli lekkie rany. Z publiczności sześć osób odniosło lżejsze lub cięższe rany”. Dziennik informował swoich odbiorców nie tylko o reakcjach Wiednia i Budapesztu na tę tragiczną wieść, ale także o kondolencjach składanych przez przedstawicieli europejskich państw oraz o schwytaniu zabójców. Redakcja zastanawiała się też nad ewentualnymi skutkami zamachu: „Przewidujemy, że zbrodnia w Sarajewie będzie miała doniosłe skutki. Nie jesteśmy jeszcze w stanie ich objąć”. Nikt wówczas nie mógł wiedzieć, że zabójstwo arcyksięcia stanie się bezpośrednią przyczyną wybuchu I wojny światowej.

23 czerwca 1921 roku

Rok po niekorzystnym dla Polski plebiscycie na Powiślu, Warmii i Mazurach „Gazeta Olsztyńska” nr 142 z 23 czerwca 1921 roku podjęła niezwykle istotny temat, jakim była sytuacja Polaków w Prusach Wschodnich. W obszernym artykule *Pogląd na życie polskie na Warmii* pisano: „Zdawało się w pierwszych tygodniach po plebiscycie, że równocześnie z niesprawiedliwie zdobytym «zwycięstwem» niemieckim, na Warmii i sąsiednich terenach zginie na zawsze duch polski lub przynajmniej pozostanie długi czas w uśpieniu”. Tymczasem, na co zwrócił uwagę organ prasowy Związku Polaków w Prusach Wschodnich, sytuacja wyglądała zgoła odmiennie. A to wszystko za sprawą towarzystw ludowych, których celem było „powszerzenie religijności, moralności i oświaty, krzewienie cnót narodowych, obywatelskich i domowych, rozpoznawanie własnej ziemi, własnych praw, swobód i obowiązków, dalej bliższe zapoznanie się z własnym stanem, zawodem i przemysłem, a w końcu pielęgnowanie życia towarzyskiego, jedności i zgody”. To one w dużej mierze przyczyniały się do podtrzymywania polskości na Warmii i Mazurach. Dlatego też redakcja wzywała do zakładania kolejnych placówek tego typu. Przy okazji apelowała do władz i mieszkańców Rzeczypospolitej, aby nie zapominali o rodakach zza niemieckiej granicy i podejmowali różnorakie działania zmierzające do ich ochrony przed germanizacją. Artykuł ukazał się w chwili, gdy Polacy pracujący m.in. w Berlinie, Wrocławiu, Saksonii i Westfalii byli siłą wydalani z fabryk, a następnie zmuszani do wyjazdu z Niemiec.



22 czerwca 1941 roku

Następstwa zdrady Moskwy – to tytuł z pierwszej strony nadzwyczajnego wydania „Gońca Krakowskiego” nr 144 z 22 czerwca 1941 roku. Specjalny numer gadzinówki ukazał się w dniu ataku III Rzeszy Niemieckiej na Związek Radziecki. Znaczną część łamów zajęła nota niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych do rządu sowieckiego w Moskwie oraz proklamacja Adolfa Hitlera do narodu niemieckiego, wydana w pierwszym dniu walk. Rozpoczęcie wojny ze Związkiem Sowieckim tłumaczono pogwałceniem warunków układu o nieagresji, zawartego między oboma państwami 23 sierpnia 1939 roku. Oczywiście, jako strona, która nie przestrzegала postanowień paktu Ribbentrop–Mołotow, przedstawiani byli Sowieci: „Rząd Rzeszy wypełnił zarówno literalnie, jak i merytorycznie układ, zawarty ze Związkiem Sowieckim, a ponadto dopomógł Związkowi Sowieckim przez pokonanie Polski, a więc przez ofiarę krwi niemieckiej, do uzyskania największego, od chwili jego powstania, sukcesu polityki zagranicznej. Tylko przez życzliwą niemiecką politykę wobec Rosji i przez potężne zwycięstwa niemieckich sił zbrojnych było to możliwe”. Tłumacząc decyzję ataku na dotychczasowego sojusznika, kanclerz III Rzeszy stwierdził, że „żydowsko-bolszewicy potentaci w Moskwie bez skrupułów podjęli próbę narzucenia nam i innym europejskim narodom swojego panowania, i to nie tylko w znaczeniu ideowym, ale przede wszystkim także w znaczeniu wojskowym i politycznym. Skutkami tej działalności reżimu moskiewskiego były jednak we wszystkich krajach jedynie chaos, nędza i głód”. W kolejnych numerach „Gońca Krakowskiego” kontynuowano propagandę antysowiecką, kreując Niemcy na jedyńskich obrońców Europy przed zalewem komunizmu.



POGRZEB OSTATNIEJ NADZIEI

Rehabilitować Kaszubów — czy rehabilitować się przed Kaszubami?

BOGDAN DOPIERAŁA

W piśmie „Ziemia i Morze” nr 19 z 1 czerwca 1957 roku zamieszczono artykuł...

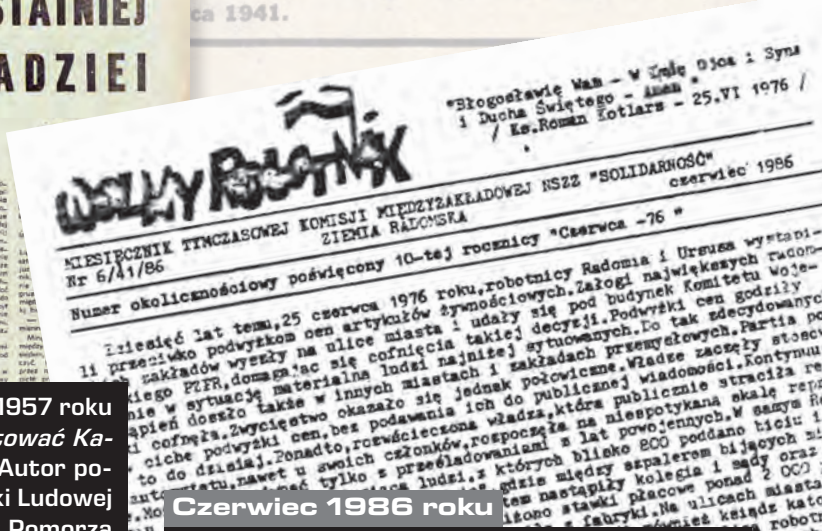
1 czerwca 1957 roku

W piśmie „Ziemia i Morze” nr 19 z 1 czerwca 1957 roku zamieszczono artykuł Bogdana Dopierala *Rehabilitować Kaszubów — czy rehabilitować się przed Kaszubami?* Autor poruszył kwestię stosunku władz i mieszkańców Polski Ludowej do rdzennych mieszkańców wschodnich powiatów Pomorza Zachodniego — ofiar prześladowań hitlerowskich, których po II wojnie światowej często wspólnie z Niemcami deportowano na Zachód. Dla komunistów wszystko, co kaszubskie, było albo „faszystowskie”, albo „germańskie”. Dopierała pisał: „Dzisiaj bijemy z tego powodu na alarm. Dzisiaj usiłujemy naprawić jeszcze to zło, które można naprawić. Lecz czy robimy wszystko? Wydaje się, iż dużo krzywd naprawiamy teraz na polu gospodarczym czy w naszej polityce administracyjnej, zwłaszcza w radach narodowych. To jednak nie może nas zadowolić. Naprawa krzywd musi objąć także dziedzinę dziejów ludności kaszubskiej. Nie wolno niepomniąc pokrywać nazwisk ich przywódców, dlatego że było wśród nich tylu księży i ludzi o poglądach dalekich od komunizmu”. Na postawione w tytule pytanie autor odpowiedział, że to nie Kaszubów powinno się rehabilitować, ale rehabilitować przed Kaszubami powinni się sami „Polacy spod Warszawy, Lublina czy Krakowa”. W jaki sposób? Prowadząc badania naukowe nad ich dziejami, nazywając szkoły i ulice nazwiskami ich przywódców, stawiając ich jako wzór godny naśladowania, a także dokumentując wspomnienia żyjących jeszcze świadków wielu wydarzeń historycznych, związanych z tą częścią powojennej Polski. Dopierała apelował na łamach szczecińskiego tygodnika: „Nie żałujmy na to ani czasu, ani środków pieniężnych. Jest to obowiązek, którego zaniedbania nie mogłyby nam wybaczyć przyszłe pokolenia”.

Wydanie nadzwyczajne
NIEMIEC KRAKOWSKI
20 gr.
Kraków, niedziela 22 czerwca 1941.

Przebieg zdrady Moskwy.

... przeciw bolszewizmowi od Przyłodka Północnego Czarnego. — Nieprzyjazna koncentracja wojsk i nie...
... naruszenie granicy. — Walka o zachowanie...



Czerwiec 1986 roku

„Dziesięć lat temu, 25 czerwca 1976 roku, robotnicy Radomia i Ursusa wystąpili przeciwko podwyżkom cen artykułów żywnościowych. Załogi największych radomskich zakładów wyszły na ulice miasta i udały się pod budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR, domagając się cofnięcia takiej decyzji” — przypomniano w artykule wstępnym „Wolnego Robotnika” nr 6 z czerwca (brak daty dziennej) 1986 roku. W ten sposób wydawany w „drugim obiegu” miesięcznik Tymczasowej Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” Ziemia Radomska pragnął uczcić okrągły jubileusz robotniczych protestów, które na mniejszą skalę objęły także Płock. „W samym Radomiu aresztowano około tysiąca ludzi, z których blisko 800 poddano biciu i torturom w osławionych »ścieżkach zdrowia«, gdzie między szpalerm bijących milicjantów i ubeków przepuszczano ofiary. Potem nastąpiły kolegia i sądy oraz zwolnienia z pracy. Zwolniono z pracy lub obniżono stawki płacowe ponad 2000 pracowników. Niektórym tylko za wyjście na chwilę z fabryki” — pisano we wstępniku. W dalszej części poświęcono kilka zdań Komitetowi Obrony Robotników, którego powstanie „uświadomiło konieczność solidarnej walki z systemem wszystkich warstw społecznych w kraju, robotników w łączności z inteligencją, chłopów, rzemieślników, naukowców. Bo wszystkim w równej mierze politycznie i ekonomicznie dokuza system. Bo walka o niepodległość musi składać się z walki o prawa obywatelskie, prawa wolności związkowych, prawa poszanowania sumienia i wyznania, prawa o autentyczną narodową kulturę, o uczciwą niezakłamaną historię”. Artykuł zakończono słowami: „Ta walka będzie trwać do pełnego i całkowitego zwycięstwa”.

dr Mariusz Żuławnik — historyk, zastępca naczelnika Wydziału Ewidencji BiUd IPN

... 25 czerwca 1976 roku, robotnicy Radomia i Ursusa wystąpili przeciwko podwyżkom cen artykułów żywnościowych. Załogi największych radomskich zakładów wyszły na ulice miasta i udały się pod budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR, domagając się cofnięcia takiej decyzji...

Na Wasz apel, Towarzyszu Gierek!

Maciej Rosalak

Karierę dziennikarską zaczynałem jako reporter miejski „Kuriera Polskiego”. Było to w pierwszej połowie epoki towarzysza Gierka, kiedy to Polska „rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Sympatyczna redakcja, czas kolorowy jak telewizja Szczepańskiego, a przede wszystkim młodość, siła i zdrowie sprzyjały radosnemu spojrzeniu na świat. Czasem jednak coś mąciło świetlany obraz...

Oto zdarzenie błahe, na pozór niewarte aż poematu, powiedziałby Tuwim. Prywatni taksówkarze warszawscy na legalnym zebraniu z udziałem towarzyszy ojców miasta i milicji drogowej (to się nazywało: Wydział Kontroli Ruchu Drogowego Komendy Stołecznej MO) radzą, co by tu na swoim odcinku, wiecie rozumiecie, poprawić. Bo ogólnie jest dobrze, ale chodzi przecież o to, by było jeszcze lepiej. Więc dyskusja – jak trzeba – z gospodarską troską o wspólne dobro, odpowiedzialna, wszystko pod kontrolą. Aż tu młodzi zaczynają rzecz traktować serio.

Jeden wstaje i od razu zaczyna o jeden ton za wysoko: „Koledzy! Na postojach ustawiajmy się jeden tuż za drugim, zderzak w zderzak! Inaczej ciągle wypychać się będą między nas nieuprawnieni kierowcy i zabierać nam zarobek. Na milicję specjalnie nie liczymy. Sami róbmy porządek. Powiadam: zderzak w zderzak, zderzak w zderzak!”

Ten „zderzak w zderzak” brzmiał jak wezwanie do boju i trafił do słuchaczy. Rozległy się rześiste oklaski. Ale nie wszystkim udzielił się entuzjazm. Za stołem przydzielonym nikt nie klaskał. Komendant WKRD KS MO, gruby i czerwony, poczerwieniał jeszcze bardziej. Chwilę milczał, a potem – dobitnie cedząc słowa – oświadczył, że kodeks drogowy dokładnie reguluje od-

stępy między pojazdami na postojach, więc żadne tam „zderzak w zderzak” nie będzie tolerowane, a kto się nie zastosuje, otrzyma mandat, a jak się będzie upierał, to straci licencję.

Zapadła cisza. Grobowa. Wszyscy zrozumieli, ja także, że nie chodzi o kilkanaście centymetrów mniej czy więcej między zderzakami. Nie chodzi o samą grę. Chodzi o to, kto ustala jej zasady.

Innym razem dowiedziałem się, że młody chłopak z Instytutu Lotnictwa sam zbudował samolot, bo mu w instytucie odmówiono pomocy. Przed wojną Rogalski, Wigura i Drzewiecki montowali pierwsze RWD w piwnicy pod politechniką, a tu mamy godnego następcę, tylko ten, kto powinien, nie chce się na nim poznać. Napisałem o tym do „Kuriera”, dali to na pierwszą stronę, i... się zaczęło.

Zaprosili mnie do instytutu, a tu cała przerażona dyrekcja zaczęła przekonywać – trochę grożąc, trochę prosząc – żebym dał sobie spokój z młodym konstruktorem, bo oni mają plany, wytyczne Biura i Rządu oraz zadania w ramach RWPG. „My chłopakowi pomożemy, zbadamy i zalegalizujemy jego samolot, będzie mógł na nim latać, dostanie samodzielną pracę w biurze konstrukcyjnym, tylko ciszej, bo to sprawa polityczna” – przekonywali mnie, bojąc się wprost powiedzieć, że Sowieci zabraniają nam wielu samodzielnych prac projektowych.

Jeśli chodzi o chłopaka, to – o ile wiem – dotrzymali słowa i pomogli mu. Mnie też pomogli... zrozumieć, na czym polega wieczna przyjaźń i współpraca Polski Ludowej ze Związkiem Radzieckim.

Nie wszystko wynikało wprost z przyjaźni i współpracy polsko-radzieckiej. Na przykład konstrukcja płyty nad składzikiem zużytych akumulatorów w zajezdni tramwajowej na Woli, którą opisałem w rubryce „Baśka pracuje”, była dość samoistnym i twórczym wkładem Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w rozwój techniki. Chodziło o szczelne przykrycie wybetonowanej dziury w ziemi. Ktoś poło-



żył na niej płytę ważącą przynajmniej pół tony. Ktoś następny, zamiast oddać ją na złom, a znaleźć inną dostatecznie lekką, aby dawała się unieść zwykłemu człowiekowi, wpadł na pomysł montażu bloku dźwigającego. Zmontowano, ale okazał się za słaby. Zlecono więc opracowanie projektu zespołowi inżynierów, który po kilkutygodniowej pracy przedstawił zarys całego systemu bloków i łańcuchów napędzanych motorami oraz konstrukcji wspierającej.

Maszynę ustawiano kilka miesięcy. Aż wreszcie włączono motory, łańcuchy napięły się i ruszyły, bloki zaczęły się kręcić, stopniowo przenosząc siłę na następne. Po kilku minutach straszliwa płyta drgnęła, uchyliła się, a po kwadransie całkiem otworzyła. Wsunęto do dziury zardzewiały akumulator i całą operację powtórzono, ale na odwrót, by płytę zamknąć. Po godzinie szczęk żelastwa i brawa obwieściły triumfalny koniec operacji.

Po publikacji dyrekcja MZK rozpoczęła poszukiwanie winnego. Ale nie

winnego całej tej kosztownej bzdury, tylko tego, kto doniósł o niej gazecie. Mój znajomy inżynier ocalał, chociaż go podejrzewano, ale nauczył się stronić od prasy. Ja nauczyłem się szanować i chronić informatorów, co przysądza się zresztą do dziś.

Dziennikarz był świadkiem różnych dziwnych zdarzeń, drobnych, ale będących w istocie dalekimi refleksami dziejów. Oto saperzy z warszawskiej grupy rozminowania, z którymi miałem przyjazne kontakty, donieśli mi o znalezieniu broni pod pomnikiem bajkopisarza Stanisława Jachowicza w parku Ujazdowskim. Na miejscu okazało się, że w naoliwionej szmatce okrytej brezentem ukryto sprawny pistolet TT z nabojami, sowiecki granat obronny i kompas. Opisałem to jako prawdopodobne świadectwo Powstania Warszawskiego, chociaż wszystko wskazywało na późniejsze podziemie antykomunistyczne. Jakoś nikt się w cenzurze nie zorientował.

Podczas piłkarskich mistrzostw świata w roku 1974 wysłano mnie

Zachodzie futbolem, na Węgry jeszcze nie wrócił, ale też nigdzie nie jest napisane, że był szwedzkim budowlanym... Cenzura i to puściła. Nie było widać zapisu na Puskása...

Budujemy więcej większych mieszkań! – takie hasło rzucił towarzysz Edward Gierek i natychmiast, jak najbardziej spontanicznie, podchwycili to budowniczowie jak Polska długa i szeroka. W Warszawie spotkali się w kombinacie wielkich płyt na Okęciu. Siedziałem wśród paru tysięcy ludzi przy stołach z desek na kozłach, nakrycia stanowiły talerze i kieliszki, a bufetowe chodziły po dwie z wielkimi koszami. W jednym były dymiące krupnioki oraz kromki chleba, w drugim zaś butelki wódki żytniej. Bractwo jadło i piło na potęgę, a co pewien czas wychodził na mównicę przedstawiciel każdego ze stołecznych kombinatów, z dyrekcji, z organizacji partyjnych i młodzieżowych, aby wygłosić płomienne słowa, które kończył nieodmiennie: „Na Wasz apel, Towarzyszu

przed meczem ze Szwecją na Stawki, gdzie Szwedzi budowali budynek Intraco. Spytałem kilku z nich o wynik. Wypowiedział się też mocno zbudowany, w średnim wieku, sympatyczny brunet o kędzierzawych włosach, nijak niewyglądający na nordyka. Z szerokim uśmiechem powiedział mi, że Węgry opuścił w 1956 roku, a nazywa się Puskás. Czy był to słynny Ferenc? Sprawdziłem niedawno w Wikipedii. W tym czasie już nie zajmował się na

Pierwszy Sekretarzu, odpowiadamy: zbudujemy więcej większych mieszkań, Towarzyszu Gierku!”

Opuściłem to sympatyczne i tak pomyslnie rozwijające się spotkanie, aby wrócić do redakcji i napisać odpowiedzialny tekst na pierwszą stronę. Zimny wiatr hulał wśród opuszczonych hal fabrycznych, wśród gruzu połamanych płyt betonowych. Jakiś pies uciekał z podkulonym ogonem. I tylko echo przynosiło coraz dalsze, pijane okrzyki: „Na Wasz apel... Towarzyszu Pierwszy Sekretarzu...”

Następnego dnia przeczytałem swój artykuł, pięknie wyeksponowany obok winiety tytułowej, podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem. Powiedziałem sobie: nigdy więcej takich tekstów. I dotrzymałem słowa. ❄

Maciej Rosalak – redaktor dodatków historycznych „Rzeczpospolitej”; w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych dziennikarz „Kurier Polski”

Fot. A. Brzozowski



DO PRZERWY 1:1

Radosław Poboży

Godzina 13:50, 10 października 1971 roku: „Proszę poradzić trenerowi, aby się podał do dymisji” – takie słowa dotyczące trenera Kazimierza Górskiego usłyszał przez telefon redaktor „Przeglądu Sportowego” i komentator sportowy TVP, Stefan Rzeszot, po przegranym meczu polskiej reprezentacji w piłce nożnej z reprezentacją Republiki Federalnej Niemiec.

Według redaktora, tak jak jego anonimowy rozmówca myślało wielu kibiców piłkarskich. I wtedy nikt chyba nie przewidywał, że ta sama drużyna rok później zdobędzie na olimpiadzie w Monachium złoty medal.

Przygoda Kazimierza Górskiego z polską reprezentacją w piłce nożnej rozpoczęła się 1 grudnia 1970 roku. Stał on przed trudnym zadaniem stworzenia drużyny mogącej podjąć równorzędną walkę z takimi potęgami piłkarskimi jak Włochy czy RFN. Wypracowane przez niego nowe metody szkoleniowe powoli zaczynały przynosić rezultaty. W pierwszym oficjalnym meczu, rozegranym ze Szwajcarią, drużyna Kazimierza Górskiego wygrała 4:2, natomiast w meczach eliminacyjnych do Euro '72 pokonała reprezentację Albanii (3:0) i Turcji (5:1). Należy podkreślić, że do 1971 roku polska reprezentacja przez trzy lata nie przegrała meczu na własnym terenie. Polscy kibice zaczęli wierzyć,

że historyczny awans do finałów mistrzostw Europy jest w zasięgu ręki. Należało tylko pokonać drużynę RFN – późniejszego zdobywcę złotych, srebrnych i brązowych medali mistrzostw Europy, z którym nie udało się nam nigdy dotąd wygrać.

Przed wyznaczonym na niedzielę 10 października 1971 roku meczem napięcie i oczekiwanie na sukces narodowej jedenastki rosły z każdym dniem, a nawet godziną. Treningi polskich piłkarzy cieszyły się olbrzymim zainteresowaniem, gazety śledziły i obszernie relacjonowały poziom przygotowania do spotkania nie tylko zawodników, ale też samego Stadionu Dziesięciolecia.

We wtorek 5 października na stadionie Polonii Warszawa przy ulicy Konwiktorskiej zebrało się około 6 tys. kibiców, aby obejrzeć pokazowy mecz kadry Górskiego, z którego dochód przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Podobnym zainteresowaniem mecz z Polską cieszył się również w RFN. Według relacji Wilfrieda Gerhardta, rzecznika

prasowego federacji piłkarskiej RFN, od czasu mistrzostw świata w Meksyku 1970 roku żadne spotkanie nie wywołało takiego zainteresowania jak to z polską drużyną. Gerhardt zapowiadał, że niemieccy kibice „autokarami, samolotami i pociągami ruszają do Warszawy, aby nieść pomoc piłkarzom w walce z Polakami o zwycięstwo na murawie Stadionu Dziesięciolecia”.

Aby jeszcze mocniej podkreślić rangę meczu, w środę wieczorem 6 października w lokalu Polskiego Komitetu Olimpijskiego (PKOL) na terenie Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie odbyło się spotkanie wicepremiera Wincentego Kraśki z przedstawicielami kierownictwa Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki (GKKFiT), PKOL i Polskiego Związku Piłki Nożnej (PZPN). Wzięli w nim udział także piłkarze, przygotowujący się do meczu z RFN. W czasie spotkania kadra piłkarska po raz pierwszy w historii dokonała uroczystego ślubowania. Tekst przyrze-

czenia odczytał znakomity napastnik Włodzimierz Lubański.

Władze państwowe podkreślały fakt, że po raz pierwszy w historii gramy z RFN o tak dużą stawkę. Wcześniejsze mecze miały charakter towarzyski, tym razem zaś walczone o awans do finałów mistrzostw Europy, organizowanych w Belgii.

Za zabezpieczenie imprezy i bezpieczeństwo na stadionie było odpowiedzialne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wraz z jednostkami Milicji Obywatelskiej, Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, Biura Ochrony Rządu, Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej oraz słuchaczami Akademii Spraw Wewnętrznych i Wyższej Szkoły Oficerskiej w Legionowie.

Kilka dni przed meczem zmobilizowano 4796 funkcjonariuszy, do których należało utrzymanie porządku wokół stadionu, kontrola dokumentów upoważniających do uczestnictwa w imprezie, pilnowanie porządku na trybunach oraz uniemożliwianie kibicom wchodzenia na płytę boiska.

Wokół stadionu wprowadzono całkowity zakaz sprzedaży alkoholu. Ponadto milicjanci mieli rekwirować napoje alkoholowe i zatrzymywać nietrzeźwych kibiców.

W okolicy Stadionu Dziesięciolecia sprowadzono dodatkowy sprzęt: pięć więźniarek, pięć armatek wodnych, 31 radiowozów, dwanaście motocykli, cztery karetki pogotowia, dwa wozy bojowe Straży Pożarnej oraz sześć wyrzutni przewoźnych i sześćdziesiąt wyrzutni ręcznych granatów gazowych WL-1. Wykonywaniem zdjęć i filmów w czasie imprezy miał się zająć Wydział „B” MSW.

Największe obawy wiązano z przyjazdem kibiców z RFN i ich ewentualnymi wystąpieniami „przeciwko ustrojowi PRL”. Liczono się z tym, że część kibiców z Niemiec będzie chciała nawiązać kontakty z rodzinami lub znajomymi.

Szefostwo MSW, według dokumentacji zachowanej w archiwum IPN, nakazało dobierać tylko takich tłumaczy



► W celu łatwiejszego porozumiewania się służby cywilnej z funkcjonariuszami mundurowymi ustalono hasło „Wisła”; całemu przedsięwzięciu nadano kryptonim „Porządek”

i pilotów wycieczek, którzy będą stale nadsyłać informacje o zachowaniu się kibiców niemieckich oraz powiadamiać o wszystkich spotkaniach cudzoziemców z obywatelami polskimi. Polecilo również dokonać selekcji przyjeżdżających osób do „aktywnej kontroli operacyjnej” i rozwinąć szczególną „opiekę” nad dziennikarzami.

Mecz rozpoczął się w samo południe. W składzie reprezentacji Polski na murawę boiska wyszli: Jan Tomaszewski, Adam Musiał, Stanisław Ośliżło, Jerzy Gorgoń, Zygmunt Anczok, Zygfryd Szołtysik, Bronisław Bula (od 46. minuty – Antoni Kot), Zygmunt Maszczyk, Jan Banaś (od 60. minuty

– Jerzy Sadek), Włodzimierz Lubański i Robert Gadocha.

W składzie reprezentacji RFN zagrali: Sepp Maier, Paul Breitner, Franz Beckenbauer, Klaus Fichtel, Hans-Georg Schwarzenbeck, Herbert Wimmer, Horst Köppel, Günter Netzer, Jürgen Grabowski, Gerhard „Gerd” Müller i Josef Heynckes.

Polacy od pierwszych minut grali ofensywnie, ale niemiecka obrona spisywała się w tym meczu znakomicie. W 6. minucie doszło do pierwszego ataku gości: Tomaszewski broni strzał Köppla. W 28. minucie prowadziliśmy 1:0 po strzale Roberta Gadochy. Trybuny szalały. „Radości było ►



► Na trybunach Stadionu Dziesięciolecia zasiadło ok. 60 tys. widzów, z czego 2,5 tys. stanowili kibice z RFN; miliony kibiców polskich i niemieckich przeżywały mecz przy odbiornikach telewizyjnych i radiowych

co niemiara. Trwała jednak krótko. [Sprawozdawcy sportowi] Jan Ciszewski i Ryszard Dyja pomimo przewidywań mocno przeżyli wraz z nami strzał Gerharda Müllera, króla strzelców z Meksyku” – relacjonował Piotr Fronczewski, lektor Polskiej Kroniki Filmowej. Do przerwy było 1:1.

W drugiej połowie drużyna Górskiego ponownie ruszyła do ataku, ale nie udało jej się strzelić już ani jednego gola. W 64. minucie po dośrodkowaniu Josefa Heynckesa Gerd Müller ponownie umieścił piłkę w polskiej bramce. Ostatecznie mecz przegraliśmy 1:3. „Na stadionie wszyscy posmutnieli. Przy telewizorach także. A sprawozdawcy orzekli, że piłkarze muszą

uczyć się gry, publiczność zaś dopingować własnej drużyny. Nawet gdy ta ponosi porażki” – podsumował Fronczewski.

Nie obyło się bez incydentów charakterystycznych dla PRL. Taką oto relację zamieścił „Przegląd Sportowy” 11 października 1971 roku: „O tym, że posiadamy tylko jeden kombajn do czyszczenia lodowisk, wiadomo od dawna. W niedzielę okazało się, że i zwykły ręczny wózek do znaczenia białych linii na boisku też jest tylko jeden, i to w nie najlepszym stanie”. I dalej: „Ze wszystkiego, co widziałem na meczu, najbardziej zaimponował mi sprzęt polskiej TV. Monitor kontrolny, który spadł na beton z dużej wysokości, działał sprawnie w dalszym ciągu”.

Po latach Jan Tomaszewski w wywiadzie dla Polskiego Radia, udzielonym z okazji dziewięćdziesiątych urodzin Kazimierza Górskiego, tak wspominał tamten mecz: „Zadebiutowałem w kadrze w 1971 roku, w przegranym 1:3 spotkaniu z Niemcami w Warszawie. Stałem się wówczas najpopularniejszym człowiekiem w kraju. Pół Polski chciało mnie powiesić, a drugie pół skazać na banicję. Nie umiałem sobie znaleźć miejsca. Na szczęście w ŁKS, w którym wówczas grałem, pan Kazimierz objął funkcję koordynatora. Przez kolejne miesiące widział, jak ciężko trenowałem, i znów dał mi szansę, pozwalając na mecz z Walią”. Dzięki uporowi Kazimierza Górskiego Jana Tomaszewskiego pamiętamy dziś jako tego, który w 1973 roku w pamiętnym meczu na Wembley zatrzymał Anglię. Co by było, gdyby po przegranej z RFN trener „Orłów” posłuchał głosu rozżalonych kibiców? 🍷

Radosław Poboży – pracownik Biura Udziałnictwa i Archiwizacji Dokumentów IPN



► Jedyne goła dla polskiej reprezentacji zdobył Robert Gadocha



Historia w obrazkach

Z dr. **Tomaszem Łabuszewskim** i **Sławomirem Zajączkowskim**, współtwórcami serii komiksów historycznych *Wilcze tropy*, rozmawia **Andrzej Brzozowski**.

Spotykamy się w przeddzień drugiej już edycji Festiwalu Komiksu Historycznego. Czy w ostatnich latach wzrosło zapotrzebowanie na komiks historyczny?

Sławomir Zajączkowski: Myślę, że teraz w ogóle panuje moda na historię. Można to wytłumaczyć w ten sposób: skoro w szkołach jest mniej lekcji historii, to wielu z nas ma naturalną potrzebę uzupełniania tej wiedzy w innych miejscach. Życie nie znosi próżni. Powstają więc rozmaite stowarzyszenia, grupy rekonstrukcyjne, powieści historyczne – i komiksy.

Tomasz Łabuszewski: Żyjemy w świecie zdominowanym przez przekaz obrazkowy. Taka forma konieczna jest także przy przedstawianiu historii najnowszej. Odpowiedź polskiego środowiska artystycznego na takie zapotrzebowanie nie była do tej pory wystarczająca. Mamy bardzo mało filmów fabularnych o historii najnowszej. Jeśli nie liczyć cyklu „Czas honoru” oraz „wygaszonej” już serii „Sceny Faktu”, to tak naprawdę od dobrych kilkunastu lat nie powstała w Polsce żadna produkcja filmowa na temat II wojny światowej. Kiedy spojrzymy na publikacje naukowe dotyczące pewnych kręgów tematycznych – myślę tutaj przede wszystkim o okresie okupacji niemieckiej – to okazuje się, że ostatnie wartościowe opracowania powstawały w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych XX wieku. W dużej mierze w dalszym ciągu bazujemy na publikacjach prof. Tomasza Szaroty czy Władysława Bartoszewskiego i w zasadzie nic znaczącego od tej pory nie powstało. Podobna sytuacja ma także miejsce na płaszczyźnie popularyzatorskiej. I tu jest pewna pustka, którą komiks ma szansę wypełnić. To jest przykład przedstawiania historii w sposób bardziej komunikatywny, zwłaszcza dla młodego człowieka, podobnie jak wykorzystywanie grup rekonstrukcji umożliwiających, za pomocą inscenizacji dosłownie namacalne obcowanie z historią. Wydaje mi się, że to właśnie jest powodem pewnego renesansu komiksu w Polsce.

SZ: Można jeszcze dodać, że temat, który podjęliśmy, jest atrakcyjny. Okres tuż po wejściu Sowiec do Polski jest niezwykle barwny.

TŁ: Przede wszystkim ma swoją dynamikę, która jest doskonałym materiałem wyjściowym zarówno dla scenarzysty, jak i dla rysownika. Komiks, w moim mniemaniu, rządzi się właśnie pewną dynamiką. Jeżeli jej nie ma, pojawia się kłó-



Ilustracja z komiksu *Wilcze tropy*

pot. Nie znaczy to, że tematyka komiksów zarezerwowana jest wyłącznie dla lat wojny. Powstają też komiksy dotyczące lat późniejszych, np. w Radomiu pojawiła się inicjatywa przygotowania komiksu o protestach robotniczych roku 1976. Takie dynamiczne historie możemy znaleźć w każdym momencie naszej historii. Jest to tylko kwestia sięgnięcia po odpowiedni temat i jego opracowania.

Przez długi czas komiks w Polsce postrzegano jako medium niepoważne, przeznaczone dla dzieci. Czy takie medium może mówić o rzeczach serio, bo przecież historia XX wieku, a zwłaszcza historie, które są w *Wilczych tropach*, to tematy ważne, trudne do opowiedzenia. Czy komiks może uzupełniać edukację związaną z tym tematem? ➤

SZ: Słowo „komiks” (pochodzące od angielskiego *comic stories* – zabawne opowieści) jest w Polsce trochę niefortunnym określeniem, wywołuje nie najlepsze konotacje z czymś „komicznym” czy „niepoważnym”. W innych językach tak nie jest. Francuzi mówią *la bande dessinée*, co można tłumaczyć jako „narysowana taśma”, we Włoszech komiks to *fumetti*, czyli „dymki”, na Węgrzech zaś zupełnie neutralne słowo *képregény*. Oczywiście, że komiks może mówić o rzeczach serio! Właśnie takie staramy się robić komiksy wojenne. I taka jest seria *Wilcze tropy*. Ten sposób realizacji komiksu na serio wynika z naszego podejścia do komiksu wojennego. Dla nas komiks wojenny stanowi uzupełnienie tekstu historycznego i jednocześnie jest próbą ponownego opowiedzenia danej historii, tyle że językiem twórczym. Jeżeli założymy, że źródło historyczne jest opisem wybranych faktów, to komiks historyczny zajmuje się tym, żeby z tych suchych faktów zbudować fabułę i żywe relacje między uczestnikami wydarzeń. Pracując na faktach, wchodzimy w sprawy emocjonalne, czyli na pole sztuki. Nie robimy tu żadnych obrazków do pisanego źródła historycznego; budujemy przekaz samodzielny w sensie utworu (dzieła sztuki) i jednocześnie dopełniający źródło historyczne, uzupełniający je o wartość emocjonalną i artystyczną. Taki dla nas jest sens tworzenia komiksów historycznych.

Uchylmy rąbka tajemnicy Panów warsztatu. Historie w *Wilczych tropach* są oparte na rzetelnym materiale źródłowym. Zachodzi tutaj współpraca między komiksarzami a naukowcami. Mam wrażenie, że to są różne światy. Jak wygląda praca nad scenariuszem? Czy nie ma rozbieżności w Panów wizjach?

TŁ: U podstaw naszej współpracy legło postanowienie, że nasze zeszyty ma wyróżniać spośród innych komiksów, które się w Polsce ukazują, zgodność z faktografią. Podczas pisania scenariusza pan Sławomir Zajączkowski zachowuje rzecz jasna dowolność w warstwie dialogowej, bo nie jest w stanie – podobnie jak i my – odtworzyć, co w danej chwili myśleli i mówili nasi bohaterowie, nawet jeśli z wieloma mieliśmy jeszcze szansę rozmawiać. Scenarzysta i rysownik mają tu więc pewną swobodę. Dając jednak pieczęć Instytutu Pamięci Narodowej, gwarantujemy, że historie opowiedziane w tych komiksach od strony faktograficznej są prawdziwe i my bierzemy za nie pełną odpowiedzialność. To jest zasadnicza różnica w stosunku do innych produkcji, które bardzo często odwołują się do pewnych wątków historycznych, ale nie do końca odzwierciedlają faktografię. Tworzy się wtedy przekaz nieautentyczny, niewia-



dr Tomasz Łabuszewski

– historyk, naczelnik OBEP IPN w Warszawie; badacz historii polskiego podziemia niepodległościowego z okresu II wojny światowej i lat powojennych; konsultant historyczny serii *Wilcze tropy*; autor m.in. *Rzeczpospolita utracona* (2011)

rygodny, a w moim mniemaniu, w pewnych sytuacjach wręcz szkodliwy. My pokazujemy historie prawdziwe. Oprócz tego, do każdego komiksu dodajemy wkładki historyczne, tak aby przeciętny odbiorca mógł także samodzielnie zweryfikować, czy historia opowiedziana piórem Sławomira Zajączkowskiego i pędzlem Krzysztofa Wyrzykowskiego jest wiarygodna faktograficznie, czy też nie. To wydaje mi się uczciwe.

SZ: Wiarygodność, o której mówi dr Łabuszewski, jest bardzo ważna. Ale równie ważne jest oddanie atmosfery epoki. Musimy nie tylko odtworzyć określone wydarzenia, lecz także wiarygodnie ukazać kulturę codzienną, chociażby sposób mówienia czy ubierania. Musimy pokazać naszych bohaterów tak, żeby byli postrzegani jako realni przedstawiciele tamtych czasów. Jest to trudne i jest z tym trochę pracy.

TŁ: Krzysztof Wyrzykowski, nasz rysownik, musi dbać o najdrobniejsze elementy związane z uzbrojeniem, umundurowaniem czy wyglądem naszych bohaterów. Wiarygodność trzeba budować na wszystkich możliwych polach. Toczmy często zażarte dyskusje na temat najdrobniejszych szczegółów. Kto i jak mógł być ubrany, kto miał jaką broń w czasie jakiej akcji. Jeżeli mamy materiał źródłowy – kto i gdzie stał w danym momencie. Wiem, że to dla przeciętnego odbiorcy nie ma znaczenia, ale skoro założyliśmy, że robimy komiksy w sposób możliwie najbardziej zgodny z faktografią, to takie dyskusje są nieuniknione.

***Wilcze tropy* i pozostałe komiksy przygotowane przez Panów wypełniają pewną lukę, bo opowiadają o historiach ludzi, o których w PRL nie można było mówić. Czy nie byłoby jednak wygodniej odejść od rygorystycznego autentyzmu, stworzyć fikcyjną postać i poprzez jej losy opowiedzieć historię polskiego podziemia niepodległościowego?**

SZ: Z punktu widzenia scenariusza nie ma specjalnego znaczenia, czy bohaterami mają być postacie fikcyjne, czy prawdziwe. Czy akcja ma być oparta na faktach, czy nie. Bardziej się liczy fabuła, akcja, relacje między bohaterami. Warunkiem dobrego komiksu historycznego nie jest konieczne oparcie go na faktach historycznych, choć my akurat takie założenie sobie poczyniliśmy w przypadku serii *Wilcze tropy*. I tego się będziemy w tej serii trzymali.

Komiks historyczny nie jest wynalazkiem ostatnich czasów. W PRL, kiedy władze komunistyczne przeoko-

nały się, że nie wszystko, co pochodzi ze „zgniłego Zachodu”, jest szkodliwe, pojawiło się sporo komiksów niby historycznych, a de facto propagandowych, np. komiksy o Hansie Klossie czy Podziemny front. Występowały tam postaci fikcyjne, osadzone rzekomo w realiach historycznych.

TŁ: Nasz wspólny pomysł *Wilczych tropów* wynikał z obserwacji komiksów, które były wydawane w latach siedemdziesiątych, i ich nowszych wydań z ostatnich lat. Wynikał z konstatacji, że w wolnej Polsce właściwie nie zbudowano żadnej przeciwwagi dla owych propagandowych produkcji. Chcieliśmy zaprezentować coś wręcz przeciwnego. To, że w *Wilczych tropach* mamy do czynienia z autentycznymi postaciami, wynika też z założeń edukacyjnych. Bo historia, którą prezentujemy, to jest historia przede wszystkim bohaterów konkretnych społeczności lokalnych. Robiąc te komiksy i wyjeżdżając z nimi później w teren, rozprowadzając je wśród młodzieży, chcemy zainteresować ją autentyczną historią lokalną – nie opowiadaniem bajek o nowym Supermanie rodem z Parczewa, tylko przedstawieniem konkretnej, autentycznej postaci, wyrastającej z jej środowiska, z której może i powinna być dumna. Jeśli pojedziemy do Puław, będziemy opowiadać tam o Marianie Bernaciaku „Orliku”.

Jeżeli pojedziemy na Białostoczczyznę, będziemy mówić o Zygmuncie Błażejewiczu „Zygmuncie”. Jeśli zrobimy komiks o Władysławie Łukasiuku „Młocie”, pojedziemy z nim do Siedlec. Młody człowiek, dla którego ta forma przekazu historycznego okaże się interesująca, znajdzie tam część informacji o swoim regionie. Być może taki bohater, jego obywatelska postawa, będzie dla niego w jakiś sposób inspirująca. Przecież tu nie chodzi wyłącznie o sceny batalistyczne, strzelanie do osób X czy Y. My – zarówno poprzez wspomniane wkładki historyczne, jak i przez opowieści komiksowe – prezentujemy postaci z krwi i kości, pełnowymiarowe – z ich marzeniami, z ich miłościami. Niezwiązane z abstrakcyjną wizją historii, tylko z konkretną lokalną historią. Mieliśmy także pomysł zrobienia komiksu, którego bohaterem byłaby jedna osoba i której kolejne odsłony działalności byłyby prezentowane w kolejnych zeszytach. Tyle tylko że to również miała być konkretna, autentyczna osoba, której losy nadają się na wieloodcinkowy serial, a nie postać abstrakcyjna. Być może do idei tej jeszcze powrócimy.

SZ: Życiorysy naszych bohaterów pomagają takie historie tworzyć. To są gotowe historie

w tym sensie, że jest dużo interesujących wydarzeń i z życia prywatnego, i z przeżyć wojennych tych ludzi. Cała sztuka polega na tym, żeby wybrać rzeczy najciekawsze i stworzyć pewną oś fabularną, która nie zgubi przy tym prawdy o postaci i tamtych czasach.

Wspomnieliśmy o tym, że komiks *Wilcze tropy* jest czymś w rodzaju przeciwwagi dla komiksu peerelowskiego. Czy nie było pokusy, żeby na łamach komiksu rozprawić się z popkulturowymi bohaterami PRL? Kloss czy czterej pancerni to wciąż postaci kultowe. Brygada Pancerna im. Westerplatte – a w niej służyli pancerni – tuż po wojnie pacyfikowała regiony, w których toczy się akcja *Wilczych tropów*...

TŁ: Nam zależało na stworzeniu przekazu pozytywnego – wręcz heroicznego. Kwestie „rozprawienia się” z tamtymi komiksami – i to zarówno od strony artystycznej, jak i od strony naukowej – pozostawiamy kompetentnym krytykom. W Instytucie Pamięci Narodowej powstała zresztą książka o komiksie peerelowskim [*Komiks w PRL. PRL w komiksie* (IPN Rzeszów 2012) – przyp. red.]. My, opowiadając historie ludzi, którzy w 90 proc. zginęli w okresie powojennym, ukazujemy apogeum ich działalności publicznej, bo tak traktujemy

te ich działalność niepodległościową. Nie chcemy epatować martyrologią, tylko pokazywać odbiorcy takie fragmenty z życiorysów tych ludzi, które naszym zdaniem były dla nich najważniejsze, w których osiągnęli oni największe sukcesy. O końcu ich drogi życiowej informujemy natomiast we wkładkach historycznych, tak żeby każdy mógł się dowiedzieć, w jaki sposób zakończyły się ich losy. Młody człowiek nie oczekuje opowieści o katowaniu w areszcie śledczym MBP w miejscowości X czy strzelaniu w tył głowy w więzieniu Y. Pozostawiamy to innym publikacjom i twórcom.



Fot. P. Żywieński

Sławomir Zajączkowski

– scenarzysta komiksowy, publicysta, jego artykuły o komiksach ukazywały się m.in. w *Magazynie Komiksów „AGQ”*. Od 2009 roku wspólnie z rysownikiem Krzysztofem Wyrzykowskim realizuje komiksy o tematyce historycznej i wojennej: *Lupaszka. 1939, Korfanty, Wyzwolenie? 1945, „Żelazny”* i serię *Wilcze tropy*. Wydawcą większości tytułów jest OBEP IPN w Warszawie. Aktualnie twórca pracuje nad scenariuszami komiksów wojennych *Akcja Kutschera* i *Wrzesień pułkownika Maczka* oraz komiksu fantasy *Romove*

SZ: Nasze komiksy nie mają być „przeciwwagą”. Robimy komiksy wojenne według zasad, o których mówiliśmy wcześniej. Stoi za nami autentyzm historii, praca włożona w oddanie realiów historycznych i lata twórczych doświadczeń. Skutkuje to chwalonym przez wielu recenzentów sposobem realizacji. Z komiksami peerelowskimi nie ma to nic wspólnego, prócz może tego, że serie *Podziemny front* i *Kapitan Kloss* też można klasyfikować jako komiksy wojenne. Tylko jaką wiedzę o II wojnie i okupacji dawały one czytelnikowi? Jakiej wyobraźni? Kogo robiły sojusznikami Polaków? I jak



Fot. AIPN



Ilustracje z komiksu Wilcze tropy

► Marian Bernaciak „Orlik”

bardzo były zakłamanie! Kogo powinny one dziś interesować? Osoby z sentymentem wspominające PRL? Kolekcjonerów komiksowych staroci? Naukowców badających okres PRL? Z naszymi komiksami nie mają one nic wspólnego.

Wilcze tropy zawierają historie Żołnierzy Wyklętych opowiadające przede wszystkim o walce, odbijaniu aresztantów – rzadko albo prawie wcale nie pojawia się tam temat ich porażki. Spotkałem się z opinią, że po wyjściu z Muzeum Powstania Warszawskiego mniej zorientowana osoba może mieć wrażenie, że Polacy wygrali. Czy nie istnieje obawa, że tu będzie podobnie?

TŁ: Takie wrażenie oczywiście może i powinno wręcz powstać. Jego uzasadnieniem jest chociażby pomnik Gloria Victis. Ale uważam, że kiedy zestawimy wszystkie części składowe naszego komiksu, widać, że zachowujemy się w stosunku do odbiorcy uczciwie. W komiksie np. o „Orliku” w formie rysunkowej przedstawiamy jego największe militarne sukcesy, natomiast we wkładce historycznej jest mowa o tym, jak zginął. Nie ukrywamy przy tym, że nasza sympatia jest zdecydowanie po stronie naszych bohaterów. I to jest chyba naturalne. Znacznie trudniej pisze się książki o czarnych charakterach, a zwłaszcza robi komiksy o postaciach nega-

tywnych, niż o postaciach, które swoimi dokonaniem niosą jakiś pozytywny przekaz.

SZ: To był nasz świadomy wybór artystyczny – robić komiksy o bohaterach, o postawach heroicznych. Na razie nie mamy zamiaru od tego odchodzić.

Czy spotkali się Panowie z jakimś odzewem kombatanów, którzy mieli w rękach komiks opowiadający właściwie o nich?

TŁ: Nie ukrywam, że mieliśmy pełne spektrum ocen takiego prezentowania historii – od niezwykle pozytywnych po negatywne. Te negatywne wynikały głównie z postrzegania komiksu przez pryzmat stereotypu – jako medium niepoważnego, prezentującego historie o Batmanie i Spidermanie. Wprowadzenie postaci autentycznych było czasem postrzegane jako ośmieszenie, zdeprecjonowanie tego świadectwa, które te autentyczne postaci niosły. Wynikało to z niezrozumienia istoty naszego pomysłu, a często chyba z braku uważnej lektury. Myślę, że naszych krytyków oburzało już samo wykorzystanie komiksu – natomiast nie „wgrzyzali się” oni w jego treść. Po lekturze z reguły negatywne opinie ulegały znacznemu wyciszeniu albo wręcz odwróceniu.

SZ: Historia komiksu dowodzi, że może on poruszać trudne tematy czy poważne historie.

Jak dalece w komiksie udało się pokazać rozterki bohaterów? Są np. sceny, gdy dowódca oddziału mówi o tym, że zostaliśmy opuszczeni przez Zachód, że III wojna światowa już nie wybuchnie. To był duży dramat dla żołnierzy, którzy nie wiedzieli, co dalej. Zasygnalizowane tylko są dylematy żołnierzy podziemia niepodległościowego, gdy dochodzi do star-



Ilustracje z komiksu Wilcze tropy



Ilustracje z komiksu „Wilcze tropy”

cia z żołnierzami ludowego Wojska Polskiego – bądź co bądź z rodakami. Czy da się to w ogóle pokazać w komiksie?

TŁ: My te kwestie drażliwe jednak sygnalizujemy. To nie jest tak, że one nie są pokazane. Spójrzmy chociażby na komiks o Zygmuncie Błaziejewiczu „Zygmuncie”, gdzie mamy scenę autentycznej rozmowy pod gruszą dwóch dowódców – podziemia niepodległościowego i ludowego Wojska Polskiego. To nie jest tak, że mamy zło, dobro i nie ma żadnego odcienia szarości. Wydaje mi się, że te kwestie, które są nierozdzielnie związane z historią pierwszego powojennego dziesięciolecia, my tam wplątamy i jeżeli kogoś to zainteresuje, po prostu musi sięgnąć do innych publikacji, gdzie są one przedmiotem naukowych rozważań historycznych. Sądzę, że dla tak krótkiej formy, jaką jest komiks, wprowadzenie tego typu rozważań zaburzałoby jednolity przekaz. To są zeszyty trzydziestoparostronicowe. Zawsze toczymy dyskusję: ile zdarzeń uda się zmieścić z życia człowieka, o którym można nakręcić serial? Do tego trzeba stworzyć pewną oś narracyjną, w znacznej części fikcyjną. Czy jest tam miejsce na roztrząsanie dylematów moralnych? Mam wątpliwości.

SZ: Chcemy też uniknąć tak zwanych gadających głów. Uważam, że komiks to jednak forma, w której musi dominować akcja. Dlatego staramy się wybory bohaterów ukazać w działaniu, w kadrach bez słów, rzadziej w dialogu czy monologu. Nie znaczy to, że nasi bohaterowie nie przeżywają rozterek. Podam przykład z komiksu *Wyzwolenie? 1945*. W epizodzie „Grajewo” główny bohater, mjr Jan Tabortowski „Bruzda”, spotyka oddziały sowieckie. Sowieci dziękują mu za wspólną walkę z Niemcami i proponują wstąpienie do swojej armii w stopniu oficera. Tabortowski zastanawia się, co ma zrobić, patrząc przez okno. Z okna widzi podwórze i żołdatów sowieckich kradnących do worków różne przedmioty. A w tle tego kadru (z tzw. offu) oficer radziecki zachwala zwycięską rewolucyjną armię. Pytanie oficera na następnym kadrze: „Jaka jest pana decyzja?” pozostaje bez odpowiedzi. Jednak już na następnej planszy widzimy ziemiankę – piwnicę, w której więziony jest „Bruzda”, a obok pilnujący go krasnoarmiejec dziwi

się „głupocie” polskiego oficera. Komiks to medium dobre jak każde inne, aby pokazywać rozterki bohaterów. W naszych komiksach one również występują.

Stworzyli Panowie komiks, który daje młodemu czytelnikowi nowych bohaterów, mających szansę zastąpić Janka z Czterech pancernych czy Hansa Klossa. Jakie są Panów dalsze plany? Ukazał się drugi zeszyt *Wilczych tropów*, w zapowiedziach jest kolejny – o „Młocie”.

TŁ: Z pewnością serię będziemy kontynuowali. Uważamy, że każdemu regionowi należy się jego własny bohater z jego własnymi, autentycznymi historiami. W tej chwili trwają już prace nad zeszytem poświęconym kpt. Władysławowi Łukasiukowi „Młotowi”. Być może następny komiks zrobimy o Józefie Kurasiu „Ogniu”, o Franciszku Jaskulskim „Zagończyku” albo o Stanisławie Sojczyńskim „Warszycu”. W zeszłym roku podjęliśmy też decyzję, że równoległe do *Wilczych tropów*, poświęconych dowódcom polowym powojennego podziemia niepodległościowego, uruchamiamy nową serię, która będzie opowiadać o najważniejszych akcjach Armii Krajowej podczas II wojny światowej. Seria ta będzie nosić tytuł *W imieniu Polski Walczącej*.

SZ: W ramach tej drugiej serii zmierzmy się na początek z *Akcją Kutschera*.

TŁ: Wydaje nam się, że to jest jeden z wielu takich wątków – od strony rangi sprawy wręcz najważniejszy – które przez kilkadziesiąt lat „leżały na ulicy” i nikt z niewiadomych powodów nie był zdecydowany ich podnieść. Postanowiliśmy po prostu odrobić te zaległości. 📖



W powszechnej opinii archiwa IPN kryją wiele tajemnic. Niektórzy uważają wręcz, że teczkę w Instytucie ma każdy obywatel żyjący w okresie Polski „ludowej”. W rzeczywistości znajdziemy tutaj wiele różnorodnych dokumentów, spośród których jedynie niewielka część to tzw. materiały operacyjne.

Bez wątplenia są one najcenniejszym materiałem źródłowym. Interesują się nimi nie tylko historycy i dziennikarze, lecz także ofiary systemu komunistycznego. Skala represji do dzisiaj robi ogromne wrażenie. Zwolnienia z pracy, blokowanie przyjęcia na studia czy brak paszportu, czyli tzw. miękkie represje, były na porządku dziennym do 1989 roku i mogły spotkać każdego obywatela, który znalazł się na celowniku służb. Rządziej dopuszczano się bezwzględniejszych form represji, takich jak aresztowania, pobicia czy nawet zabójstwa. Jeżeli zachowały się dowody takiej działalności SB, to prawie zawsze są zgromadzone w materiałach operacyjnych.

„Materiały operacyjne” to w języku służb specjalnych wszelkie informacje i dokumenty uzyskane „drogą operacyjną”, czyli po prostu wskutek inwigilacji wybranej osoby. Inaczej nazywano te czki z materiałami inwigilacyjnymi w Urzędzie Bezpieczeństwa, a jeszcze inaczej w Służbie Bezpieczeństwa.

Prezentowany obok dokument pochodzi ze sprawy obiektovej (SO). Taki rodzaj spraw operacyjnych wprowadzono w Służbie Bezpieczeństwa na mocy wewnętrznej instrukcji nr 03/60 z lipca 1960 roku, która opisywała szczegółowo formy i środki pracy operacyjnej SB. Sprawa obiekto wa miała dotyczyć „instytucji, których rzeczywisty charakter cechuje wrogość do Polski Ludowej, a mianowicie: wrogie ośrodki wywiadowcze, przedstawicielstwa państw kapitalistycznych, instytucje Kościoła katolickiego i inne”. Przytoczona instrukcja precyzowała również, że przy prowadzeniu sprawy obiektovej funkcjonariusze powinni korzystać ze wszelkich dostępnych metod i środków, ze szczególnym

uwzględnieniem doniesień tajnych współpracowników. Zakończenie działań SB prowadzonych w ramach SO mogło nastąpić jedynie w dwóch sytuacjach: 1) gdy rozpracowywana instytucja przestała istnieć; 2) gdy uznano, że nie prowadzi już wrogich działań wobec Polski „ludowej”.

Kolejna instrukcja, z 1 lutego 1970 roku (nr 006/70, nazywana też potocznie „biblią SB”), rozszerzała możliwości założenia sprawy obiektovej. Oprócz wymienionych wcześniej „wrogów Polski Ludowej” SB do końca istnienia PRL mogła inwigilować również instytucje działające oficjalnie i legalnie. Dlatego nikt nie powinien się dziwić, że SB inwigilowała nie tylko żołnierzy Armii Krajowej czy konspiracji powojennej (czasami jeszcze w latach osiemdziesiątych!), zachodnie ambasady i NSZZ „Solidarność”, lecz także m.in. oficjalne pisma i stowarzyszenia.

Ważną zmianą, którą wprowadzała „biblia SB”, była możliwość założenia sprawy obiektovej także wobec konkretnego wydarzenia, które władze komunistyczne uznały za „wrogię” lub zagrożone przez „wrogów”. Dlatego też w archiwum IPN możemy dziś znaleźć sprawy dotyczące np. wizyty w Warszawie w roku 1977 prezydenta USA Jimmy’ego Cartera, wyborów do Sejmu PRL i rad narodowych czy imprez sportowych (w tym olimpiad i mistrzostw świata).

Każda duża impreza sportowa była przedmiotem zainteresowania SB. Prezentowany dokument pochodzi ze sprawy obiektovej „Mexico ‘86”, która dotyczy udziału polskiej reprezentacji w mistrzostwach świata w piłce nożnej rozgrywanych w Meksyku w 1986 roku (więcej na ten temat można przeczytać w artykule Krzysztofa

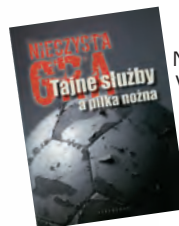
Łoniewskiego zamieszczonym w numerze 6 „Biuletynu IPN” z 2006 roku).

W „Mexico ‘86” nie znajdziemy opisów i wyników meczów, ocen piłkarzy czy planów taktycznych sztabu szkoleniowego. Nie to interesowało esbeków. W świetle zachowanych dokumentów ich podstawowym zadaniem było odcięcie reprezentacji od „wroga”. Piłkarzom ograniczono więc spotkania m.in. z Polakami mieszkającymi w Meksyku, ponieważ byli emigrantami „solidarnościowymi”. Pilnowano również, żeby któryś z zawodników nie próbował uciec, co przecież zdarzało się przez cały okres „ludowej” Polski.

Przebywający w Meksyku pułkownik SB Edward Kudybiński z satysfakcją stwierdzał, że „większość zawodników prezentowała właściwą postawę polityczną, sportową i etyczną”. Niemniej meldował również o „negatywnym wpływie Zbigniewa Bońka na pozostałych piłkarzy” oraz skwapliwie notował, którzy reprezentanci podczas powrotnego lotu przesadzili z alkoholem.

Podczas mistrzostw w Meksyku działania SB odniosły sukces. Nikt nie uciekł, zablokowano możliwość spotkania piłkarzy z polskimi kombatanami, odbierając przy okazji okolicznościowe plakietki, które mieli dostać sportowcy. Zebrano również wiele informacji, które w przyszłości mogły się okazać przydatne przy próbach werbunku na tajnych współpracowników zarówno członków kadry, jak i dziennikarzy, którzy komentowali mistrzostwa. 🍷

Grzegorz Wolk – historyk, politolog, pracownik BEP IPN, doktorant w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”; zajmuje się badaniem dziejów aparatu represji oraz opozycji w PRL; opublikował m.in. *Ośrodki odosobnienia w Polsce południowo-wschodniej 1981-1982* (2009)



Nakładem wydawnictwa Videograf ukazała się książka *Niekazana gra. Tajne służby a piłka nożna*, której współautorem jest Grzegorz Wolk

Data i miejsce powstania dokumentu; powszechną praktyką było oficjalne kończenie spraw kilka lub kilkanaście miesięcy po zakończeniu działań operacyjnych

Zakończenie sprawy musiało być oficjalnie zatwierdzone przez szefa Wydziału (w województwie) lub Departamentu (w centrali) SB

"Z A T W I E R D Z A M"
Z-ca DYREKTORA
Departamentu III MSW
mgr Leszek Budzikowski

Warszawa, 1988 - 03 - 26

T A J N E SPEC.ZNACZENIA
Egz.pojedynczy

Najwyższa klauzula tajności

W celu konspiracji działań SB w większości dokumentów używano jedynie kryptonimu, nie informując, co dokładnie jest przedmiotem inwigilacji

"MEXICO - 86" dot. Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej.

W dniach 31.05. - 29.06.1986 r. w Meksyku odbyły się Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej, z udziałem 24 reprezentacji narodowych, w tym 45-osobowej ekipy polskiej.

Przez „zabezpieczenie” reprezentacji rozumiano jej inwigilację, a nie dbanie o jej bezpieczeństwo. Zbierano informacje, które mogły posłużyć np. do szantażu i ewentualnego pozyskania wybranej osoby do roli tajnego współpracownika

Prowadzone w ramach sprawy obiektowej działania operacyjne, umożliwiły wszechstronne zabezpieczenie pobytu polskiej reprezentacji w Meksyku. Pozwoliły one m.in. na pogłębienie rozpoznania środowiska piłkarskiego, szczególnie w kontekście postaw etyczne - moralnych oraz ideowo - politycznych, prezentowanych przez zawodników i działaczy, a także ich powiązań interpersonalnych.

Numer karty nadany, a później zmieniony w archiwum

Organizacja polskich kombatantów z okresu II wojny światowej, którzy po wojnie nie powrócili do kraju, założona w 1946 roku w Londynie

W trakcie realizacji zadań operacyjnych, podczas pobytu w Meksyku, wyeliminowano szereg zagrożeń o różnorodnym charakterze, m.in. udaremniono przekazanie dla polskiej drużyny plaketek okolicznościowych sygnowanych przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, b.Kombatantów Armii Krajowej i Komitet "Solidarności" meksykańskiej. Przejęte plakietki zostały w komplecie przywiezione do kraju.

W niektórych wypadkach tak uzyskane materiały mogły służyć jako dowód w procesie politycznym

Czasami SB przekazywała informacje do innych służb lub instytucji, w tym wypadku do Wojskowej Służby Wewnętrznej i Głównego Komitetu Kultury Fizycznej

Uwagi i spostrzeżenia z operacyjnego zabezpieczenia udziału polskiej ekipy w Mistrzostwach Świata, zostały przekazane zainteresowanym jednostkom organizacyjnym resortu SW oraz Szefostwu WSW i kierownictwu b.GKKFiT.

W związku ze zrealizowaniem działań zabezpieczających właściwy przebieg pobytu polskiej reprezentacji narodowej na Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej w Meksyku, sprawa obiektowa kryptonim "MEXICO-86" zostaje zakończona, a materiały złożone w archiwum Biura "C" MSW.

Nazwa archiwum SB

Wykonanie tylko jednego egzemplarza dokumentu ograniczało krąg jego odbiorców, gwarantując większą konspirację działań SB

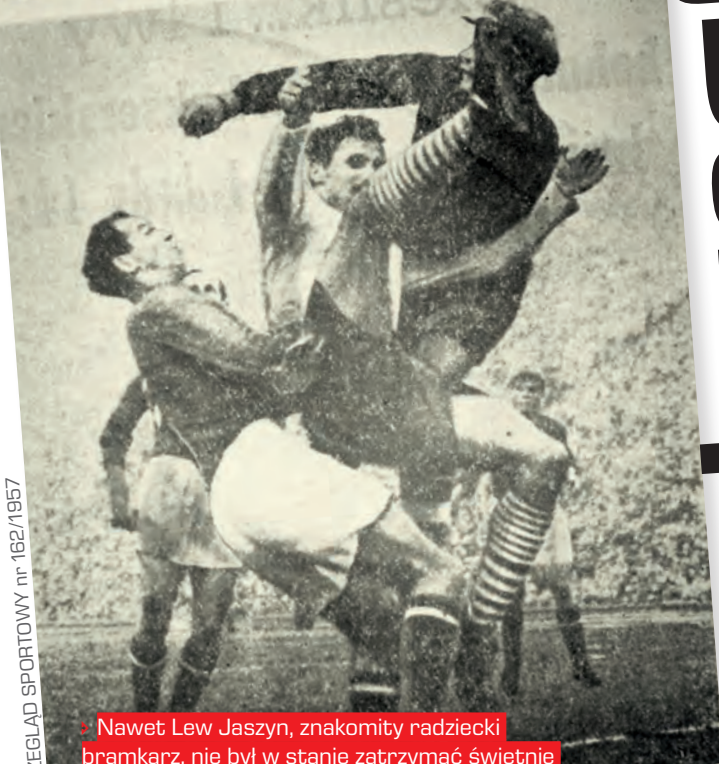
Wyk. w 1 egz.

L.dz.masz. 00334/88

NACZELNIK WYDZIAŁU IX DEP.III MSW
PPEK MGR P.O C H O C I Ń S K I

Wniosek o zakończenie SO podpisywał naczelnik jednostki SB, która ją prowadziła

DWA – JEDEN



PRZEGLĄD SPORTOWY nr 162/1957

➤ Nawet Lew Jaszyn, znakomity radziecki bramkarz, nie był w stanie zatrzymać świetnie grających Polaków

„Dokopać Ruskim”

Mariusz Żuławnik

W niedzielę 20 października 1957 roku reprezentacja Polski rozegrała mecz, który przeszedł do historii polskiej piłki nożnej. Na Stadionie Śląskim w Chorzowie biało-czerwoni w pięknym stylu pokonali kadrę narodową ZSRR 2:1. To sensacyjne zwycięstwo odbiło się szerokim echem nie tylko w Polsce, ale w całej sportowej Europie.

Mecz Polska–ZSRR – jeszcze przed pierwszym gwizdkiem sędziego określany mianem historycznego – rozegrano podczas eliminacji do mistrzostw świata w piłce nożnej, które miały się odbyć w Szwecji w roku 1958. Polska znalazła się w grupie z Finlandią i swoim wschodnim sąsiadem. Walkę o piłkarski Puchar Świata rozpoczęła 23 czerwca 1957 roku od spotkania z Rosjanami. Niestety, nasi piłkarze nie sprostali zadaniu i na stadionie na Łuźnikach w Moskwie ulegli gospodarzom 0:3. Szanse na zwycięstwo Polaków w meczu rewanżowym były zatem niewielkie. Tym bardziej że dwa miesiące wcześniej piłkarze prowadzeni przez Gawriła Kaczalina strzelili Finom aż dziesięć bramek, nie tracąc przy tym ani jednej. Reprezentacja Związku Radzieckiego uchodziła zresztą za jedną z najlepszych na świecie; rok wcześniej zdobyła złoto na Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne. W swojej drużynie miała kilku wyśmienitych zawodników, w tym światowej klasy bramkarza, legendarnego Lwa Jaszyna, nazywanego przez wszystkich „Czarną Panterą”.

Mecze z ZSRR rozegrano w rocznicę wydarzeń politycznych przełomowych w dziejach Polski. Spotkanie w Moskwie odbyło się rok po krwawym stłumieniu przez wojsko i milicję strajku generalnego i masowych demonstracji ulicznych w Poznaniu, mecz rewanżowy zaś równo dwanaście miesięcy po obradach VIII Plenum KC PZPR. Wówczas to Władysław Gomułka przedstawił swój program,

Poniedziałek
PRZEGLĄD SPORTOWY
 Warszawa, 21 października 1957 r. Cena 80 gr

WYGRALIŚMY!
Dziękujemy Ci Kapitanie
ZA DWIE BRAMKI STRZELONE
na Stadionie Śląskim

Odwet za Chorzów
ZSRR B – Polska B 5:2
 Szczegółowe wyniki red. A. Ciesielski donosi:

„Singapore 56”
nokautuje bokserów

JUTRO!
TOTO
SPORTOWY

Kto tak tyrował ten wygrał

➤ Polska prasa z entuzjazmem pisała o wspaniałym zwycięstwie w meczu z ZSRR

w którym potępił system stalinowski i „kult jednostki” oraz podkreślił potrzebę oparcia stosunków polsko-radzieckich na zasadach suwerenności i równouprawnienia. Nie podlega dziś żadnej dyskusji, że oba te wydarzenia wpłynęły na emocje kibiców i ich stosunek do gości zza wschodniej granicy. Miliony Polaków marzyły tylko o jednym, aby „dokopać Ruskim” i chociaż w ten sposób – na płaszczyźnie sportowej – odegrać się za zbrodnie wojenne, podporządkowanie Moskwie i terror w czasach stalinowskich. Zresztą kolejne spotkania obu drużyn były dla polskich kibiców czymś więcej niż tylko sportową rywalizacją. Mimo chłodnych analiz specjalistów od piłki nożnej, którzy nie dawali polskiej drużynie większych szans na zwycięstwo, kibice głęboko wierzyli w wygraną.



Drużyny Polski i ZSRR wychodzą na murawę Stadionu Śląskiego. Na pierwszym planie Gerard Cieślik, za nim bramkarz Edward Szymkowiak

Fot. PAP

Śląski gigant

Do starcia obu drużyn doszło na nowo wybudowanym Stadionie Śląskim w Chorzowie, który – obok Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie – był największym i najnowocześniejszym obiektem sportowym w kraju. Pomysłodawcą jego budowy był płk Jerzy Ziętek, wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. Prace ruszyły w roku 1952, w sąsiedztwie powstającego

wówczas Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku, który miał być największym kompleksem sportowo-szkoleniowym w Polsce. Oficjalnie Stadion Śląski oddano do użytku 22 lipca 1956 roku, podczas uroczystych obchodów tzw. Święta Odrodzenia Polski.

Obiekt imponował rozmachem. Trybuny mogły pomieścić 80 tys. widzów, a jeśli dodać do tego miejsca stojące – aż 100 tys. osób! Otwarcia towarzyszyła niezwykle rozbudowana oprawa, od przemówień przedstawicieli władz wojewódzkich i centralnych, paradi i zawodów lekkoatletycznych, po pokaz ogni sztucznych. Rozegrano tego dnia także mecz. Naprzeciw biało-czerwonych stanęła reprezentacja Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która pokonała gospodarzy 2 do 0.

Ostateczny skład pierwszej „jedenastki” w meczu rewanżowym z drużyną radziecką

kapitanat Polskiego Związku Piłki Nożnej ustalił w środę, 16 października 1957 roku, i podał do publicznej wiadomości w godzinach wieczornych. Na murawę chorzowskiego giganta mieli wybiec piłkarze grający na co dzień m.in. w Ruchu Chorzów, Legii Warszawa i Polonii Bytom. Wśród powołanych znaleźli się: Edward Szymkowiak, Stefan Floreński, Roman Korynt, Jerzy Woźniak, Ginter Gawlik, Edmund Zientara, Edward Janowski, Lucjan Brychczy, Henryk Kempny, Gerard Cieślik i Roman Lentner. W roli pierwszego trenera reprezentacji zadebiutował Tadeusz Foryś, a kapitanem drużyny został powołany na mecz w ostatniej chwili Cieślik, trzydziestoletni zawodnik Ruchu Chorzów. Dla popularnego „Gienka” spotkanie z reprezentacją Związku Radzieckiego miało być jubileuszowym, czterdziestym meczem rozegranym w barwach narodowych. Ten niewysoki skądinąd piłkarz zaliczany był do najlepszych napastników w kraju. O jego klasie niech świadczą słowa sympatyków chorzowskiego zespołu: „Jest Cieślik – jest Ruch! Nie ma Cieślika – jest bezruch”.

W czwartek 17 października na warszawskim Okęcu panowało wyraźne ożywienie. Przez lotnisko przewijali



Ginter Gawlik i Edward Szymkowiak cieszą się ze zwycięstwa

Gawlik i Szymkowiak w serdecznym uścisku. Obaj dziękują sobie wzajemnie za pomoc w uwolczeniu tak wspaniałego meczu. Szymkowiak: Przy bramce, która zdobył Iwanow, trochę się zagapiłem. Myślałem, że strzeli w prawy róg, a tymczasem piłka...



Gerard Cieślak, strzelec dwóch bramek, był po meczu noszony przez kibiców na rękach

się dziennikarze, komentatorzy sportowi oraz fotoreporterzy. Tego dnia do Polski przyleciała także reprezentacja ZSRR oraz przedstawiciele Sekcji Piłki Nożnej ZSRR, działającej przy Wszechnizwiazkowej Federacji Kultury Fizycznej. Gości osobiście witał prezes PZPN Stefan Glinka. Piłkarze Gawriła Kaczalina nie

zatrzymali się dłużej w stolicy. Po posiłku i udzieleniu prasie kilku wywiadów odlecieli na Śląsk. Tam zakwaterowano ich w hotelu „Orbis” w Katowicach. Reprezentacja Polski, która w czwartek przeprowadziła ostatni trening przed meczem, zamieszkała przy ul. Bielskiej.

Zainteresowanie meczem Polska–ZSRR przekroczyło najniższe oczekiwania organizatorów. Z całego kraju napłynęło bowiem ponad 400 tys. zamówień na bilety! Tym, którzy nie stali się ich szczęśliwymi posiadaczami, pozostały radiodbiorniki. Śląski Okręgowy Związek Piłki Nożnej szacował, że 70 proc. kibiców przyjedzie do Chorzowa samochodami ciężarowymi. Dlatego też przygotowano dla nich 3 tys. miejsc parkingowych oraz kilkaset kolejnych dla samochodów osobowych. Pozostałych kibiców miały dowozić z Bytomia, Katowic i Siemianowic autobusy i tramwaje. Nad bezpieczeństwem czuwać miało 1300 milicjantów, których skierowano nie tylko na stadion, ale także na ulice śląskiej aglomeracji. Opiekę medyczną podczas meczu miało sprawować tylko siedmiu lekarzy i dwadzieścia pielęgniarek; przydzielono im do dyspozycji pięć karet pogotowia. Kibicom zapewniono osiem kuchni polowych, natomiast amatorom mocnych trunków... izbę wytrzeźwień.

Filigranowy „diabeł”

Mecz rozpoczął się w niedzielę w samo południe. Pogoda nie sprzyjała zawodnikom. Było zimno, mgliście, deszczowo. Gwizdek angielskiego sędziego Johna Harolda Clougha poprzedziło odśpiewanie hymnów obu drużyn. Świadkowie tamtych wydarzeń wspominali po latach, że goście, słysząc Mazurka Dąbrowskiego w wykonaniu 100 tys. gardeł, mieli strach w oczach. Mecz od samego początku był rozgrywany w szybkim tempie, a dominowali Polacy. Głównymi bohaterami spotkania zostali Gerard Cieślak i Edward Szymkowiak. Ten pierwszy pokonał Jaszyna dwukrotnie, w 43. i 50. minucie. Przy pierwszej bramce asystował mu Kempny, natomiast przy drugiej, zdobytej głową, Brychczy. Z kolei Szymkowiak z sukcesem odparł kolejne ataki ofensywy gości. Skapitulował tylko raz. W 79. minucie piłkę w bramce biało-czerwonych umieścił napastnik Walentyn Iwanow.

Po końcowym gwizdku sędziego na Stadionie Śląskim zapanowała euforia. Ludzie krzyczeli ze szczęścia, śpiewali *Sto lat!*, padali sobie w ramiona. Niektórzy płakali z radości, patrząc z niedowierzaniem na tablicę wyników. Kibice, po przełamaniu kordonu wokół murawy, wbiegli na boisko i pochwycili na ramiona Cieślaka, Brychczego oraz Szymkowiaka, po czym zanieśli ich do szatni. Tam, jak wspominają naoczni świadkowie, Szymkowiak się popłakał. Miał on bowiem osobistą satysfakcję ze zwycięstwa. Jego ojciec, oficer Wojska Polskiego, został zamordowany przez Sowieców w Katyniu w roku 1940.

Feta dość szybko przeniosła się ze stadionu na ulice śląskiej aglomeracji. Oczywiście, zbyt entuzjastyczne okazywanie radości ze zwycięstwa nad wschodnim sąsiadem mogło się skończyć spotkaniem z milicją, a nawet... represjami ze strony SB.

Zwycięstwo Polaków odbiło się szerokim echem w całej Europie, pochlebnym opiniom nie było końca. Grę biało-czerwonych oraz sensacyjny wynik chwalili nie tylko dziennikarze i komentatorzy sportowi z Austrii, Francji czy

JANKOWSKI
miałem tyk
obronę Kuzni
na prawym
debiutem. p
Moskwy w ja
cowerm staczal
iem do wronk
kać mu do si
rzeczywistości.
szedł za mn
flance mógł m
Brychczy, edy
zostawał blisk
wojne pole d
pola. Dzieki
cji nawet szyl
okazali się za

BRYCHCZY.
mogłem zemie
zamiast in
do łozka. Ma

SZTOKHOLM.
zencje CSR l
sezon meczem
w Sztokholmie
czyło się 3:4
3:3 (0:0, 1:0).

BERLIN. 7
Włochy — NI
Monachium ho
kał międzynarod
szym meczu l
cja juniorów f
row NRF 3:4

PRAGA (tele
atletycznych z
rozegranych p
Huda Hszada l
go. Złotokowa
53,80 l
tym rok
cie.

Me
z ZA

Przebieg wypadku
Kempnego

Fot. E. Warmiński

Skład

Przebieg wypadku
Kempnego

Przebieg wypadku
Kempnego



Borys Kuzniecowa likwiduje wypad Kempnego

Fot. E. Warmiński

Skład

Węgier, lecz także działacze piłkarscy oraz zawodnicy z klubów europejskich. Wszyscy byli zgodni co do tego, że był to najlepszy mecz polskiej kadry narodowej od zakończenia II wojny światowej.

Także przeciwnicy biało-czerwonych wypowiadali się o grze polskiego zespołu w samych superlatywach. Lew Jaszyn nie szczędził pochwał pod adresem zdobywcy dwóch bramek: „Ten Cieślik to istny diabeł! Zwinny, strzela jak z katapulty i przy tym celnie. Właśnie jego najbardziej się obawiałem z całej piątki napastników. Nic dziwnego, że w bramce miałem pełne ręce roboty”. Inni z kolei chwalili Szymkowiaka, który kilkakrotnie ratował biało-czerwonych przed utratą bramki. Dla Walentyna Iwanowa to właśnie bramkarz, a nie Cieślik był bohaterem spotkania. Rosyjski napastnik wspominał po spotkaniu: „W drugiej minucie meczu przedarłem się przez waszą obronę i znalazłem się sam na sam z Szymkowiakiem. Byłem więcej niż pewny, że zdobędę bramkę. Szybko podciągnąłem piłkę kilka metrów i z odległości około czternastu metrów strzeliłem w okienko. To, co się stało potem, po prostu mnie urzekło. Szymkowiak, jakimś nadludzkim wysiłkiem, wykonał wspaniałą powietrzną robinsonadę i piątkował na aut”.

Kilka godzin po meczu piłkarze obu drużyn spotkali się ponownie. Tyle tylko że stroje sportowe zamienili na garnitury, a stadion na restaurację. Piłkarze

ZSRR opuścili Śląsk w poniedziałek przed południem. Pojechali do Warszawy, gdzie w hotelu „Polonia” mieli godzinny odpoczynek. Następnie podstawionym autokarem udali się na Okęcie, skąd odlecieli do Moskwy.

Garnizon kibiców

Mimo wygranej Polacy nie mogli być pewni awansu do mistrzostw świata. Co prawda w meczu rewanżowym 3 listopada na Stadionie Dziesięciolecia pokonali reprezentację Finlandii 4:0 (wcześniej w Helsinkach wygrali 3:1), ale o wyjściu z grupy miał zdecydować dopiero wynik spotkania barażowego z ZSRR. Mecz planowano na neutralnym gruncie. Ostatecznie, pod naciskiem władz piłkarskich ZSRR, zdecydowano, że odbędzie się on na Stadionie Centralnym w Lipsku. Dodajmy, w mieście, w którym od zakończenia II wojny światowej stacjonował olbrzymi garnizon armii radzieckiej. Piłkarze Kaczalina mieli zatem zagwarantowany komplet kibiców. A Stadion Centralny – tak jak Stadion Śląski – mógł pomieścić 100 tys. widzów.

Mecz barażowy rozegrano 24 listopada 1957 roku. Tuż przed rozpoczęciem spotkania piłkarzy, działaczy sportowych i kibiców powitał nadburmistrz Lipska, który życzył zawodnikom sukcesów, a stutysięcznej widowni, której sympatie bynajmniej nie były po stronie biało-czerwonych, niezapomnianego

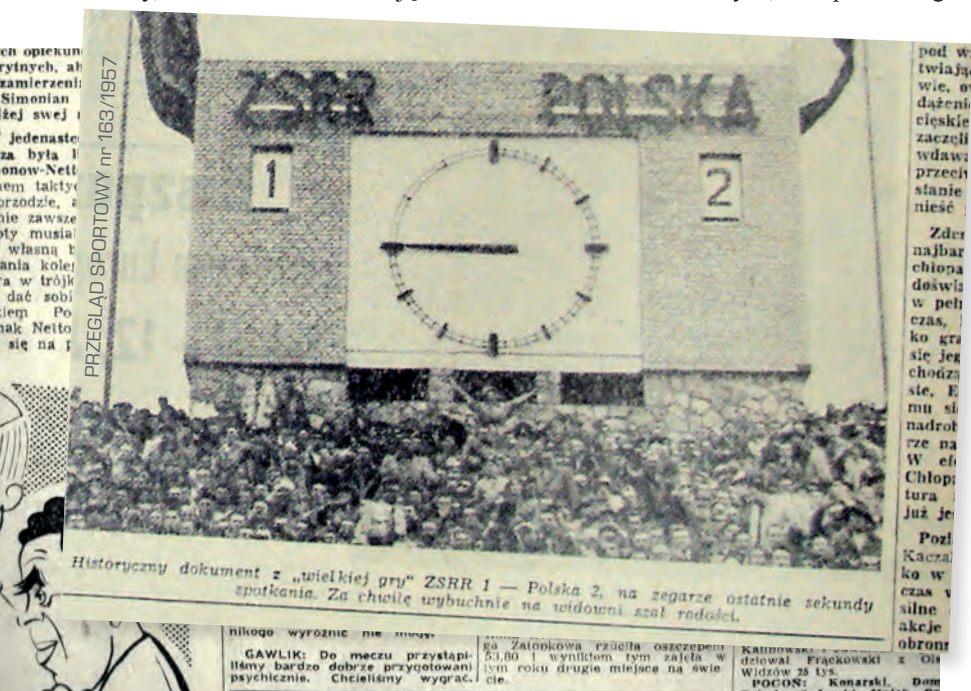
widowiska. Jednocześnie podziękował władzom piłkarskim Polski i Związku Radzieckiego za wybór Stadionu Centralnego na miejsce decydującego starcia obu drużyn. Niestety, Polacy nie zdołali powtórzyć sukcesu z Chorzowa – przegrali 0:2. Tego dnia stroną przeważającą była „jedenastka” Kaczalina. Dlatego też to reprezentacja ZSRR – po raz pierwszy w historii – awansowała do mistrzostw świata. Dotarła aż do ćwierćfinału, gdzie zmierzyła się ze Szwedami i przegrała 0:2. Ostatecznie piłkarski Puchar Świata powędrował do rąk Brazylijczyków, którzy w meczu finałowym, rozegranym w Sztokholmie, pokonali gospodarzy 5:2.

Mecz Polska–ZSRR z 1957 roku, któremu towarzyszyły niezwykle silne emocje, także te z podtekstem politycznym, przeszedł do historii polskiego futbolu. Nie tylko dlatego że biało-czerwoni pokonali mistrzów olimpijskich 2:1, a spotkanie obejrzało 100 tys. widzów, ale także dlatego, że zwyciężyli reprezentację Związku Radzieckiego. Zwycięstwo Polaków miało zatem wymiar symboliczny. Tym, który „dokopał Ruskim” – dosłownie i w przenośni – był Gerard Cieślik, po meczu okrzyknięty przez kibiców bohaterem narodowym. „Gienek” w kadrze rozegrał łącznie czterdzieści pięć meczów, strzelając dwadzieścia siedem bramek. Po latach został członkiem elitarnego Klubu Wybitnego Reprezentanta, mimo że w barwach narodowych nie rozegrał wymaganych sześćdziesięciu spotkań.

W okresie PRL reprezentacje Polski i ZSRR spotkały się na Stadionie Śląskim jeszcze tylko raz: 22 maja 1983 roku rozegrały mecz w ramach eliminacji do piłkarskich mistrzostw Europy we Francji w 1984 roku. Spotkanie, rozegrane dwa miesiące przed zniesieniem stanu wojennego, obejrzało 75 tys. widzów. Padł wówczas remis 1:1. Powtórki z 1957 roku nie było. 🍷

dr Mariusz Żuławnik – historyk,
zastępca naczelnika Wydziału Ewidencji BUiAD IPN

Redakcja dziękuje Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie za pomoc w zilustrowaniu artykułu.





Fot. PAP / Stefan Kraszewski

Gdy Lechia Gdańsk grała z Juventusem Turyn

Jacek Słoma

Lechia Gdańsk, zdobywca piłkarskiego Pucharu Polski w 1983 roku, w całej Polsce była identyfikowana z NSZZ „Solidarność”. Największe sukcesy sportowe tej drużyny przypadły na szczególnie trudny okres walki z systemem totalitarnym, którego ośrodkiem był wówczas Gdańsk.

Jerzy Jastrzębowski, ówczesny trener Lechii, wspomina: „Byliśmy bardzo sympatycznie przyjmowani w innych miastach. Zawsze był taki moment podczas meczów, gdy nasi kibice skandowali antykomunistyczne hasła”. Do łagodniejszych należały: „MO – gestapo”, „Precz z komuną!”, „Nienawidzę ZOMO, o, o, o, o”, „Nie ma wolności bez

Solidarności!”, „Solidarność – Lechia Gdańsk”. Można więc powiedzieć, że gdański stadion przy ulicy Traugutta był swoistym punktem oporu społecznego.

Ciekawy przebieg miał finałowy mecz o Puchar Polski między Lechią Gdańsk a Piastem Gliwice, rozegrany 22 czerwca 1983 roku w Piotrkowie Trybunalskim. Już podczas odśpiewywania Mazurka Dąbrowskiego przed rozpoczęciem gry kibice Lechii wzniesli ręce do góry w geście „Victorii”. Podczas całego meczu skandowali zaś antykomunistyczne i solidarnościowe hasła, nic sobie nie robiąc z obecności na stadionie przedstawicieli władz państwowych i Polskiego Związku Piłki Nożnej. Ksiądz Jarosław Wąsowicz, zaangażowany kibic Lechii i autor książki *Biało-Zielona Solidarność. O fenomenie politycznym kibiców gdańskiej Lechii 1981–1989*, opisuje, jak po zwycięskim finale w Piotrkowie kibice

z Gdańska wracali autokarami przez Łódź, wykrzykując antytotalitarne hasła. Wzbudziło to najpierw zdziwienie, a potem entuzjizm przechodniów.

Z papieskim błogosławieństwem Zdobywanie Pucharu Polski otworzyło gdańszczanom drogę do rozgrywek w Pucharze Zdobywców Pucharów. W I rundzie przeciwnikiem Lechii Gdańsk został Juventus Turyn – triumfator Pucharu Włoch. Trzon tego zespołu stanowili zawodnicy reprezentacji Włoch, która zdobyła mistrzostwo świata w roku 1982. Byli to: Antonio Cabrini, Claudio Gentile, Paolo Rossi, Gaetano Scirea, Marco Tardelli i Dino Zoff. Drużynę uzupełniały dwie zagraniczne gwiazdy: Michel Platini, uznawany wówczas za najlepszego piłkarza Europy, i Zbigniew Boniek.

W ramach przygotowań do zbliżającej się rywalizacji Lechia odbyła swo-

▲ W rywalizacji ze słynnym Juventusem Turyn Lechia Gdańsk miała niewielkie szanse; Zbigniew Boniek strzela zwycięskiego gola dla włoskiej drużyny

iste tournée po Półwyspie Apenińskim, grając kontrolne mecze z czterema drużynami. Działaczom klubu z Wybrzeża udało się również uzyskać zaproszenie na prywatną audiencję u papieża Jana Pawła II, który przyjął kilkudziesięcioosobową grupę gdańszczan w Castel Gandolfo. Wizytę poprzedziła spowiedź i msza święta, co wywołało sprzeciw towarzyszącego delegacji przedstawiciela Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Aż czterdziestu z 94 polskich kibiców, którzy wyjechali z Lechią do Włoch, poprosiło na miejscu o azyl. W samolocie powrotnym do Gdańska-Rębiechowa było wiele pustych miejsc.

Pierwszy mecz Lechii z Juventusem odbył się 14 września 1983 roku w Turynie. Gdańszczanie przegrali aż 0:7. Gole dla gospodarzy strzelili: Domenico Penzo (4), Michel Platini (2) i Paolo Rossi (1).

Zabezpieczyć mecz

Wynik nie pozostawiał złudzeń co do dalszych losów rywalizacji. Nie to jednak było istotne. Zaplanowany na 28 września rewanż w Gdańsku, rozgrywany krótko po zniesieniu w Polsce stanu wojennego, mógł być dla kibi-

ców okazją do zademonstrowania niezadowolenia z sytuacji w kraju. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych (WUSW) miał sygnały, że na stadionie pojawi się Lech Wałęsa, lider zdelegalizowanego NSZZ „Solidarność”. Ponieważ spodziewano się antyrządowych wystąpień, gdańscy esbecy podjęli przygotowania do „operacyjnego zabezpieczenia” meczu.

Służba Bezpieczeństwa miała między innymi bacznie obserwować pobyt w Polsce włoskich dziennikarzy. Towa-

rzyszyło ich Juventusowi aż trzydziestu siedmiu. Włoskie media interesowały się nie tylko rywalizacją sportową, ale i sytuacją polityczną w Polsce. Dziennik „La Gazzetta dello Sport” opublikował nawet wywiad z Wałęsą.

W WUSW zadbano o „poprawny” charakter transmisji telewizyjnej. Redaktor naczelny Gdańskiego Ośrodka Telewizji został zobligowany do tego, aby na antenę nie dostały się ujęcia „z wrogich wystąpień grup związanych z podziemiem politycznym oraz



► Na trybunach pojawił się Lech Wałęsa; gdańscy kibice zgotowali mu entuzjastyczne powitanie



potwierdzające pobyt na stadionie osób znanych z antyrządowych wystąpień”. Ponadto jedna z ekip telewizyjnych miała rejestrować wszelkie nieprzychylnie władzom gesty kibiców, dokumentować ich zachowanie i umieszczone na transparentach napisy. Zalecano nawet podjęcie „działań zabezpieczających mikrofony w celu uniemożliwienia przekazania na antenę okrzyków wrogiej treści”. To akurat na niewiele się zdało, bo w trakcie telewizyjnej transmisji cała Polska mogła usłyszeć skandowane w przerwie meczu słowa: „Solidarność, Solidarność”.

Wielka mobilizacja

Za miejsca newralgiczne, w których po meczu mogło dojść do manifestacji antyrządowych, uznano okolice Pomnika Poległych Stoczniovców, bramy nr 2 Stoczni im. Lenina i siedziby zdelegalizowanej Solidarności. Miasto podzielono na siedem sektorów, w których rozmieszczono odpowiednio wyposażone oddziały milicji, w każdym od osiemdziesięciu do 240 ludzi. Na stadionie rozstawiono trzy kompanie, które wspierała dwuosobowa grupa funkcjonariuszy w cywilu, bez broni, ale za to wyposażonych w sprzęt fotograficzny. Do tej swoistej „stadionowej agentury” należało wskazanie oddziałom prewencyjnym, przebywającym w danym sektorze, ewentualnych prowodyrów i osób zakłócających porzą-

dek. Owi funkcjonariusze w cywilu mieli również – wraz z ormowcami – pomóc służbom porządkowym w zapewnieniu bezpieczeństwa działaczom partyjnym. Mieli także ochraniać sprzęt radiowo-telewizyjny, pomagać w ustaleniu danych personalnych konkretnych osób oraz usuwać transparenty antyrządowe. Trybunę honorową zabezpieczać miał pluton dzielnicowych.

W stan gotowości postawiono personel medyczno-sanitarny, karetki pogotowia, a nawet sądy. W sumie zaangażowano 1512 funkcjonariuszy, w tym trzystu zomowców z Warszawy oraz stu z Elbląga i Olsztyna. Wykorzystano też dziesięć osmiokołowych transporterów opancerzonych BTR-60, dwa samochody BRDM 2, dziesięć armatek wodnych, pięć więźniarek i jeden reflektor. Całym przedsięwzięciem kierował płk Andrzej Stojek z WUSW.

Mecz w Gdańsku przebiegał inaczej niż w Turynie. Pierwszą bramkę zdobył w 18. minucie Beniamino Vignola. Do remisu doprowadził w 51. minucie Marek Kowalczyk. Po strzale z rzutu karnego Jerzego Kruszczyńskiego

prowadzenie objęła Lechia. Wyrównał Roberto Tavola, a wynik meczu ustalili w 83. minucie Zbigniew Boniek. Lechia przegrała z Juventusem 2:3.

W przerwie meczu kibice dowiedzieli się, że jest wśród nich Wałęsa. Rozległy się okrzyki „Lechu, Lechu”, a następnie przez kilka minut skandowano „Solidarność, Solidarność”. Po meczu doszło w kilku miejscach do drobnych starć z ZOMO, którym towarzyszyły okrzyki „Precz z komuną” itp. Incydenty nie przerodziły się jednak w zamieszki na większą skalę.

Zmęczone społeczeństwo

Można zadać pytanie: dlaczego środowiska „podziemia” nie wykorzystwały tak medialnego wydarzenia jak mecz Lechii z Juventusem? Dlaczego wyraźnie nie zamaniestowały niezadowolonych z sytuacji panującej w Polsce? Czy tylko dlatego, że esbecy byli dobrze przygotowani do starcia? Być może słuszną jest teza, że społeczeństwo było zmęczone restrykcjami dopiero co zniesionego stanu wojennego i wszelkie manifestacje nie cieszyły się już tak dużym poparciem jak w okresie „karnawału Solidarności” (1980–81). Tym bardziej że władze podejmowały skuteczne działania paralizujące poczynania „podziemia”, czego przykładem było chociażby stłumienie w roku 1983 w Gdańsku i Gdyni niezależnych obchodów 1 i 3 Maja. Należy też przypomnieć, że „nieznani sprawcy” zamordowali 30 czerwca tego samego roku Jana Samsonowicza, działacza Ruchu Młodej Polski.

W przeddzień meczu rewanżowego Lechii z Juventusem polska telewizja emitowała film *Pieniądze*, który miał skompromitować Lecha Wałęsę. Kampania wymierzona w symbol zdelegalizowanej Solidarności nie przyniosła jednak rezultatu. Gdańscy kibice entuzjastycznie powitali Wałęsę na meczu z Juventusem. Stadion przy ulicy Traugutta pozostał bastionem opozycji. ■

Jacek Stoma – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

► Radość kibiców po голу dla Lechii

Przemienić brylanty w traktory

Mikołaj Getka-Kenig

Każda państwowa galeria pragnie gromadzić zbiory, a nie dobrowolnie się ich pozbywać. Zupełnie inaczej postąpiono w sowieckiej Rosji za czasów Stalina.

Pod koniec lat dwudziestych XX wieku rządzący w Związku Radzieckim bolszewicy zdecydowali się porzucić dotychczasowy kurs gospodarczy spod znaku Nowej Ekonomicznej Polityki (NEP). Sprawnie dążący do jedynowładztwa Józef Stalin poparł ideę pierwszego planu pięcioletniego, zakładającego kolektywizację rolnictwa oraz rozbudowę przemysłu. Ambitne plany czerwonych decydentów wymagały jednak zastrzyku gotówki, której brakowało. Zaczęto szukać skarbów, które dałoby się bezproblemowo i korzystnie spieniężyć. Znalaziono je w leningradzkim Państwowym Muzeum Ermitażu. Jak to określił jeden z sowieckich historyków sztuki, zaczęto przymierzać się do zamiany artystycznych brylantów na upragnione traktory.

W lutym 1928 roku na biurko dyrektora tej szacownej instytucji, zawdzięczającej swoje powstanie Katarzynie II, trafiło pismo Komisarjatu Oświecenia. Nakazywało ono sporządzić listę obiektów przeznaczonych na wywóz z kraju i łącznie szacowanych na dwa miliony rubli. Z początku nie było jednak mowy o sprzedaży arcydzieł. Na Zachód dostawały się tylko przedmioty



► Rafael, *Madonna Alba*, National Gallery of Art, Waszyngton

o stosunkowo niewielkiej wartości, jak biżuteria, meble czy srebra stolowe, których nie brakowało po nacjonalizacji prywatnych majątków. Nagły strumień rosyjskich antyków nie wzbudził jednak większego zainteresowania zachodnich koneserów. Większą ciekawość wywołały natomiast pogłoski o spodziewanej wyprzedaży carskich skarbów. Miała to być okazja, której nowoczesny rynek sztuki nigdy wcześniej nie doświadczył.

Pazerni milionerzy

Bolszewicy wiedzieli, że kontakty z potencjalnymi nabywcami powinny odbywać się w ścisłej tajemnicy,

bo ujawnienie całej sprawy mogło zaszkodzić w osiągnięciu najwyższej możliwej sumy za każde płótno. Pierwsze rozmowy prowadzono z niejakim Armandem Hammerem, zaledwie trzydziestoletnim milionerem, który dorobił się majątku na eksporcie lekarstw do Związku Radzieckiego. Jego szerokie koneksje w tej części świata (sam był z pochodzenia rosyjskim Żydem, a jego ojciec należał do kierownictwa wspieranej przez Kreml amerykańskiej partii komunistycznej) zapewniały mu niezbędne zaufanie. Z Hammerem współpracował słynny brytyjski marszand Joseph Duveen, uznawany za najbardziej ►



► Tycjan, *Wenus z lustrem*, National Gallery of Art, Waszyngton

wpływową postać w swoim fachu. Obaj panowie wybrali czterdzieści najcenniejszych dzieł z przedstawionej im listy (prace m.in. Rafaela, Leonarda, Rubensa) i zaproponowali za nie tylko pięć milionów dolarów (obecnie, po przeliczeniu, byłoby to ok. pięćdziesięciu milionów). Ich wyobrażenia na temat naiwności strony przeciwnej okazały się jednak mocno przesadzone. Sowieccy specjaliści wiedzieli,

że proponowana suma jest mocno zaniżona. Rozmowy przerwano.

Kupiec jednak wciąż był potrzebny. Szukano więc dalej. Na horyzoncie pojawił się Calouste Gulbenkian, bajecznie bogaty Ormianin, mający monopol na wydobycie ropy w Iraku. Już wówczas był właścicielem pokażnej kolekcji dzieł sztuki, obejmującej zarówno starożytne posągi egipskie, płótna van Dycka, jak i sece-

syjne szkła Lalique'a. Rezydujący na stałe w Paryżu naftowy magnat już wcześniej przysłużył się radzieckiej władzy, kiedy pomagał w wypromowaniu na Zachodzie bakijskich rafinerii. Również tym razem mogło się wydawać, że współpraca zakończy się obustronną korzyścią.

Z początku wszystko szło gładko. W latach 1928–1930 Gulbenkian zakupił wiele pięknych i rzadkich przedmiotów i obrazów. Oprócz *Portretu Heleny Fourment* pędzla Rubensa oraz płócien Rembrandta, Watteau czy Lancreta, nie omieszkał zabrać do Francji kilku sztuk srebrnych naczyń z carskiej zastawy, a także biurka Ludwika XIV. Bolszewicy jednak nabrali podejrzeń. Gulbenkian, mając quasi-monopol na rosyjskie skarby, zaczął niemal dyktować ceny. Czarę przełamała transakcja dotycząca Rembrandtowskiego *Portretu starca w czerwieni*. Radziecka strona uznała proponowaną sumę 30 tys. dolarów za nie do przyjęcia. Podobnie jak w wypadku spółki Hammer–Duveen, ormiański miłośnik sztuki zapłacił za swoją pazerność odrzuceniem dalszych ofert kupna.

Mellon wchodzi do gry

Śmiałe potraktowanie Gulbenkiana wynikało z faktu, że do drzwi Ermitażu zapukał o wiele poważniejszy klient. Jeszcze zanim ostatecznie pożegnano się z nafciarzem, Antykwariat (radziecka komisja ds. sprzedaży skarbów muzealnych) rozpoczął negocjacje z jednym z berlińskich domów aukcyjnych, który pozostawał w kontaktach z marszandami w Londynie i Nowym Jorku. W ten skomplikowany sposób do gry wszedł Andrew William Mellon, amerykański sekretarz skarbu.

Ten arcybogaty bankier, potomek znanego rodu miliarderów, zapisał się w historii USA z powodu swojej skrajnie liberalnej polityki gospodarczej, której przypy-

sywano współodpowiedzialność za światowy kryzys lat 1929–1934 (za sterem federalnych finansów zasiadał w latach 1921–1932), oraz dzięki kolekcjonerskiej pasji, której Ameryka zawdzięcza wspaniałe narodowe zbiory sztuki.

Wcześniej Mellon kupował wiele, ale chaotycznie. Co roku wzbogacał własne zbiory o prace dawnych mistrzów, jednak nigdy nie trafiły mu się autentyczne arcydzieła. Kiedy tylko doszły go słuchy o wyprzedazy w Ermitażu, uznał, że jest to jedyna taka szansa, którą grzech byłoby przegapić. Tym bardziej że w czasie kryzysu nie tracił, lecz bogacił się.

Bezpośrednie rozmowy za pośrednictwem wspomnianego międzynarodowego syndykatu marszandów trwały od początku 1930 roku. Pierwsze obrazy znalazły się w rękach Mellona już na wiosnę. Ze ścian Ermitażu zdjęto wówczas dwa Rembrandty i jednego Halsę, które sprzedano za ponad pół miliona dolarów łącznie. Jeszcze zanim Amerykanin ujrzał swoje nowe nabytki, doszła go wiadomość, że Antykwariat oferuje mu coś nadzwyczaj unikatowego – intrygujące *Zwiastowanie* Jana van Eycka. Mellon nawet się nie zastanawiał, przy dziełach tej klasy nie ma mowy o wahaniach, a cena nie gra roli. Niedługo potem niewielkie (93 x 37 cm) płótno mitycznego ojca malarstwa olejnego znalazło się w Nowym Jorku.

W ciągu następnych miesięcy amerykański sekretarz skarbu składał kolejne zamówienia, poprzedzone sumiennymi konsultacjami i fachowymi lekturami na temat proponowanych mu dzieł. Łącznie wydał w tym czasie siedem milionów na płótna Rembrandta, Velásqueza, Tycjana oraz innych mistrzów. Oddzielne negocjacje dotyczyły dwóch olejnych klejnotów Rafaela, obrazów *Święty Jerzy walczący ze smokiem* oraz *Madonna Alba*. Pierwszy

poszedł za 750 tys. dolarów, drugi za cenę o milion wyższą. Nie obyło się jednak bez zgrzytów. Wprawdzie radzieckie władze były usatysfakcjonowane kontaktami z Amerykaninem, lecz w Ermitażu ujawniła się opozycja, sprzeciwiająca się wyprzedawaniu kulturowego dziedzictwa. Szczęśliwie dla kontrahentów szybko ją stłumiono, pozbywając się dotychczasowego dyrektora muzeum i zastępując go pokornym urzędnikiem.

Biznes kręcił się więc dalej i Mellon stał się właścicielem najbardziej imponującej prywatnej kolekcji dzieł dawnych mistrzów. Jednak trudno mu było chwalić się swym zakupem. Nie zapłacił bowiem ani centa podatku od zakupionych płócien, a ponadto w tym czasie Kongres pracował nad ustawą antyimportową i kilkuletnie interesy Mellona ze Związkiem Radzieckim mogły zostać odebrane jako działanie sprzeczne z interesem narodowym. Ponieważ miliarder nie był zwykłym obywatelem, lecz znanym politykiem, ujawnienie jego działań mogło się zakończyć wielkim skandalem i groźnymi konsekwencjami prawnymi.

Dar dla Waszyngtonu

Mellon był tego świadom, dlatego przezornie przepisał wszystkie rosyjskie obrazy na specjalny fundusz, utworzony z myślą o założeniu amerykańskiej Galerii Narodowej, co było jego wielkim marzeniem. Kiedy zatem prasa zaczęła pisać o jego tajemniczych powiązaniach z Ermitażem (a więc pośrednio z Kremlem), sekretarz skarbu mógł już powiedzieć, że nie jest właścicielem żadnego petersburskiego obrazu. Dni publicznej kariery Mellona były już jednak policzone. Podał się do dymisji, upadła też administracja republikańska. Władzę przejęli demokraci, prezydentem został Franklin D. Roosevelt. Szybko pod adresem Mellona po-

jawily się oskarżenia o niepłacenie podatków – emerytowany polityk miał być winny skarbowi państwa trzy miliony dolarów. Proces trwał kilka lat. Ostatecznie sąd uniewinnił byłego sekretarza skarbu.

Mellon postanowił ziszczyć swoje największe marzenie. Pod koniec 1936 roku wystosował list do prezydenta z prośbą o przyjęcie kilkudziesięciu płócien wraz z potężnym datkiem finansowym na rzecz utworzenia Galerii Narodowej w Waszyngtonie. W następnym roku, na kilka miesięcy przed śmiercią, dowiedział się, że Kongres przegłosował przyjęcie jego daru. Nową instytucję, wzorowaną na wielkich europejskich muzeach (takich jak petersburski Ermitaż), otwarto w 1941 roku. Z czasem znakomity zbiór dwudziestu jeden obrazów z carskich zbiorów został powiększony o kolejne, już jawne zakupy. Dzięki temu w latach sześćdziesiątych zawisł tam sławny *Portret Ginevry de'Benci*, jedyny obraz Leonarda da Vinci znajdujący się obecnie poza Europą. Pieniądze na zgodną z wszelkimi przepisami transakcję wyłożyła synowa kontrowersyjnego fundatora.

Tymczasem w Związku Radzieckim zaprzestano ogalać magazyny Ermitażu. O procederze wiedziało zbyt wiele osób, trudno było dalej ukrywać okoliczności zaginięcia tak znacznej liczby bezcennych dzieł (Rafael czy Tycjan nie mógł się tak po prostu zawieruszyć). Zresztą uzbierano dość pieniędzy, a Stalin poczuł nagle słabość do rosyjskich skarbów kultury. *Uczta Kleopatry* Tiepola (obecnie w Melbourne) była ostatnim obrazem wysłanym za granicę, ale dopiero po upadku ZSRR rosyjska Duma przegłosowała ustawę zakazującą transakcji tego typu. 📌

Palmiry – miejsce masowych straceń

W niewielkiej wiosce pod Warszawą Niemcy wymordowali prawie dwa tysiące Polaków. Głównie tych, których uznali za „nosicieli narodowego oporu”.

Maria Wardzyńska

Palmiry leżą na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej, największego kompleksu leśnego w okolicach Warszawy. Nazwa ta stała się znana niemal wszystkim Polakom krótko po zakończeniu II wojny światowej, gdy w pewnej odległości od wsi odkryto 24 zbiorowe mogiły. Spoczywały w nich ofiary masowych egzekucji, dokonywanych przez Niemców w pierwszych latach okupacji. W Palmirach rozstrzelano w tym czasie co najmniej 1700 osób.

Poza Palmirami odkryto po wojnie ponad dwieście miejsc masowych zbrodni, w których okupanci zamordowali jesienią 1939 roku i wiosną

1940 roku tysiące osób. Przejęcie przez aliantów dokumentów wytworzonych w III Rzeszy oraz akta procesów toczących się przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym i innymi sądami pozwoliły poznać okoliczności, w jakich doszło do tych straszliwych zbrodni.

Uderzyć w elity

Jak wiemy, celem napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę było unicestwienie państwa i narodu polskiego oraz całkowita germanizacja ziem polskich.

Działania te musiały wywołać opór Polaków, z czego przywódcy niemieccy zdawali sobie sprawę. Mieli także świadomość, że opór ten będzie się ogniskować

wokół osób będących nosicielami idei państwa polskiego i działających na rzecz tego państwa.

Przeszkodę w osiągnięciu wytyczonego przez Rzeszę celu należało, zdaniem przywódców niemieckich, natychmiast usunąć, a osoby manifestujące przywiązanie do państwa polskiego „unieszkodliwić” (*unschädlich machen*). Niemiecka służba bezpieczeństwa i tajna policja jeszcze przed wybuchem wojny zorganizowały na terytorium Polski gęstą sieć konfidentów, rekrutujących się spośród aktywnych członków profaszystowskich organizacji niemieckich, których zadaniem było dostarczenie informacji o aktywnych politycznie Polakach.

Rezultatem wieloletniego działania niemieckich konfidentów w Polsce była lista osób poszukiwanych przez niemiecką służbę bezpieczeństwa – tzw. specjalna księga gończa (*Sonderfahndungsbuch Polen*). Figurowały na niej dane osobowe dyrektorów, profesorów, nauczycieli, urzędników, robotników i rolników uznanych za aktywnych politycznie. Nazwiska tych osób – wraz z nakazami aresztowania – zostały następnie przekazane grupom operacyjnym policji bezpieczeństwa, wkra-



Transport polskich więźniów na egzekucję w Palmirach

Fot. AIPN



► Kobiety z opaskami na oczach na chwilę przed egzekucją, Palmiry, 1940 rok

czającym do Polski za nacierającymi armiami (tzw. operacja „Tannenberg”).

We wrześniu 1939 roku krąg osób, które – zdaniem władz niemieckich – należało wyeliminować, został znacznie rozszerzony. Grupy operacyjne otrzymały rozkaz rozprawienia się ze wszystkimi, którzy mogą być uznani za „nosieli narodowego oporu”. Hitlerowski decydenci używali w stosunku do tych osób określenia *Führungsschicht* (elita). Pojęcie to nie odzwierciedlało pozycji w hierarchii społecznej. Dotyczyło ono osób z różnych warstw społecznych, które jednak swoją postawą i aktywnością mogły przyczynić się do rozwoju ruchu oporu.

Do warstwy przywódczej zostali zaliczeni członkowie tych organizacji politycznych i społecznych, które uzyskały status „nadzwyczaj niebezpiecznych”. W pierwszej kolejności zaliczono do nich Polski Związek Zachodni. „Wrogie usposobienie do Niemców” lub „działalność antyniemiecką” przypisywano także członkom Związku Powstańców Wielkopolskich i Związku Powstańców Śląskich, działaczom Federacji Polskich

Związków Obrońców Ojczyzny, Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” i Związku Strzeleckiego.

Za element przywódczy uznano również nauczycieli i duchownych katolickich. Przypisywano im oddziaływanie na świadomość narodową w duchu nacjonalistycznym i „radykałno-polskim”. Twierdzono, że są oni żarliwymi Polakami, wrogo nastawionymi do narodowosocjalistycznych władz niemieckich. Wśród grup ludności przeznaczonych do aresztowania wymieniano również lekarzy, inżynierów, prawników, oficerów w stanie spoczynku, urzędników, posiadaczy ziemskich i kupców, których przedsiębiorczości i samodzielności w działaniu szczególnie się obawiano.

Aresztowania „nosieli narodowego oporu”, które przeprowadzały grupy operacyjne policji bezpieczeństwa, a po ich rozwiązaniu w końcu listopada 1939 roku – stacjonarne placówki policji, były określane przez niemieckich funkcjonariuszy akcją „politycznego oczyszczenia terytorium” (*politische Flurbereinigung*). Operację tę nazywano także akcją „Inteligencja” (*Intelli-*

genzaktion), zgodnie z ówczesnym stereotypem niemieckim, że świadomość narodową w Polsce mają tylko ludzie wykształceni.

Anatomia terroru

Aresztowanych osadzano w więzieniach i obozach tworzonych przez grupy policji bezpieczeństwa. Były to pierwsze obozy dla ludności cywilnej, które niemiecki okupant zakładał na ziemiach polskich. Funkcjonowały tak długo, jak długo operację przeprowadzano. W obozach przesłuchiwano internowanych, po czym decydowano o ich dalszym losie – deportacji do obozu koncentracyjnego lub fizycznej likwidacji. Przeznaczonych do rozstrzelania dowożono ze związanymi z tyłu rękoma na miejsce egzekucji. Tam, klęczących nad dołem, zabijano strzałem z broni palnej w tył głowy.

Przebieg akcji „Inteligencja” był otoczony wielką tajemnicą. Przeprowadzano ją tak, aby nikt postronny nie zorientował się, że policja organizuje masowe egzekucje. Aresztowani, osadzeni w obozach i więzieniach, znikali ►

Zginęli w Palmirach



Fot. AIPN

▶ Maciej Rataj, wieloletni marszałek Sejmu



▶ Janusz Kusociński, złoty medalista olimpijski

Fot. AIPN

bez śladu. Masowych mordów dokonywano w ustronnych miejscach, oddalonych od gospodarstw, przeważnie w lasach. Do takich miejsc należą między innymi Lasy Piaśnickie w powiecie wejherowskim, gdzie zamordowano dwanaście tysięcy mieszkańców Pomorza. Po wojnie odkryto tam 23 masowe mogiły. Innym miejscem masowych egzekucji były Lasy Szpegawskie koło Starogardu Gdańskiego, gdzie odkryto 32 mogiły. Aresztowanych Polaków rozstrzeliwano także w dolinie koło Fordonu pod Bydgoszczą, zwanej Doliną Śmierci. W ciągnących się tam rowach strzeleckich zamordowano około trzech tysięcy osób. Natomiast aresztowanych mieszkańców Torunia i powiatu toruńskiego wywożono na egzekucje do pobliskiego lasu Barbarka. Rozstrzelano tam ponad 1100 osób.

Na miejsce egzekucji palmirskich wybrano niewielką polanę, którą powiększano, wycinając stopniowo otaczające ją drzewa. Ofiary – przeważnie byli to więźniowie z więzienia policji bezpieczeństwa na Pawiaku – przywożono do Palmir krytymi samochodami ciężarowymi, zazwyczaj w godzinach rannych.auta zatrzymywały się w pobliżu polany, skąd prowadzono skazańców grupami i ustawiano wzdłuż wykopanej mogiły. Egzekucji dokonywał pluton policji z broni maszynowej. Kolejną grupę ludzi rozstrzeliwano w tym samym miejscu, tak aby ciała tworzyły kilka warstw. Zwłoki zasypywano, teren maskowano mchem i igliwem. Później sadzono tam również sosny.

Po wojnie zamordowane osoby identyfikowano na podstawie dokumentów znalezionych przy zwłokach. Tożsamość ofiar ustalano także na podstawie zeznań świadków oraz wykazów niektórych transportów z Pawiaka, sporzą-

dzonych przez polskie podziemie. Nie zdołano jednak zidentyfikować wszystkich rozstrzelanych.

Jedną z ofiar egzekucji w Palmirach był prawdopodobnie prezydent Warszawy Stefan Starzyński. We wrześniu 1939 roku wstąpił się on jako współorganizator obrony stolicy. Sprawował funkcję cywilnego komisarza przy Dowództwie Obrony Warszawy. Przez Niemców był postrzegany jako przywódca „aktywistów polskiego ruchu oporu”, który organizuje ludność cywilną Warszawy do aktywnej walki z Wehrmachtem i „zagroza bezpieczeństwu na zapleczu”. Ze swojego gabinetu w ratuszu został zabrany przez gestapo 26 października 1939 roku. W więzieniu policji bezpieczeństwa na Pawiaku, gdzie osadzono go na początku listopada, został umieszczony w oddzielnej celi i był starannie izolowany od innych więźniów. W kancelarii więziennej został wpisany do księgi rejestracyjnej jako więzień „N.N.”. W grudniu 1939 roku, bezpośrednio przed świętami Bożego Narodzenia, został zabrany z Pawiaka. Od tej pory wszelki ślad po nim zaginął. Najprawdopodobniej został zamordowany w Palmirach, jak wszyscy ci, których działanie miało „zagrozić bezpieczeństwu” władz okupacyjnych. Wszystko wskazuje na to, że zbrodni dokonano w tajemnicy, tak aby Starzyński nie był postrzegany przez rodaków jako męczennik i bohater narodowy.

Szyfowa praca katów

W egzekucjach przeprowadzonych w grudniu 1939 roku rozstrzelano w Palmirach 266 osób. W styczniu 1940 roku zamordowano tam kolejnych 120 osób, wśród nich burmistrza Zakrocymia Tadeusza Henzlicha oraz ks. Marcelę Nowakowskiego, pro-



boszcza parafii pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela w Warszawie i posła na Sejm RP. W lutym w egzekucjach w Palmirach stracono około 330 osób. Egzekucje przeprowadzone w kwietniu pochłonęły 140 ofiar: inżynierów, księży, nauczycieli, adwokatów, urzędników i redaktorów. Ogółem od grudnia 1939 roku do kwietnia 1940 roku zamordowano w Palmirach ponad dziewięćset osób.

Po kilku miesiącach akcji eksterminacyjnej Niemcy zdali sobie sprawę z tego, że nie osiągnęli zamierzonego celu. Nie zdołali doprowadzić do sparaliżowania oporu, utrudniającego „zupełne zniszczenie Polski jako całości narodowej”. Zostało to dobitnie wyrażone podczas zebrania Rady Obrony Generalnego Gubernatorstwa w marcu 1940 roku. Stwierdzono wówczas, że społeczeństwo polskie otrząsnęło się z depresji po klęsce wrześniowej i zamierza nadal prowadzić walkę o wolność i odbudowę państwa. Zauważono też, że duch oporu Polaków nie został złamany, a policja odnotowała powstawanie organizacji konspiracyjnych. Wskazywano na przywódczą rolę inteligencji, zwłaszcza nauczycieli, jako „szczególnie aktywnych politycznie”. Podkreślano, że obrona Rzeszy wymaga paraliżowania poczynań polskiej inteligencji i Kościoła.

Konsekwencją tych wniosków było zaplanowanie ponownej akcji eksterminacyjnej, określanej jako „nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna” (*Außerordentliche Befriedungsaktion*, w skrócie „AB”). Miała ona na celu dalsze dziesiątkowanie „politycznej i duchowej warstwy przywódczej”, aby w narodzie polskim nie wykrystalizował się już żaden opór.

Osoby aresztowane w Warszawie w ramach tej akcji osadzano w wię-

zieniu na Pawiaku, a stąd wywożono do Palmir lub deportowano do KL Auschwitz, nowo utworzonego obozu koncentracyjnego.

Masowe egzekucje w Palmirach, w których rozstrzelano około 370 osób, odbyły się 20 i 21 czerwca 1940 roku. Zamordowano wówczas między innymi Macieja Rataja, wieloletniego marszałka sejmu, oraz Jana Pohoskiego, wiceprezydenta Warszawy i współpracownika Stefana Starzyńskiego. Ofiarami czerwcowej egzekucji byli posłowie na Sejm RP i senatorowie. Rozstrzelano wielu nauczycieli, adwokatów, notariuszy i inżynierów. Zginęli również artyści oraz pracownicy organizacji społecznych i politycznych.

Kolejne wielkie egzekucje w Palmirach odbyły się w końcu czerwca, w lipcu, sierpniu i wrześniu 1940 roku. Rozstrzelano wówczas wielu lekarzy, dziennikarzy i urzędników, ogółem około 450 osób.

W egzekucjach, które funkcjonariusze policji przeprowadzili w listopadzie i grudniu 1940 roku, rozstrzelano około 260 więźniów przywiezionych z Pawiaka.

Ponowna fala aresztowań, deportacji do obozów koncentracyjnych i egzekucji w Palmirach nastąpiła w Warszawie w styczniu 1941 roku, już po zakończeniu akcji „AB”. Terror okazał się podstawową metodą rządzenia przez całą okupację. Spowodował dotkliwe straty, zwłaszcza wśród inteligencji. Nie doprowadził jednak do złamania oporu. ❄



dr Maria Wardzyńska
– pracownik Wydziału Badań
Naukowych Biura Edukacji
Publicznej IPN, autorka
m.in.: *Był rok 1939. Operacja
niemieckiej policji
bezpieczeństwa w Polsce
Intelligenzaktion* (2009)



Fot. AIPN

▶ Mieczysław Niedziałkowski, działacz socjalistyczny

▶ Jan Pohoski, przedwojenny wiceprezydent Warszawy



Fot. AIPN

Nie trzeba wielkich środków, by stworzyć nowoczesne muzeum. Najlepszy dowód to czynne od roku Miejsce Pamięci Palmiry.

Muzeum, jakich mało

Filip Gańczak

„**N**ajdrożsi moi i najukochańsi! Wyjeżdżamy na roboty rolne na kilka tygodni. Zobaczymy się może jesienią. Bądźcie dobrej myśli i razem ze mną módlcie się do Boga” – pisał 19 czerwca 1940 roku w grypsie do rodziny Stanisław Beer, więziony przez Niemców na warszawskim Pawiaku. Dzień później został rozstrzelany w pobliżu wsi Palmiry. Był jednym z ponad 1700 polskich obywateli, którzy zginęli w tym miejscu.

Minęła właśnie kolejna rocznica najkrwawszych egzekucji w Palmirach: 20–21 czerwca 1940 roku hitlerowcy rozstrzelali tu 362 osoby. Byli w tej grupie m.in. długoletni marszałek sejmu Maciej Rataj, działacz socjalistyczny i poseł Mieczysław Niedziałkowski czy lekkoatleta Janusz Kusociński, złoty medalista olimpiady w Los Angeles.

Palmiry nie przypadkiem bywają nazywane „Katyniem Zachodu”. Zginął tu kwiat przedwojennej Warszawy: przedstawiciele życia politycznego, naukowego, społecznego i kulturalnego, uczestnicy konspiracji, harcerze. Ludzie, których Niemcy uznali za potencjalnych przywódców Polski podziemnej.

Zbrodnia ta długo czekała na godne upamiętnienie. Od wiosny ubiegłego roku działa wreszcie Miejsce Pamięci Palmiry – nieduże (1100 m kw.), ale nowoczesne muzeum. Zwiedziło je do tej pory już prawie 30 tys. osób, w tym cudzoziemcy z Niemiec, Izraela i innych krajów.

Już w 1948 roku na palmirskiej polanie utworzono cmentarz-mauzoleum. Spoczęły tu szczątki 2115 ofiar hitlerowskich egzekucji – ludzi zamordowanych w Palmirach, ale także w innych miejscach na terenie Puszczy Kampinoskiej (Laski, Szwedzkie Góry, Wólka Węglowa, Wydmy Łuże) i Lasów Chojnowskich. „Zginęli za to, że byli Polakami” – głosi w czterech językach napis na przycmentarnej tablicy. Obok typowych chrześcijańskich grobów znajdziemy tu

jednak także macewy z gwiazdą Dawida. To dowód, że w Puszczy Kampinoskiej byli mordowani również Żydzi.

Nad cmentarzem górują trzy duże białe krzyże. Na niektórych mogiłach leżą świeże kwiaty. Od lat przyjeżdżają tu bliscy ofiar, politycy, historycy, harcerze czy uczestnicy rajdów rowerowych. Do niedawna brakowało jednak miejsca, w którym można by ciekawie opowiedzieć o palmirskiej zbrodni.

Takiej roli nie było w stanie odegrać Muzeum Walki i Męczeństwa – pierwsze muzeum, jakie powstało w Palmirach w latach siedemdziesiątych. Było otwierane tylko na życzenie, nieprzystosowane do potrzeb niepełnosprawnych – i zbyt ciasne, by pomieścić bogate zbiory. Na tle otwartego w 2004 roku Muzeum Powstania Warszawskiego ekspozycja palmirska razila wręcz anachronicznością.

Aby sprostać oczekiwaniom współczesnego odbiorcy, opracowano projekt nowej siedziby i ekspozycji. Udało się go zrealizować dzięki funduszom miejskim (6,8 mln zł), unijnym (2,6 mln zł) oraz wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (180 tys. zł).

Miejsce Pamięci Palmiry to ponoć pierwszy obiekt muzealny w okolicach Warszawy wzniesiony od podstaw po II wojnie światowej. Modernistyczny, funkcjonalny budynek jest dziełem młodych architektów Szczepana Wrońskiego i Wojciecha Condera, których zespół wygrał też konkurs na projekt nowej siedziby stołecznego Muzeum Wojska Polskiego.

Surowa bryła z betonu i szkła znakomicie nawiązuje do miejsca, w którym stała. Dach porasta zieleń (w końcu jesteśmy w Puszczy Kampinoskiej), a przez przeszkłone ściany widać brzo-zowo-sosnowy las i cmentarz. Z kolei jedna z zewnętrznych ścian jest pokryta mnóstwem dziur imitujących ślady po kulach. Przekaz od początku wydaje się jasny: muzeum ma nie tylko uczyć, lecz również budzić emocje.



Fot. P. Życieński

Ekspozycja urządzona jest bez rozmachu, ale z pomysłem. To także zasługa grupy historyków pod kierunkiem kurator Joanny Maldis oraz scenografów – Marka i Macieja Mikulskich. Krótkie, ciekawe opisy nie nużą. Co ważne, dostępne są także w języku angielskim. Obok plansz i fotografii – liczne eksponaty. Mamy tu m.in. hełm polskiego żołnierza z września 1939 roku czy słynny Dąb Powstańców – na którym carscy kozacy wieszali w 1863 roku uczestników Powstania Styczniowego. Twórcy muzeum pokazują bowiem szersze tło historyczne i ważną rolę, którą tereny Puszczy Kampinoskiej odegrały w dziejach polskiej walki o niepodległość – od Powstania Styczniowego aż po Powstanie Warszawskie.

Głównym zadaniem placówki jest oczywiście upamiętnienie krwawych egzekucji w Palmirach. W klimat miejsca wprowadzają cztery umieszczone w szklanych tubusach brzozy – symbolizujące miejsca straceń. Zwiedzający mogą również obejrzeć fragment serialu *Polskie drogi* (1976) w reżyserii Janusza Morgensterna. Dość wiernie odtwarza on jedną z palmirskich egzekucji. Widzimy ludzi dowożonych na miejsce zbrodni w zakrytych w ciężarówkach, prowadzonych na śmierć z zawiązanymi oczami i ustawianych przed niemieckim plutonem. Po chwili rozlegają się strzały z broni maszynowej, a ciała osuwają się na ziemię.

Z muzealnego głośnika słychać tymczasem głos lektora, wyczytującego nazwiska ofiar palmirskiej zbrodni. W su-

mie między 7 grudnia 1939 a 17 lipca 1941 roku Niemcy przeprowadzili w okolicach Palmir 21 potajemnych egzekucji. Gineło w nich od dwudziestu do 362 osób. Udało się zidentyfikować tylko część ciał. Kilkaset kolejnych nazwisk ofiar znamy dzięki zachowanemu częściowo listom transportowym z Pawiaka.

Na ścianie muzeum przesuwają się twarze tych, których zdjęcia się zachowały. O niektórych z tych ludzi możemy dowiedzieć się więcej z krótkich biografów. Ale Miejsce Pamięci Palmiry to nie tylko suche fakty i liczby.

Duże wrażenie robią wielokrotnie powiększone zdjęcia Polaków prowadzonych na śmierć. Fotografie – wykonane przez Niemców – zostały następnie przechwycone przez polskie podziemie niepodległościowe i już w czasie wojny były publikowane w konspiracyjnej prasie. Pomogły później w identyfikacji niektórych ofiar zbrodni. Janina Skalska, rozstrzelana w czerwcu 1940 roku, została rozpoznana przez rodzinę dzięki charakterystycznemu jasnemu płaszczowi w kratę. Niedawno jej wnuk dostarczył do muzeum inne zdjęcie, na którym Skalska idzie ulicą Warszawy w tym samym płaszczu.

Ktoś inny pozostawił po sobie pamiętnik. Jeszcze inni czapkę oficerską, jakieś klucze, medalik, różaniec, kartki pocztowe, obrączkę ślubną. Większość tych przedmiotów została znaleziona podczas ekshumacji. Wiele trafiło do muzeum jako dary rodzin ofiar. Do tego dochodzą eksponaty i archiwalia z Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, Instytutu Pamięci Narodowej czy Muzeum Więzienia Pawiak.

Wśród licznych przedmiotów zwracają uwagę zaświadczenia o zgonie, które niekiedy wydawała bliskim ofiar niemiecka policja. Nie ma tu ani słowa o prawdziwej przyczynie śmierci. Zbrodnia palmirska miała bowiem na zawsze pozostać okryta tajemnicą. Teren, na którym rozstrzelano ludzi, był szczelnie zamykany. O miejscach egzekucji wiemy głównie dzięki polskim leśnikom, takim jak gajowy Adam Herbański. Do upamiętnienia tej niemieckiej zbrodni przyczyniła się również Jadwiga Nowakowska z Polskiego Czerwonego Krzyża. To w dużej mierze dzięki jej staraniom tuż po wojnie przeprowadzono w okolicy Palmir ekshumacje. Dziś w muzeum możemy posłuchać relacji Nowakowskiej.

Bezimienni nie są tu również hitlerowcy odpowiedzialni za egzekucje w Puszczy Kampinoskiej: Hans Frank (generalny gubernator okupowanych ziem polskich), Ludwig Fischer (gubernator dystryktu warszawskiego) czy Josef Meisinger (szef SD i Policji Bezpieczeństwa w Warszawie). Po wojnie wszyscy trzej zostali skazani na karę śmierci i straceni. Ale nie wszyscy sprawcy zbrodni w Palmirach stanęli przed sądem.

Miejsce Pamięci Palmiry wciąż się rozwija. W planach są m.in. muzealne lekcje dla szkół, wieczorki poetyckie czy wystawy monograficzne o znanych ludziach – ofiarach palmirskiej zbrodni. Hanna Gronkiewicz-Waltz, prezydent Warszawy, zapewniała rok temu: „Na takie projekty, jak to miejsce pamięci, zawsze znajdują się pieniądze”. Przydałyby się również na nieco lepszą reklamę. O nowym muzeum w Palmirach nawet w Warszawie nie każdy miał okazję usłyszeć. A odwiedzić je naprawdę warto. 🇵🇱

Miejsce Pamięci Palmiry, oddział Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, w okresie letnim jest czynne od wtorku do piątku w godz. 10–17, a w weekendy 10–18. Wstęp jest darmowy. Placi się jedynie za (nieobowiązkowe) wynajęcie przewodnika. Bezpośrednio pod muzeum podjeżdża z pętli na warszawskich Młocinach autobus podmiejskiej linii numer 800. Kursuje jednak tylko w weekendy i tylko w okresie wiosenno-letnim. W innych terminach jesteśmy zdani na samochód lub rower.



Solidarni z Solidarnością

Patryk Pleskot

Co w latach osiemdziesiątych połączyło Franka Sinatrę, Jane Fondę, irlandzką grupę U2, królową Danii Małgorzatę i prezydenta USA Ronalda Reagana? Wszyscy publicznie deklarowali poparcie dla Solidarności. Zwłaszcza po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego.

Działania polskiej opozycji, która na Zachodzie była utożsamiana z szyldem NSZZ „Solidarność”, zyskały w tamtym czasie duże poparcie wśród zachodnich celebrytów (o ile nie będzie nadużyciem zastosowanie tego współczesnego terminu), rekrutujących się zarówno ze świata kultury, nauki, jak i polityki. Znani politycy, dziennikarze, naukowcy, aktorzy i piosenkarze demonstrujący przed kamerami charakterystyczny znak „V” – to wcale nierzadki wówczas obrazek. Szesnastomiesięczny okres legalnego funkcjonowania Solidarności (1980–1981) stał się nie tylko wydarzeniem politycznym i społecznym, ale również medialnym. Polski niezależny ruch obywatelski, który znacznie wykraczał poza ramy „zwykłego” związku zawodowego, zagościł na

ekranach zachodnich telewizorów i łamach tamtejszych gazet.

Szczególnie silnie fenomen solidarności znanych osób z Polską i Polakami uwidocznił się po 13 grudnia 1981 roku, gdy ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego wprowadziła stan wojenny i przystąpiła do rozprawy z opozycją. Wielu zachodnich polityków wzięło udział w rozmaitych protestach i manifestacjach.

Zachodni politycy wobec stanu wojennego

Naturalnym elementem postawy polityków wobec Solidarności było instrumentalne wykorzystywanie sytuacji w Polsce do własnych celów. Były zachodnioniemiecki kanclerz Willy Brandt, zaskakująco łagodnie oceniający posunięcia gen. Jaruzelskiego, rozgrywał swoją prywatną potyczkę z urzędującym w Bonn dawnym kolegą, szefem rządu RFN Helmutem Schmidtem.

W oficjalnych deklaracjach politycznych dyplomaci starali się raczej nie drażnić polskich władz i „rosyjskiego niedźwiedzia”. Głośnym echem odbiła się niefortunna wypowiedź francuskiego ministra spraw zagranicznych Claude’a Cheyssona, sformułowana 13 grudnia rano podczas wywiadu radiowego dla popularnej stacji Europe 1: „Oczywiście, nic nie zrobimy”. Podobno prezydent Mitterrand, słysząc te słowa przez radio przy porannym goleniu, o mało się nie zaciął. Faktem jest jed-

► Na festiwalu filmowym w Cannes w 1989 roku Grace Jones wykorzystwała swoją popularność i umiejętność przyciągania uwagi dziennikarzy, aby zmanifestować poparcie dla Solidarności



Fot. Jerzy Kośnik/FORUM

nak, że Jaruzelski w swą pierwszą podróż na Zachód po wprowadzeniu stanu wojennego udał się właśnie do Paryża (w grudniu 1985 roku).

Z kolei prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan, demonstrując swe przywiązanie do ideałów Solidarności, podjął próbę przekonania sojuszników z NATO do nałożenia sankcji gospodarczych na PRL i ZSRR. Gdy mu się to nie udało, Amerykanie postanowili działać na innej płaszczyźnie. Zdecydowali, że zaostrzą wojnę ideologiczną z ZSRR w ramach nowej strategii, promowanej przez sekretarza stanu Alexandra Haiga, a nazwanej „projektem prawda” (*project truth*).

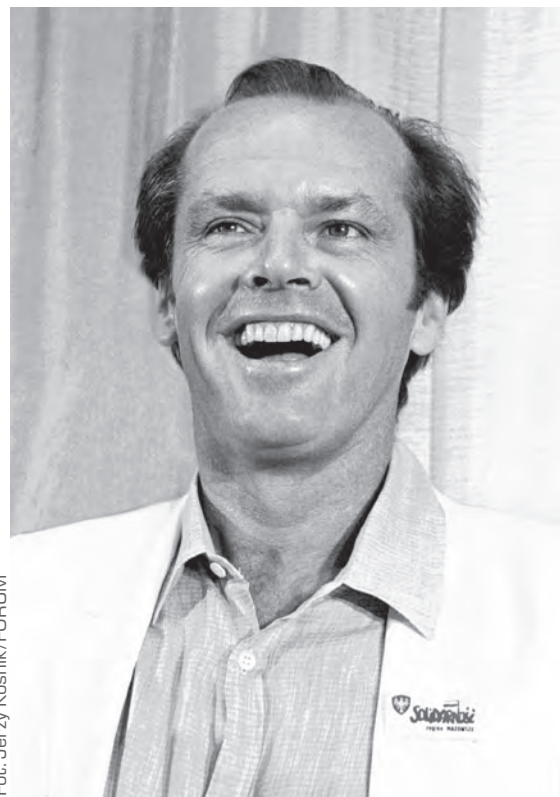
Przedstawiciele prawicy i konserwatyzmu, z Margaret Thatcher i Ronaldem Reaganem na czele, bardziej demonstracyjnie wyrażali swoją krytykę polskich władz i poparcie dla opozycji niż raczej ugodowi przedstawiciele lewicy. Trzeba jednak zaznaczyć, że czynili to niemal wyłącznie na polu nieoficjalnym lub/i symbolicznym. Takim mocnym symbolem było chociażby zapalenie przez amerykańskiego prezydenta świeczki w Białym Domu w czasie świąt Bożego Narodzenia roku 1981. Strategia ta była zresztą dość ryzykowna: opozycyjna Partia Pracy zarzucała konserwatystce Thatcher hipokryzję, zestawiając jej ciepłe słowa pod adresem Solidarności z ostrą polityką stosowaną wobec brytyjskich związków zawodowych.

W połowie lat osiemdziesiątych nad Wisłę zaczęli przybywać coraz bardziej znani politycy zachodni, rezygnując stopniowo z izolowania reżimu gen. Jaruzelskiego. Legitymizujący polskie władze wymiar takich wizyt starali się oni rekompensować przez solidarnościowe gesty, spotykając się z działaczami opozycji i składając kwiaty na grobie ks. Popiełuszki. Tradycję odwiedzania grobu księdza Jerzego zapoczątkował w listopadzie 1984 roku Malcolm Rifkind, minister stanu w brytyjskim MSZ. Odtąd na takie posunięcia – stanowiące wyraźny, choć tylko symboliczny sprzeciw wobec opresyjnego charak-

teru reżimu Wojciecha Jaruzelskiego – będą się decydować niemal wszyscy politycy odwiedzający Polskę, na przykład wiceprezydent USA George Bush podczas wizyty w PRL w październiku 1987 roku. Przyszły gospodarz Białego Domu nie pominął również spotkania z Wałęsą i innymi przedstawicielami Solidarności. W bezprecedensowym telewizyjnym wystąpieniu w pełni poparł NSZZ „Solidarność”. Grób ks. Jerzego Popiełuszki odwiedził również goszczący w Polsce kilka miesięcy wcześniej szef francuskiej dyplomacji Jean-Bernard Raimond oraz wpływowi amerykański senator Edward Kennedy. Nie inaczej postanowiła uczynić Margaret Thatcher w listopadzie 1988 roku. Deklarowana przez brytyjską premier tuż przed przyjazdem do Polski chęć odwiedzenia grobu ks. Popiełuszki oburzyła Jaruzelskiego, który na jednym z posiedzeń Sekretariatu KC PZPR wykrzyknął: „Paskudna baba, przecież anglikanie w ogóle tych papistów nie znoszą, a ona zaczyna wszystko od Popiełuszki”.

„Let Poland be Poland”

Już pod koniec stycznia 1982 roku amerykański Instytut Spraw Kulturalnych (ICA) przygotował kosztem 350 tys. dolarów blisko dziewięćdziesięcominutowy program o charakterze dokumentalno-polityczno-artystycznym „Let Poland be Poland” („Żeby Polska była Polską”). Nadano go w USA późnym wieczorem 30 stycznia 1982 roku – z okazji ogłoszonego przez Ronalda Reagana Międzynarodowego Dnia Solidarności z Polską. Na program, prowadzony przez aktora Charltona Hestona, składały się wypowiedzi osobistości politycznych z czternastu państw (oprócz Ronalda Reagana, François Mitteranda, Margaret Thatcher i Helmuta Schmidta m.in. premierów Kanady Pierre’a Trudeau, Belgii Wilfrieda Martensa, Włoch Giovanniego Spadoliniego czy Japonii Zenkō Suzukiego), informacje o sytuacji w Polsce, a także występy artystów. Widzowie zobaczyli m.in. aktorów Kirka Douglasa, ▶



Fot. Jerzy Kośnik/FORUM

▶ Jack Nicholson ze znacznikiem Solidarności w klapie



Fot. Jerzy Kośnik/FORUM

▶ Gest celebryty ma czasem większą siłę niż słowa polityków; Jane Fonda ze znacznikiem Solidarności w Cannes w 1989 roku

Henry'ego Fonde, Maxa von Sydowa (ironicznie cytującego... Marksa), Orsona Wellesa, członków grupy ABBA, a także Franka Sinatrę, który zaśpiewał po polsku drugą zwrotkę szlageru „Ever Homeward” z 1947 roku. Produkcję obejrzało 185 mln ludzi na całym świecie, pokazało ją kilkadziesiąt stacji telewizyjnych w około pięćdziesięciu państwach. Ale nie wszędzie program spotkał się z dużym zainteresowaniem (np. obejrzało go tylko 4 proc. telewizorów japońskich). W samych Stanach Zjednoczonych trudno było znaleźć nadawcę, a środowiska „postępowe” uznały film za „niezdarną propagandę” (tak go określił Hodding Carter, sekretarz prasowy byłego prezydenta USA Jimmy'ego Cartera).

Akcja „Let Poland be Poland” na pewno była wyjątkowym i niespotykanym wydarzeniem, chociaż z biegiem czasu pamięć o niej przeminęła. Trwałszymi i bardziej znaczą-

cymi symbolami okazały się indywidualne inicjatywy gwiazd i polityków.

Artyści i monarchowie

Najbardziej znanym przejawem inspiracji solidarnościowych w muzyce była piosenka *New Year's Day* irlandzkiej grupy U2, której tekst – skupiony w pierwszej wersji na wątkach miłosnych – został zmieniony przez wokalistę Bono pod wpływem wieści o wprowadzeniu w PRL stanu wojennego. Utwór ten, wydany na singlu w styczniu 1983 roku, stał się przebojem. O tym, że z biegiem lat nie odszedł w niepamięć, najlepiej świadczy fakt, że podczas koncertu U2 w Polsce w 2009 roku fani, w reakcji na pierwsze dźwięki piosenki, uformowali gigantyczną białą-czerwoną flagę.

Inna piosenka, skomponowana w roku 1982 przez folkową artystkę amerykańską Joan Baez, nie stała się tak sławna, ale za to bardziej bezpośrednio wiązała się z Solidarnością. Co

prawda jej tytuł brzmiał *Happy Birthday, Leonid Brezhnev*, ale głównym bohaterem utworu był Lech Wałęsa. Baez ironicznie gratulowała gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu „fantastycznej roboty”, oskarżając go zarazem: „Twoi rodacy marzną, robotnicy krwawią, doprowadziłeś do wielu śmierci”. I wołała: „Lechu Wałęsa, czy nas słyszysz? Jak straszna zapłaciłeś cenę za to, że wyprzedziłeś swój czas”. Piosenka kończyła się trzykrotnym zapewnieniem: „Tak, my też cię słyszymy”.

Joan Baez łączyła aktywność artystyczną na rzecz Solidarności z „turystyczną”: w listopadzie 1985 roku przyjechała do Polski, gdzie wykonywała swe songi, przeważnie w małych klubach i domach opozycjonistów – w tym Wałęsy. Po latach wspominała: „przyjechałam do Polski ze znajomą z Amnesty International [Ginetta Sagan], z którą szmuglowaliśmy pieniądze dla robotników. Prosto z lotniska pojechałam do domu Lecha Wałęsy, poznałam jego rodzinę i to było niezwykle przyjemne spotkanie [...]. Potem zagrałam koncert w kościele [św. Brygidy], na który przyszedł Wałęsa. Co prawda, miał areszt domowy, ale miał swoje sposoby, żeby wymknąć się milicji”.

Wcześniej, w lipcu 1983 roku, po raz pierwszy przybył do Polski popularny wówczas aktor francuski Michel Piccoli (znany chociażby ze skandalizującej roli w *Wielkim żarciu*). Mający włoskie korzenie artysta udzielił m.in. wywiadu dla konspiracyjnego „Tygodnika Mazowsze”, podkreślając, że przybył nad Wisłę, by na własne oczy poznać polską rzeczywistość. Kilka lat później, w 1987 roku, w PRL bawiła często angażująca się w akcje społeczne Jane Fonda wraz z mężem, lewicowym politykiem Tomem Haydenem. Gwiazda deklarowała: „Jesteśmy tu, aby wyrazić poparcie dla Solidarności”, choć gościła też na kolacji u rzecznika rządu Jerzego Urbana.

Warto podkreślić, że szczególną wręczliwość na polski ruch opozycyjny wykazywali artyści o orientacji lewicowej. Reżim PRL mniej kojarzył im się z komunizmem, a bardziej z chilijską dykta-

► Gest zwycięstwa Joan Baez podczas koncertu w Ursusie po wyborach czerwcowych, w tle wielka flaga Solidarności, 7 czerwca 1989 roku





► Lech Wałęsa, Edward Kennedy i Piotr Nowina-Konopka na spotkaniu w Gdańsku, 24 maja 1987 roku

tura gen. Pinocheta, Solidarność była zaś postrzegana nie tyle jako antykomunistyczna, w dużej mierze katolicka „konfederacja” najróżniejszych poglądów, często zdecydowanie prawicowych, co jako ruch walczący o prawa socjalne.

Prosolidarnościowe gesty czynili również panujący w Europie monarchowie. Podczas noworocznego przemówienia z przełomu 1981 i 1982 roku poparcie dla NSZZ „Solidarność” zadeklarował norweski król Olaf V. Na bezprecedensowy gest zdobyła się po 13 grudnia królowa sąsiedniej Danii, Małgorzata, która po raz pierwszy w historii monarchii duńskiej postanowiła sięgnąć do własnej szkatuły i przekazać dotacje na cele dobroczynne poza granice ojczyzny – właśnie do Polski.

Rok 1989

Manifestacje poparcia zachodnich polityków i artystów dla Solidarności gwałtownie nasiliły się w roku 1989, zwłaszcza po zakończeniu obrad okrągłego stołu i ogłoszeniu terminu częściowo demokratycznych wyborów parlamentarnych. Zachodnie gwiazdy pragnęły zademonstrować swe poparcie dla kandydatów opozycji. Ze znakami Solidarności pokazywali się m.in. aktorzy Jack Nicholson, Jane Fonda, Nastassja Kinski czy Yves Montand. Ten ostatni nawoływał w kwietniu 1989 roku w wywiadzie dla francuskiej stacji telewizyjnej TF1: „Solidarności trzeba

pomóc, bo walczy ona o demokrację. Trzeba zrobić wszystko, by 35 proc. miejsc w Sejmie przypadło polskiej opozycji”. Namawiał przy tym Francuzów do składania datków na rzecz Solidarności. Tuż przed wyborami w jednej z warszawskich kawiarni doszło do niecodziennej sytuacji: trio złożone ze Stevie Wondera oraz... Jana Lityńskiego i Jacka Kuronia wykonało, ku ucieście gapiów, przebój *I just call to say I love you*. W tym czasie do Polski po raz kolejny przyjechała Joan Baez.

Po miążdzącym zwycięstwie wyborczym solidarnościowej opozycji nad Wisłę przybyli najważniejsi politycy zachodni: prezydenci Mitterrand (czerwiec), Bush (lipiec) i kanclerz Helmut Kohl (listopad). Zdumieni szybkim tempem polskiej transformacji, stonowali manifestowanie swego przywiązania dla opozycji i w równym stopniu co liderów Solidarności zaczęli chwalić za „mądrość” i „odpowiedzialność” obóz gen. Jaruzelskiego.

Bardzo trudno odpowiedzieć na pytanie, czy w okazywanym przez zachodnich polityków i gwiazdy show-biznesu poparciem dla NSZZ „Solidarność” – obserwowanym w mniejszym lub większym natężeniu przez całe lata osiemdziesiąte – dominowały chłodna kalkulacja marketingowa lub polityczna oraz zasady autopromocji, czy raczej spontaniczna reakcja sympatii i przywiązania do

wolności. Obie postawy nie musiały się zresztą wcale wykluczać, a w każdym indywidualnym przypadku taka „mieszanka” była zapewne jedyna i niepowtarzalna. Jeden fakt pozostaje niepodważalny: nigdy wcześniej i później żaden polski ruch społeczny nie cieszył się takim zainteresowaniem zachodniej dyplomacji i partii politycznych oraz tak znaczną popularnością wśród przedstawicieli świata popkultury. Czy ten szczególny sukces Solidarności może się kiedyś powtórzyć? 🍷

dr Patryk Pleskot – historyk, pracownik OBEP IPN w Warszawie; zajmuje się m.in. międzynarodowym kontekstem epoki Solidarności oraz działalnością służb kontrwywiadowczych; autor kilkunastu książek

► Pomnik prezydenta Ronalda Reagana w Warszawie – wdzięczni za poparcie w dążeniach do wolności Polacy uhonorowali amerykańskiego prezydenta pomnikiem w stolicy



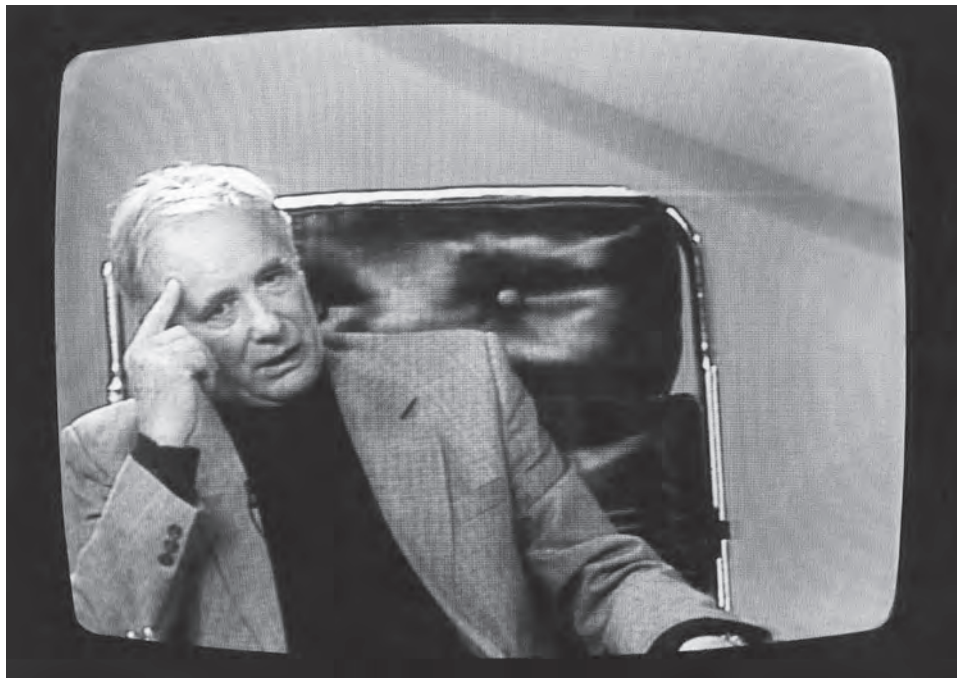
Fot. P. Życieński

35 procent demokracji

Paulina Codogni

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku gen. Wojciech Jaruzelski przerwał trwający szesnaście miesięcy karnawał Solidarności. W jednej chwili nadzieje milionów członków związku legły w gruzach. Prawie osiem lat później opozycji udało się jednak wywalczyć częściowo wolne wybory.

Obawa przed rosnącą siłą NSZZ „Solidarność”, a tym samym utratą wpływów w społeczeństwie, spowodowała, że pod koniec 1981 roku władze komunistyczne ogłosiły stan wojenny na terenie całego kraju. Internowano ok. 10 tys. działaczy związku, a wobec wielu innych stosowano represje. Cel podstawowy, tj. rozbięcie Solidarności, został osiągnięty, jednakże ekipie gen. Jaruzelskiego nie udało się skutecznie zapobiec podjęciu przez pozostałych na wolności związkowców pracy konspiracyjnej. Mimo brutalności postępowania władz, prowadzący działalność w podziemiu czołowi przedstawiciele Solidarności nie zrezygnowali z przekonania, że nadal podstawowym celem opozycji powinno być zmuszenie władzy do zawarcia porozumienia społecznego. Ekipa gen. Jaruzelskiego była jednak nieugięta i konsekwentnie realizowała plan eliminacji opozycji. Nawet po formalnym zniesieniu stanu wojennego w lipcu 1983 roku działacze Solidarności tkwili w więzieniach, choć od 1986 roku znacznie bardziej powszechną formą represji stały się dotkliwe grzywny finansowe. Z powodu nieustających szykan wielu przedstawicieli związku opuściło kraj, do czego próbowano skłonić również tzw. jedenastkę czołowych działaczy opozycyjnych z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem na czele.



Fot. Erazm Ciolek

Władze poczuły jednak wkrótce, że grunt pod ich nogami nie jest już tak twardy jak dotychczas. Zdecydowały o tym trzy główne czynniki. Przede wszystkim sytuacja gospodarcza z miesiąca na miesiąc stawała się coraz bardziej dramatyczna. Ekipa Jaruzelskiego wyraźniej zaczęła także odczuwać utratę legitymizacji władzy – w kolejnych wyborach do rad narodowych i parlamentu oraz w referendum brało udział coraz mniej wyborców. Niezwykle ważnym czynnikiem zewnętrznym, wywołującym konieczność zmian, były reformy w ZSRR wprowadzane od 1985 roku przez nowego sekretarza generalnego KC KPZR Michaiła Gorbaczowa.

Wszystko to sprawiło, że na szczytach władzy zaczęto poważnie rozważać konieczność zawarcia porozumienia z tzw. umiarkowaną opozycją, choć miano jeszcze nadzieję, że uda się stworzyć w jej łonie rozłamy. Jedną z takich prób podjęto w drugiej połowie 1986 roku, kiedy to gen. Jaruzelski postanowił powołać Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa. Zdecydowana większość ludzi opozycji nie miała wątpliwości, że Rada będzie jedy-

nie tworem fasadowym, i nie zdecydowała się na udział w jej pracach. Władze bezskutecznie próbowały namówić do dialogu przede wszystkim przedstawicieli środowiska Klubu Inteligencji Katolickiej, którzy starania te kwitowali stwierdzeniem, że rozmowy mogą być prowadzone tylko z udziałem liderów NSZZ „Solidarność”. A na to władze zgodzić się nie chciały.

Wstępne negocjacje

Upór władz został jednak wkrótce zmięczony. Przyczyniły się do tego dwie fale strajków – pierwsza wybuchła na przełomie kwietnia i maja, a druga w połowie sierpnia 1988 roku. Właśnie wtedy w śląskiej kopalni „Manifest Lipcowy” miał miejsce najdłuższy – trwający 20 dni – strajk w historii PRL. Podczas sierpniowej fali strajków przedstawiciele władzy zdecydowali się na zainicjowanie rozmów z Solidarnością. Dokładnie w ósmą rocznicę podpisania porozumień sierpniowych, czyli 31 sierpnia 1988 roku, doszło do spotkania gen. Czesława Kiszczaka z Lechem Wałęsą. Zapoczątkowało ono kilkumiesięczne negocjacje, których zwieńczenie

► Przegrana debata telewizyjna Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą (listopad 1988) uświadomiła władzy, że dalszy opór wobec żądań uznania Solidarności nie ma sensu



Fot. Erazm Ciolek

nastąpiło 6 lutego 1989 roku, kiedy to zainaugurowane zostały obrady „okrągłego stołu”. Do tego momentu obie strony, czyli wyznaczeni przez gen. Jaruzelskiego przedstawiciele obozu władzy i desygnowani przez Wałęsę negocjatorzy ze strony Solidarności, toczyły zacięty spór dotyczący zakresu tematów, które miały zostać poruszone podczas oficjalnych obrad. Przedstawicielom opozycji zależało przede wszystkim na wprowadzeniu pluralizmu związkowego i ponownej legalizacji NSZZ „Solidarność”. Dla władzy był to postulat szalenie trudny do przyjęcia. W zamian, ze wszystkich sił, starały się one nakłonić swoich rozmówców do zgody na udział w wyborach parlamentarnych. Celem rządzących było przetrzymanie części odpowiedzialności na opozycję, ale bez utraty kontroli nad sytuacją. Na to z kolei opozycja, która trafnie odczytała intencje gen. Jaruzelskiego, zgodzić się nie chciała.

Kilkumiesięczny impas w rozmowach między władzą a Solidarnością został przerwany za sprawą debaty Lecha Wałęsy z przewodniczącym OPZZ Alfredem Miodowiczem. Odbyła się ona 30 listopada 1988 roku i była trans-

mitowana na żywo przez telewizję. Według przeprowadzonego sondażu, absolutnym triumfátorem tej debaty był Wałęsa. Uświadomiło to rządzącym, że dalszy opór wobec żądań uznania Solidarności będzie już bezcelowy.

Po owej debacie przygotowania władzy do obrad „okrągłego stołu” wkroczyły w kolejną fazę. Rolę głównego *think*

tanku Jaruzelskiego odgrywał tzw. zespół trzech, w którego skład wchodził Stanisław Ciosek, Jerzy Urban i gen. Władysław Pożoga. Już od 1986 roku przygotowywali oni dla generała scenariusze zdarzeń. To ich pomysłem były próby kooptacji części opozycji oraz jej neutralizacja przez przyciągnięcie w orbitę władzy. Długo jednak brakowało spójnej koncepcji wyborów z udziałem opozycji.

Równoległe przygotowania do oficjalnego starcia z władzą trwały w obozie solidarnościowym. 18 grudnia 1988 roku w warszawskim kościele Miłosierdzia Bożego przy ul. Żytniej powołano Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Znalazło się w nim 135 osób, a tron stanowili najbliżsi wówczas doradcy Wałęsy – Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Stelmachowski, Andrzej Wielowieyski, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Ryszard Bugaj, współtworzący strategię polityczną związku. Sytuację obozu solidarnościowego utrudniał jednak brak spójnego programu zmian politycznych i gospodarczych, w tym koncepcji udziału w wyborach. Nad konkretnymi rozwiązaniami dotyczącymi ustroju zaczęto bowiem intensywniej pracować dopiero na początku września 1988 roku. Należy nadmienić, że część środowisk opozycyjnych uznała przystąpienie do obrad ►



Fot. Erazm Ciolek

► Inauguracja obrad „okrągłego stołu” (luty 1989 roku); słynny uścisk dłoni gen. Czesława Kiszczaka i Lecha Wałęsy



Fot. Erazm Ciolek

► Kluczem do sukcesu kandydatów Solidarności w 1989 roku okazało się wspólne zdjęcie z Lechem Wałęsą; na fotografii z lewej Adam Michnik

za zdradę ideałów opozycji lub też niezasadnione dążenie do kompromisu ze skompromitowaną ekipą Jaruzelskiego, która, według nich, i tak lada moment straciłaby władzę.

Obrady „okrągłego stołu” i spotkania w Magdalence

Tuż po inauguracji obrad „okrągłego stołu”, która odbyła się 6 lutego 1989 roku w Pałacu Namiestnikowskim, decydenci z obu obozów przystąpili do negocjacji. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami obrady podzielono na trzy główne „stoliki” i dziesięć „podstolików”. Zespołem ds. reform politycznych kierowali Bronisław Geremek i Janusz Reykowski, ds. pluralizmu związkowego – Tadeusz Mazowiecki, Aleksander Kwaśniewski i Romuald Sosnkowski, a ds. reform gospodarczych – Witold Trzeciakowski i Władysław Baka.

Już 9 lutego podczas pierwszego posiedzenia „stolika” ds. pluralizmu związkowego Kwaśniewski zapowiedział, że pluralizm w zakładach pracy jest przesądzony. Tak szybkie rozstrzygnięcie sprawy pozytywnie zaskoczyło przedstawicieli strony społecznej, jak określano przy „okrągłym stole” przedstawicieli opozycji solidarnościowej. Niemniej, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, cenę za

pluralizm związkowy miano doprecyzować przy „stoliku” ds. reform politycznych. Miało nią być przede wszystkim wkomponowanie opozycji w istniejący system polityczny poprzez jej udział we wspólnych i niekonfrontacyjnych wyborach. Opozycja była skłonna zgodzić się na takie wybory, pod warunkiem że będą jednorazowym odstępstwem od przyszłej reguły wolnych wyborów.

Bronisław Geremek, przewodniczący „stolika” ze strony opozycji, nazwał tę sytuację mianem filozofii okresu przejściowego, co miało oznaczać dopuszczenie ewolucyjności przejścia od totalizmu do demokracji. Zgoda na przyjęcie takiego rozwiązania wynikała przede wszystkim z obawy przed reakcją ZSRR i z braku przygotowania opozycji do przejęcia władzy wykonawczej.

Podczas obrad do najtrudniejszych należały negocjacje na temat ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu. Przedstawiciele władz zdawali sobie bowiem sprawę, że porażka wyborcza będzie oznaczała kres ich monopolu na władzę. Dlatego postanowili wypracować rozwiązanie, które uniemożliwiłoby zwycięstwo opozycji.

Zagadnienie wyborów po raz pierwszy poruszono 18 lutego podczas drugiego spotkania „stolika” ds. reform politycznych. Najważniejszą kwestią, z jaką

przyszło się zmierzyć negocjatorom, był podział mandatów przyznanych koalicji rządowej i pozostałych, które podlegałyby wolnej walce wyborczej. Spór toczył się wszakże o określenie zakresu wolności wyborów. Władze zaproponowały formułę 65:35 – 65 proc. miejsc w Sejmie (299 mandatów) przeznaczono by dla przedstawicieli koalicji PZPR, ZSL i SD oraz prorządowych stowarzyszeń katolickich, a pozostałe 35 proc. mandatów (161 miejsc) podlegałoby wolnej walce wyborczej. Strona społeczna domagała się natomiast akceptacji korzystniejszej dla niej formuły 60:40, utrzymując, że właśnie taka była propozycja wyjściowa władz, przedstawiona przez Stanisława Cioska w rozmowie z ks. Alojzym Orszulikiem w czerwcu 1988 roku.

Nieustępliwość stron w kwestii podziału mandatów w Sejmie, ale także trybu wyboru prezydenta, sparaliżowała prace „stolika”. W związku z tym uznano za konieczne zorganizowanie poufnego spotkania w węższym gronie z udziałem Kiszczaka i Wałęsy oraz przewodniczących zespołów i głównych doradców obu stron. Odbyło się ono w Magdalence 2 marca. Początkowo niewiele wskazywało na to, że uda się osiągnąć kompromis. Wielogodzinny impas w rozmowach niespodziewanie przerwał Kwaśniewski. Ku zaskoczeniu innych przedstawicieli obozu władzy zaproponował całkowicie wolne wybory do Senatu. W zamian domagał się zaakceptowania przez opozycję formuły podziału mandatów 65:35 w wyborach do Sejmu oraz wyboru prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe na okres sześciu lat, co oznaczało odstępianie od proponowanych przez opozycję wyborów powszechnych na ten urząd. Przedstanie się tej wiadomości do światowych mediów oraz przeświadczenie przedstawicieli obozu władzy, że nawet w wolnych wyborach zdobędą około połowy miejsc w Senacie, skłoniły ich do ostatecznej akceptacji takiego kompromisu.

Do poufnych spotkań w Magdalence doszło zresztą kilkakrotnie. Ponieważ za każdym razem odbywały się one w wąskim gronie przedstawicieli obu stron,

przeciwnicy porozumień „okrągłego stołu” utrzymują, iż doszło tam do zawarcia tajnego układu między obozem władzy i opozycji solidarnościowej. W głoszeniu tych bezpodstawnych teorii nie przeszkadza im fakt, że wszystkie rozmowy odbywały się przy udziale przedstawicieli Kościoła, a dokładne stenogramy z ich przebiegu zostały opublikowane m.in. przez ks. Alojzego Orszulika.

Porozumienie w sprawie podziału mandatów do Sejmu i wolnych wyborów do Senatu dawało podstawę do dalszych negocjacji nad szczegółowymi zagadnieniami nowej ordynacji wyborczej. Jednakże przedstawiciele władzy kilkakrotnie próbowali się jeszcze wycofać z wcześniejszych uzgodnień.

Ostatecznie zapadła decyzja, że wybory odbędą się w dwóch turach – 4 i 18 czerwca, a do II tury przejdą kandydaci w danym okręgu, którzy uzyskają dwa najlepsze wyniki, pod warunkiem iż żaden z nich nie otrzyma ponad połowy głosów w pierwszej turze. Zacięty spór prowadzono także na temat osobnych kart do głosowania dla każdego man-

datu, o co walczyła opozycja. Władze długo obstawały przy pomysle jednej karty, motywując to m.in. oszczędnością papieru. W końcu ustąpiły i ustalono, że nazwiska kandydatów dla każdego z mandatów będą umieszczane na osobnej karcie do głosowania.

Kolejną kwestią sporną była sprawa tzw. listy krajowej. Rządzący starali się przekonać opozycję do wspólnego jej utworzenia, co ta odrzuciła. Po długich debatach ustalono, że na liście znajdą się wyłącznie przedstawiciele PZPR, ZSL i SD oraz „postępowych” ugrupowań katolickich. Uzgodniono, że aby kandydat z listy krajowej wszedł do parlamentu, musi otrzymać ponad 50 proc. głosów w skali kraju. Jak się wkrótce okazało, decyzja ta miała zgubne dla władz konsekwencje. W ordynacji wyborczej nie przewidziano bowiem, jak należy postąpić w sytuacji, gdyby kandydaci z listy nie przekroczyli wymaganego progu.

Konieczne było również ustalenie minimalnej liczby podpisów, którą kandydaci ubiegający się o miejsce z puli 35 proc. muszą zgromadzić, aby

wpisano ich na listy wyborcze. Było to szczególnie ważne w obliczu braku organizacyjnego przygotowania strony społecznej do wyborów i ich bliskiego terminu. Władze proponowały, aby warunkiem wpisania na listy było zebranie 5 tys. podpisów, lecz ostatecznie zgodziły się na 3 tys. Część reprezentantów opozycji domagała się dalszego obniżenia progu, co pozwoliłoby na kandydowanie osobom bez dużego zaplecza organizacyjnego. Postulat ten jednak odrzucono, podobnie jak żądanie opozycji, aby na kartach wyborczych przy nazwiskach kandydatów umieszczać symbole werbalne lub nazwy wskazujące na przynależność polityczną kandydata. Ustalono, że symbole werbalne będą umieszczane tylko na plakatach i listach wyborczych. Strony uzgodniły także, że każdemu kandydatowi, zarówno na posła, jak i na senatora, będzie przysługiwało prawo wyznaczania mężów zaufania, uprawnionych do przebywania w lokalach wyborczych od chwili plombowania urn wyborczych do zamknięcia protokołu z głosowania. ▶



Fot. Erazm Ciolek

▶ Obrady „okrągłego stołu” trwały od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 roku; ich efektem były m.in. częściowo wolne wybory

Niekonfrontacyjny status wyborów przedstawiciele obozu władzy próbowali osiągnąć również przez powołanie komisji weryfikującej, uprawnionej do wykreślenia z listy kandydatów na posłów osób naruszających podczas kampanii wyborczej konstytucję lub porozumienia „okrągłego stołu”. Przyjęcie takiego ustalenia oznaczałoby uzyskanie przez władzę wpływu na skład reprezentacji opozycji w parlamencie. Wobec twardego sprzeciwu opozycji władze zmuszone były zrezygnować z postulatu powołania komisji weryfikacyjnej.

Spór o Senat

Po zaskakującej propozycji Kwaśniewskiego powstała konieczność przygotowania od podstaw założeń ordynacji do Senatu. Strony doszły do porozumienia, że warunkiem znalezienia się na liście kandydatów będzie zebranie co najmniej 3 tys. podpisów. Zasada ta obowiązywała wszystkich, niezależnie od tego, czy kandydat wywodził się ze środowiska opozycji czy władzy.

Władze nie dały się przekonać do innego wariantu niż wybór dwóch senatorów z każdego województwa, ale ich drobnym ustępstwem była zgoda na wybór z województwa warszawskiego i katowickiego po trzech kandydatów, dzięki czemu w izbie mogłoby zasiąść stu senatorów. Ustalono również, że na jednej karcie wyborczej do głosowania będą umieszczone wszystkie nazwiska kandydatów.

Niemal do końca obrad spierano się na temat uprawnień Senatu. Znaczenie tej kwestii wzrosło po ogłoszeniu, że wybory do drugiej izby parlamentu będą wolne. Solidarność dążyła więc do nadania jak najszerszych

uprawnień drugiej izbie, w tym możliwie dużego jej wpływu na Sejm, w którym zgodziła się przeciw stanowić mniejszość. Najbardziej zacięty spór, porównywalny do walki o podział mandatów w Sejmie, toczył się wokół większości sejmowej zdolnej przełamać weto Senatu. Wcześniej już bowiem ustalono, że gdy Senat odrzuci ustawę przyjętą przez Sejm, wraca ona pod jego obrady w celu ponownego głosowania. Władze chciały, aby do odrzucenia weta Senatu wystarczyła większość 3/5 posłów (60 proc.). Mając zagwarantowane 65 proc. miejsc, miały pewność, że ich przedstawiciele będą w stanie przełamać każdy sprzeciw senatorów. Opozycja obstawała przy zapisie większości 2/3 posłów (67 proc.).

Wielotygodniowy spór udało się zakończyć podczas ostatniego spotkania w Magdalence, 3 kwietnia, na dwa dni przed planowanym uroczystym zamknięciem obrad. Kiszczak ogłosił, że władze zgodziły się na formułę większości 2/3 głosów niezbędnych do odrzucenia weta Senatu, ale w zamian domagał się przyjęcia takiej samej zasady podczas uchwalania zmian w konstytucji, odrzucania weta prezydenta oraz wnioskowania o postawienie go przed Trybunałem Stanu.

Wprawdzie głównymi ustaleniami dotyczącymi ordynacji wyborczej zajmował się zespół ds. reform politycznych, ale w obliczu rychłych wyborów niezwykle ważne kwestie dla ich wyniku podnoszono także przy „podstoliku” ds. środków masowego przekazu. Sukcesem opozycji było przełamanie monopolu władz w prasie oficjalnej. Uzgodniono bowiem wznowienie wydawania „Tygodnika Solidarność” oraz tygodnika NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych, a także powstanie przed wyborami pod patrona-

tem Komitetu Obywatelskiego dziennika „Gazeta Wyborcza”.

Strona społeczna domagała się również dostępu do radia i telewizji, co spotkało się ze znacznie większym oporem władz. Po długich sporach udało się opozycji wywalczyć jedynie prawo do trzydziestominutowego autorskiego programu w telewizji i sześćdziesięciminutowego w radiu, które miały być emitowane raz w tygodniu.

W Pałacu Namiestnikowskim 5 kwietnia, sześćdziesiąt dni po inauguracji, odbyła się uroczystość zakończenia obrad i podpisania porozumień „okrągłego stołu”. Kolejnym krokiem niezbędnym do wprowadzenia postanowień w życie było przegłosowanie ich w parlamencie. Sejm IX kadencji przegłosował ordynacje wyborcze do Sejmu i Senatu 7 kwietnia.

Po latach Bronisław Geremek stwierdził: „Tekst ordynacji, który z wielkim trudem udało nam się wywalczyć, był bodaj pierwszym w całym bloku komunistycznym aktem ustawowym jasno i jednoznacznie wykładającym swoją polityczną treść. Z absolutną otwartością zostało bowiem napisane i uchwalone jako prawo, że udało nam się uzyskać od władz 35 procent demokracji, 35 procent wolnych wyborów. Po raz pierwszy zmusiliśmy partię do powiedzenia światu, że wszystkie wcześniejsze powojenne wybory były niedemokratyczne i niewolne”.

Wynik wyborów czerwcowych przeżył oczekiwania Geremka i jego współpracownicy. Mimo stosowania przez władze nieczystych metod walki wyborczej, w czerwcu 1989 roku przedstawiciele Solidarności zdobyli wszystkie poza jednym z możliwych do zdobycia miejsc w obu izbach parlamentu. Nie wiele ponad dwa miesiące po wyborach, 24 sierpnia, pierwszym niekomunistycznym premierem w całym bloku wschodnim został Tadeusz Mazowiecki. ■

WYBORY 1989
MUSIMY WYGRAĆ!
Lech Wałęsa
(Lech Wałęsa)

Fot. AIPN



dr Paulina Codogni
– prorektor ds. współpracy
z zagranicą Collegium Civitas,
autorka m.in. monografii
*Wybory czerwcowe 1989 roku.
U progu przemiany ustrojowej*
(2012)

Czerwcowy plebiscyt

Antoni Dudek

Fot. FORUM



Porozumienia okrągłego stołu to polski cud z końca XX wieku czy też druga Targowica? A „gruba kreska” premiera Mazowieckiego to dalekowzroczna wspinałomyślność czy też raczej podszyta tchórzostwem zdrada?

To właśnie te dwa wydarzenia z 1989 roku budzą po dziś dzień największe emocje i wywołują biegunowo odmienne oceny. W ich cieniu pozostają znacznie mniej kontrowersyjne wybory parlamentarne z 4 czerwca 1989 roku, choć też podkreśla się ich nie w pełni demokratyczny charakter. A jednak były one ważniejsze od wszystkich późniejszych elekcji w dotychczasowych dziejach III Rzeczypospolitej. To właśnie ich rezultat – zaskakujący dla obu stron okrągłostołowego kontraktu – okazał się wstrząsem, którego nie wytrzymał zmurzały gmach komunistycznej dyktatury.

Wbrew pozorom, wyniku wyborów czerwcowych nie ustalono do

końca przy okrągłym stole. W ośrodku MSW w Magdalence, gdzie przyjęto najistotniejsze ustalenia dotyczące reform ustrojowych, porozumiano się jedynie co do tego, że wybory do mającego powstać Senatu mają być wolne, natomiast w przypadku Sejmu 65 proc. mandatów poselskich miało zostać zagwarantowanych dla PZPR i jej sojuszników. Zrobiono to, przypisując mandaty do trzech legalnych partii politycznych oraz trzech uznawanych przez władze PRL stowarzyszeń religijnych, natomiast 35 proc. zarezerwowano dla tzw. bezpartyjnych, co oznaczało zarówno działaczy opozycji, jak i osoby związane z władzami PRL. Najbardziej znanym kandydatem wśród tych tzw. bezpartyjnych bolszewików był rzecznik rządu Jerzy Urban, na czas kampanii wyborczej mianowany szefem Radiokomitetu. W rzeczywistości zatem całkowicie demokratyczna gra wyborcza toczyła się o cały Senat i ponad jedną trzecią miejsc w Sejmie. Do rywalizacji doszło też o resztę mandatów poselskich, ale toczono ją już w ramach swoistych kurii wyborczych Pol-

skiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego.

Błędy ekipy Jaruzelskiego

Dopiero seria błędów, które już po zakończeniu obrad okrągłego stołu popełniła ekipa Jaruzelskiego, a także nadspodziewanie skuteczna kampania Solidarności przesądziły o tym, że 4 czerwca komuniści i ich sojusznicy ponieśli miażdżącą klęskę. Na jej rozmiary zapracowali nie tylko ponadczterdziestoletnimi, monopolistycznymi rządami, ale i szeregiem fatalnych decyzji z wiosny 1989 roku. Pierwszy błąd popełniono już w kwietniu podczas uchwalania w Sejmie nowej ordynacji wyborczej. W odniesieniu do Senatu polegał on na przyjęciu systemu większościowego (po dwóch senatorów z 47 ówczesnych województw i po trzech z woj. katowickiego i warszawskiego), co wiązało się z nadziejami władz, że w małych, rolniczych województwach (czyli ponad połowie), gdzie struktury opozycji były słabe bądź w ogóle nie istniały, kandydaci obozu rządzącego pokonają konkurentów ▶

przywiezionych „w teczkach” z największych miast, będących bastionami NSZZ „Solidarność”. Później okazało się, że gdyby przyjęto w wyborach do izby wyższej system proporcjonalny, to obóz rządzący – przy tym samym rozkładzie głosów – miałby co najmniej kilkunastu senatorów. W dalszym ciągu byłby przegrany, ale nie w tak upokarzający sposób, gdyż jedynym senatorem wybranym spoza listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” został Henryk Stokłosa z województwa piłskiego, który wprawdzie w przeszłości był członkiem PZPR, ale usunięto go z jej szeregów, oskarżając o malwersacje.

W przypadku Sejmu błędem ekipy Jaruzelskiego okazało się forsowanie tzw. listy krajowej po tym, gdy Solidarność odmówiła skierowania na nią swoich kandydatów. W konsekwencji całą listę obsadziło 35 prominentnych przedstawicieli aparatu władzy PRL, a ich wybór uzależniono od uzyskania ponad połowy głosów w skali całego kraju, nie przewidując w ogóle procedury na wypadek, gdyby któremuś to się nie udało. A nie udało się aż trzydziestu trzem, co doprowadziło do konieczności kompromitującej nowelizacji ordynacji między pierwszą a drugą turą wyborów. Ostatecznie brakujące koalicji rządzącej 33 mandaty przypisano do poszczególnych okręgów wyborczych i obsadzono w drugiej turze wyborów, 18 czerwca, gdy frekwencja wyborcza wyniosła zaledwie 25 proc. (w pierwszej turze do urn poszło 62 proc. Polaków). Inna rzecz, że dopiero tego dnia obsadzono niemal wszystkie mandaty koalicji rządowej, ponieważ w pierwszej turze udało się do zaledwie trzem osobom, które uzyskały wówczas powyżej 50 proc. głosów w swoim obwodzie wyborczym. Odwrotny był rezultat kandydatów solidarnościowych, którzy już w pierwszej turze obsadzili 160 ze 161 mandatów sejmowych, które mogli w tych wyborach zdobyć bezpartyjni.

Kolejny błąd kierownictwa PZPR popełniło, kiedy zaniechało kontroli nad procesem wyłaniania własnych kandydatów na posłów i senatorów. Oficjalnie miało to przekonać obywateli do szcze-

rego demokratyzmu ekipy Jaruzelskiego, ale w rzeczywistości przypominało wypuszczenie z rąk kierownicy rozpedzonego pojazdu. Przeciwno liczącej stu kandydatów do Senatu drużynie Lecha Wałęsy generałowie i ich sojusznicy z partii satelickich wystawili ponad trzysetu swoich ludzi. W rezultacie musieli się oni podzielić głosami już i tak kurczącego się gwałtownie elektoratu obozu rządzącego. Władze do końca ludziły się, że pozyskają większość z około jednej trzeciej wyborców, którzy w kolejnych badaniach socjologicznych deklarowali, że nie wiedzą, na kogo oddadzą głos. W tym celu zdecydowano się w pierwszych tygodniach bardzo krótkiej kampanii – realnie prowadzonej od końca kwietnia – oddać pole opozycji, by ludzie zmęczeni jej agitacją, a następnie w ostatnich kilkunastu dniach przed 4 czerwca pozyskać ich zmasowanym uderzeniem propagandowym.

Koncepcja ta, zapożyczona przez specjalistów z Komitetu Centralnego PZPR z zachodnich podręczników marketingu politycznego, okazała się kompletnie nieprzystosowana do polskich realiów z 1989 roku. W rzeczywistości bowiem 4 czerwca odbył się w Polsce plebiscyt ubrany w szaty wyborów parlamentarnych. Zadano w nim Polakom tylko jedno pytanie: czy jesteś za kontynuacją PRL? Ci, którzy odpowiadali na nie twierdząco – a była to wbrew pozorom znacząca, choć wyraźnie mniejsza część społeczeństwa – poparli kandydatów PZPR i jej sojuszników. Przeciwnicy gremialnie oddali głosy na kandydatów Solidarności, ignorując niemal całkowicie kandydatów przedstawionych przez inne formacje opozycyjne, takie jak Konfederacja Polski Niepodległej czy Unia Polityki Realnej. Szerzej o tym zapomnianym aspekcie wyborów czerwcowych pisze Paulina Codogni w znakomitej monografii *Wybory czerwcowe 1989 roku. U progu przemiany ustrojowej*, wydanej w tym roku przez IPN.

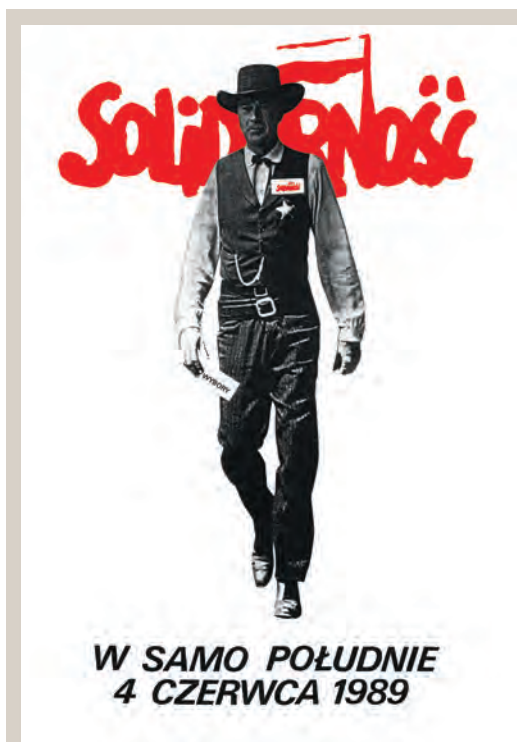
Kampania koalicji rządowej pozbawiona była dynamiki, ponieważ jej organizatorzy – ludzie aparatu partyjnego – nie chcieli bądź nie potrafili sprostać

wyzwaniom, które rzuca prawdziwa akcja wyborcza. W organizacji zebrano powielano fatalne wzorce z przeszłości. Kandydaci o swoich programach czytali z kartek, co z reguły trwało tak długo, że na pytania z sali nie starczało już czasu. Zdarzały się spotkania w rodzaju tego, które później opisał w swoich wspomnieniach gen. Józef Kuropieska, kandydujący w województwie radomskim do Senatu. Uczestniczyło w nim pięciu kandydatów koalicyjnych i... siedmiu wyborców. Komentując relację Kuropieski, gen. Jaruzelski stwierdził dwa lata później: „Kiedy czyta się jego opis, jak to wyglądało, jak kampanię organizowała partia, Komitet Wojewódzki, inne instancje, to rozpacz ogarnia. W soboty i w niedziele przedwyborcze już ich w ogóle nie było, nie interesowali się sytuacją naszych kandydatów, a jednocześnie byli przekonani, że łatwo się wygra. [...] A więc indolencja, pasywność, przekonanie, że i tak wygramy, bo się przyzwyczailiśmy do wygrywania zawsze”.

Zwycięstwo Solidarności

Przeciwieństwem tego była pełna dynamizm kampania wyborcza Solidarności, która jednak – z uwagi na słabość struktur organizacyjnych opozycji – poza wielkimi miastami była możliwa tylko dzięki poparciu sporej części duchowieństwa katolickiego. Żłudzeniem okazała się wiara ekipy Jaruzelskiego, że uchwalona tuż przed wyborami ustawa o stosunku państwa do Kościoła, spełniająca jego podnieszone od lat żądania, zneutralizuje księży.

Rozmiary wygranej Solidarności i przegranej władz w poszczególnych regionach były oczywiście zróżnicowane, a ich układ tworzył nową geografie polityczną Polski. Największe poparcie kandydaci NSZZ „Solidarność” uzyskali w województwach Polski południowo-wschodniej (woj. rzeszowski, nowosądecki, zamojski, przemyski, krośnieński i tarnowski) oraz na Dolnym Śląsku, natomiast relatywnie najslabiej wypadli w województwach północno-zachodnich: piłskim, leszczyńskim, bydgoskim i śląskim. Kandydaci Komitetu Obywatelskiego triumfowali na obszarach społecznie



Szeryf z polskim oficerem w tle

Western *W samo południe* był życiową rolą Gary'ego Coopera. Aktor zagrał postać samotnego szeryfa, opuszczonego przez wszystkich, jedyne go mieszkańca broniącego honoru całego miasta. Paradoksalnie ten filmowy przykład zaprzeczenia solidarności społecznej stał się po 1989 roku ikoną wyborów w Polsce. Wymowne, nieprawdaż? To jasne, przecież wszyscy potrzebujemy bohaterów: wierzymy wciąż w nowych, bo zawsze mieliśmy ich w polskiej historii bardzo wielu, nie tylko romantycznych. Dziś mogę śmiało powiedzieć, że Gary Cooper nie był jedyną inspiracją do stworzenia plakatu. Podświadomie nosilem w pamięci wizerunek mojego dziadka, kapitana Janusza Sarneckiego z 25. Kaliskiej DP, poległego 18 września 1939 roku w niemieckiej zasadzce w Śladowie nad Bzurą. Dopiero po latach dostrzegłem uderzające podobieństwo sylwetek Gary'ego Coopera i Janusza Sarneckiego, *nota bene* urodzonych w tym samym 1901 roku. Zdjęcia oficerskie, które otrzymałem kiedyś od mojego ojca, ukazywały figurę kogoś ważnego, bardzo bliskiego, którego nigdy nie dane mi było poznać. Uderzające podobieństwo fotograficznego ujęcia, ten sam krok, cień na twarzy pod polską rogatywką jak pod rondem kapelusza – wszystko to sprawiło, że nie mam dziś wątpliwości, jak ważna była i jest ojczyzna pamięć i pokoleniowa tożsamość.

Na moim plakacie fabularna postać ze znanego amerykańskiego westernu jest rozpoznawalnym powszechnie symbolem niezłomnej woli człowieka miłującego wolność. Tak miało być. Ale to nie fikcyjna, lecz rzeczywista postać oficera przedwojennego Wojska Polskiego, który poległ na polu chwały w obronie Rzeczypospolitej, jest prawdziwą duszą tej wizji.

Tomasz Sarnecki



► Janusz Sarnecki z żoną Heleną na spacerze, Warszawa ok. 1934 roku (w stopniu porucznika artylerii 8. p.ał, komendanta klasy II baterii szkolnej w toruńskiej SPArT)



► Janusz Sarnecki z synkiem Janem, rodzinny Płock, maj 1938 roku (w stopniu kapitana dyplomowanego intendenty, szefa intendenty w sztabie kaliskiej 25 DP gen. Franciszka Altera)

silniej zintegrowanych, zamieszkiwanych przez ludność o wyższym poziomie religijności. Natomiast koalicja najlepiej wypadła w Polsce zachodniej i północno-zachodniej, gdzie średnie poparcie dla kandydatów z listy krajowej wyraźnie przekroczyło połowę, dochodząc do 62 proc. w województwie piłskim oraz 61 proc. w zielonogórskim i koszalińskim. Ten charakterystyczny podział Polski na dwa główne obszary o odmiennych pre-

ferencjach politycznych miał się okazać dosyć trwały. W wyborach, które odbywały się w następnych latach, na północnym zachodzie większe poparcie uzyskiwali kandydaci szeroko rozumianej lewicy, natomiast na południowym wschodzie dominowała prawica.

„Dla nas najważniejsze jest wygranie wyborów, a nie styl, w jakim je wygramy. Nie możemy stracić władzy przy pomocy kartki wyborczej” – mó-

wił jeszcze w lutym 1989 roku minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak. Cztery miesiące później okazało się jednak, że dyktatura komunistyczna nie wytrzymała ciężaru milionów kartek wyborczych wrzuconych do urn przez Polaków. 🗳️

prof. Antoni Dudek – politolog i historyk, zajmuje się dziejami najnowszej Polski oraz jej systemem politycznym; ostatnio opublikował *Instytut. Osobista historia IPN* (2011)

Akcja „PORONIN”

Piotr Byszewski

Kiedy państwa komunistyczne obchodziły setną rocznicę urodzin Włodzimierza Lenina, członkowie tajnej organizacji „Ruch” postanowili wysadzić pomnik i podpalić muzeum twórcy „ojczyzny proletariatu”.

„**W** pierwszej połowie 1970 roku grupa rządząca rozpętała kosztem olbrzymich nakładów materialnych kampanię kultu wobec osoby Lenina – powiedział Andrzej Czuma podczas procesu przywódców »Ruchu«. – Społeczeństwu, które znajduje się w straszliwych warunkach materialnych na skutek nieudolności grupy rządzącej, wciska się na siłę kult Lenina, którego to kultu społeczeństwo nie podziela. W ten sposób w świadomości i emocjach społecznych zaczyna się utrwać powiązanie między wyzyskiem, poczuciem krzywdy i knebłowaniem, jakie spotyka społeczeństwo z ręki grupy rządzącej, a rozdmuchiwaniem kultem leninowskim”.

Był to pomysł Niesiołowskiego

Z pomysłem spektakularnej demonstracji przeciw tej nachalnej propagandzie wystąpił pod koniec kwietnia 1970 roku Stefan Niesiołowski. Na jednym z cotygodniowych zebrań nieformalnego zespołu kierowniczego „Ruchu” zaproponował wysadzenie pomnika i podpalenie muzeum Lenina w Poroninie. O podjęciu przygotowań do akcji zdecydowało głosowanie – Niesiołowskiego poparli Marian Gołębiewski i Bolesław Stolarz, przeciwni byli Andrzej Czuma i Emil Morgiewicz, który obawiał się, że powodzenie akcji może stać się zachętą do kontynuowania działań tego rodzaju i doprowadzić do przeistoczenia się „Ruchu” w organizację terrorystyczną.

W zebraniu nie brał udziału Benedykt Czuma, który również był przeciwny tej akcji, ponieważ zahaczała o polityczny terroryzm i drastycznie naruszała przyjęte przez organizację zasady konspiracji. Gdyby Benedykt Czuma był wtedy obecny, pomysł akcji najprawdopodobniej by upadł.

W książce *Ruch przeciw totalizmowi* Niesiołowski przyznał: „Decyzja o podpaleniu muzeum [...] była ciężkim błędem, a sposób jej realizacji najgorszym z możliwych”. „Ruch” nie był zupełnie przygotowany do jakichkolwiek akcji terrorystycznych. W założeniu nigdy nie miał prowadzić takich działań, wykluczono również walkę zbrojną. Oprócz Gołębiewskiego, oficera AK i WiN, nikt nie miał doświadczenia w akcjach dywersyjnych.

Była fatalnym błędem także z innego powodu – od października 1969 roku Wydział I Departamentu IV MSW prowadził skierowaną przeciw organizacji sprawę operacyjnego rozpracowania krypt. „Rewident”. Głównym „figurantem” był Andrzej Czuma, SB systematycznie zdobywała informacje o kolejnych osobach związanych z „Ruchem”. Już pod koniec 1969 lub na początku 1970 roku Czuma wiedział, że jest śledzony. W styczniu 1970 roku wezwano na rozmowę do pałacu Mostowskich w Warszawie Morgiewicza, który też zorientował się, że bezpieczeństwa interesuje się Andrzejem Czumą.

Założycielom „Ruchu” zależało przede wszystkim na powolnym budowaniu silnej organizacji. Zrezygnowali więc z wszelkich działań grożących dekonspiracją, np. akcji ulotkowych czy malowania napisów. Z upływem czasu jednak niektórzy byli tą formą konspiracji coraz bardziej znużeni. „Szczególnie gorliwym zwolennikiem konkretnych działań – pisał Niesiołowski – był Wojciech Mantaj, który często powtarzał, że »Ruch« ciągle tylko przy-

gotowuje się do czegoś, coś zapowiada, odwołuje – a żadnych działań nie ma. Należy wreszcie zacząć robić coś konkretnego, ważnego, działać, bo nie po to zgramadziłyśmy się w całej Polsce już w liczbie ponad stu osób, żeby nadal dyskutować o programie i pisać to, co wszyscy i tak już wiedzą”.

Wiosną 1968 roku Mantaj wykonał na murze niedaleko Szpitala Powiatowego w Skierniewicach napis „PZPR to wróg”. Rok później Stefan Türschmid i Witold Sułkowski zaproponowali rozkolportowanie ulotek w pierwszą rocznicę protestów marcowych, ale zrezygnowali z tego wskutek perswazji Niesiołowskiego. Podczas V zjazdu „Ruchu” w czerwcu 1969 roku (zjazdami nazywano spotkania najaktywniej-



► Pomnik Lenina w Poroninie

szych osób) Sułkowski podniósł kwestię reagowania w razie pojawienia się nowych protestów społecznych. Uważał, że „Ruch” powinien włączyć się do tych protestów, choćby tylko kolportując ulotki. Ze stanowiskiem Sułkowskiego zgodził się Andrzej Czuma, zaznaczając jednak, że organizacja mogłaby się ujawnić tylko w nadzwyczajnej sytuacji. Jesienią 1969 roku Antoni Radzik przekazał Gołębowskiemu tekst „Apelu do narodów świata”, w którym przypomniał udział Polski w II wojnie światowej i wzywał rządy państw zachodnich do uwolnienia Polski od zależności od ZSRR. Zamierzali oni rozesłać „Apel” do przedstawicielstw państw zachodnich i ośrodków polskiej emigracji na Zachodzie, ale w końcu do tego nie doszło.

W kwietniu lub w końcu marca 1970 r. przeprowadzono nieudaną akcję „Skunks” – usiłowano wlać do sklepów PKO w Łodzi płyn o bardzo nieprzyjemnym zapachu. Była to prawdopodobnie tylko próba. Właściwym celem miały być mieszkania ludzi szczególnie dyspozycyjnych wobec władz. Rozpoczęto nawet obserwację mieszkań dwóch literatów – Jana Korprowskiego i Zbigniewa Nienackiego – oraz lokalu łódzkiego oddziału Stowarzyszenia PAX. Z akcji zrezygnowano ze względu na przygotowania do spalenia muzeum.

Przygotowania do akcji

W związku z planem podpalenia muzeum w Poroninie podstawową sprawą było przygotowanie zapalników i materiałów zapalających oraz rozpoznanie budynku i jego otoczenia. O wykonanie zapalników i materiałów zapalających Stefan Niesiołowski zwrócił się do chemika Jana Kapuścińskiego. Początkowo prosił również o sporządzenie materiałów wybuchowych do wysadzenia pomnika. Kapuściński nie miał jednak zamiaru dostarczyć mu tych materiałów. Obawiał się, że użycie ich przez osoby niefachowe może stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko dla nich, lecz też dla przypadkowych

► Przed muzeum Lenina w Poroninie



Fot. AIPN

świadków. W dodatku nie miał odpowiedniego sprzętu i odczynników niezbędnych do ich sporządzenia.

Rozpoznanie budynku, pomnika oraz terenu wokół muzeum przeprowadził na początku maja 1970 roku Wiesław Kurowski – wykonał fotografie muzeum i pomnika, a także szkice budynku, zaznaczając na nich miejsca, gdzie można umieścić ładunki. Ustalił, gdzie znajdują się posterunki MO i straży pożarnej, sprawdził również godziny otwarcia muzeum. W końcu maja Andrzej Czuma i Kurowski pojechali do Łodzi, gdzie w tamtejszej restauracji SPATiF omówili z Niesiołowskim i Kapuścińskim kwestie związane z rozmieszczeniem ładunków w budynku

oraz obecnością w muzeum obsługi i zwiedzających. Akcję zamierzano bowiem przeprowadzić tylko pod warunkiem, że w muzeum nikogo nie będzie.

Problemem okazało się zorganizowanie samochodów. W tej sprawie Andrzej Czuma skontaktował się 27 maja ze Sławomirem Daszutą, który był – o czym Czuma nie wiedział – tajnym współpracownikiem bezpieki. Co prawda Czuma nie wspominał Daszucie o celu akcji, powiedział jednak, że będzie ona miała „duże znaczenie i odbije się głośnym echem w kraju”.

W czerwcu Benedykt Czuma i Kapuściński przeprowadzili na cmentarzu komunalnym w Łodzi udaną próbę zdetonowania mieszaniny pirotechnicznej. ►

► Jan Kapuściński obserwuje niszczenie materiałów łatwopalnych przez ekspertów z zakładu kryminalistyki KG MO



Fot. AIPN



Fot. AIPN

► Ekspert Zakładu Kryminalistyki KG MO demonstruje, w jaki sposób miano opróżnić pojemnik z łatwopalnym eterem

Kapuściński przygotował sześć zapalników chemicznych (metalowe rurki z ampulką z kwasem siarkowym oraz mieszaniną cukru i chloranu potasu) o opóźnionym działaniu. Zapłon następował po upływie 40–60 minut od zgniecenia rurki. Do zainicjowania pożaru miały posłużyć „kostki zapalające”, zawierające wspomnianą mieszaninę pirotechniczną, wytwarzającą w czasie spalania temperaturę około 2000°C. Kapuściński przekazał także lont, butelkę terpentyny oraz ok. 22 litrów płynów zapalających.

Na początku czerwca Kapuściński i Marek Niesiołowski – brat Stefana – przeprowadzili udaną próbę z płynami zapalającymi. Kapuściński poinstruował też Niesiołowskiego, jak

należy uruchomić zapalnik. Polegało to na zgnieceniu kombinerkami rurki w miejscu, gdzie znajdowała się ampulka z kwasem. Niesiołowski spotkał się z Kapuścińskim jeszcze dwukrotnie – odebrał od niego wszystkie materiały zapalające, które przewieziono samochodem Jacka Bartkowiaka do mieszkania Benedykta Czumy.

Ogólny zarys planu podpalenia muzeum przypuszczalnie ustalono w końcu maja na spotkaniu w mieszkaniu Benedykta Czumy. Uczestniczyli w nim Andrzej Czuma, Stefan Niesiołowski i Wiesław Kurowski. Prawdopodobnie wtedy uzgodniono, że akcja będzie przeprowadzona pomiędzy 14 a 21 czerwca, w zależności od terminu otrzymania wszystkich materiałów od Kapuścińskiego. Plan miał zostać dopracowany 15 czerwca podczas zebrania w Warszawie w mieszkaniu przy ul. Kościelnej. Wzięli w nim udział: Andrzej Czuma, Marzena Górszczyk, Wiesław Kurowski, Wiesław Kęćik, Janusz Krzyżewski, Edward Staniewski oraz Benedykt Czuma, Marek Niesiołowski i Andrzej Woźnicki, którzy przyjechali na zebranie z Łodzi. Definitywnie zrezygnowano wtedy z wysadzenia pomnika. Okazało się również, że Kurowski przeprowadził rozpoznanie niedokładnie i konieczne było jego powtórzenie. Chodziło o sprawdzenie, czy przewód wentylacyjny – przez który zamierzano wlać do piwnicy płyn zapalający – jest drożny, a także czy w muzeum nie mieszka dozorca. Rozpoznanie przeprowadził następnego dnia Kęćik. Stwierdził, że przewód jest niedrożny, co wykluczało wlanie płynu

do piwnicy. Przy okazji dokonał jeszcze jednego, raczej niespodziewanego odkrycia. Okazało się, że w „świętym” (dla wszystkich komunistów) miejscu funkcjonowała melina pijacka – jedna z woźnych zatrudnionych w muzeum handlowała wódką, a w piwnicy odbywała się libacja alkoholowa. Stawiała to pod znakiem zapytania całą akcję.

W tej sytuacji podczas drugiego zebrania (19 czerwca) postanowiono zrezygnować z wiania płynu do piwnicy – ograniczono się do pomysłu pozostawienia kilku ładunków w przestrzeni ekspozycyjnej muzeum. Marzena Górszczyk zdała wówczas Czumie relację z wyjazdu do Gdańska i rozmowy z Daszutą w sprawie samochodu. W liście przekazanym przez Górszczyk Czuma prosił go o przyjazd do Warszawy 20 czerwca wieczorem, podał również datę akcji. Daszuta prośbę spełnił – z Wydziału Transportu MSW otrzymał samochód z fikcyjną rejestracją bydgoską.

Termin wyznaczono na 21 czerwca

Marek Niesiołowski i Benedykt Czuma mieli przywieźć materiały zapalające w samochodzie pożyczonym przez Daszutę. Planowano, że Krzyżewski i Górszczyk przyjadą z Warszawy nocnym pociągiem, Staniewski zaś – własnym samochodem. Zakładano, że wszyscy przed południem dotrą do Zakopanego i spotkają się w wyznaczonych miejscach. Ponieważ muzeum w pobliskim Poroninie miało zostać zamknięte o 16.00, wejście do pomieszczeń ekspozycyjnych zaplanowano na 15.15. Marek Niesiołowski (kierował wykonaniem akcji), Krzyżewski i Górszczyk mieli tuż przed zamknięciem muzeum podłożyć w kilku miejscach „kostki zapalające” i butelki z płynem oraz uruchomić zapalniki. Po opuszczeniu muzeum mieli spotkać się w wyznaczonym miejscu z Czumą i Staniewskim, którzy odwieźliby ich samochodami z miejsca akcji. Ponieważ zapłon miał nastąpić po kilkudziesięciu minutach od uruchomienia zapalników, to w chwili wybuchu pożaru wszyscy uczestniczący w akcji

Tajna organizacja niepodległościowa „Ruch” działała w latach 1965–1970. Założycielami byli Andrzej i Benedykt Czumowie, Stefan Niesiołowski oraz Marian Gołębiowski – razem z Emilem Morgiewiczem i Bolesławem Stolarzem tworzyli oni nieformalnie kierownictwo. W deklaracji programowej *Mijają lata* jako podstawowe cele określono odsunięcie od władzy komunistów i odzyskanie niepodległości. Od jesieni 1969 r. „Ruch” wydawał dwa pisma – „Biuletyn” i „Informator” (do marca 1970 roku). Organizacja została rozbita przez SB latem 1970 roku. Procesy (w 1971 roku) objęły 32 osoby. W procesie przywódców Andrzej Czuma i Stefan Niesiołowski zostali skazani na 7 lat więzienia, Benedykt Czuma na 6 lat, Marian Gołębiowski i Bolesław Stolarz na 4,5 roku, a Emil Morgiewicz na 4 lata. W pozostałych procesach zapadły wyroki od 2 lat pozbawienia wolności do roku w zawieszeniu.

powinni znajdować się stosunkowo daleko od muzeum.

Jednocześnie do Szczyrku mieli się udać Elżbieta Łukasiewicz-Nagrodzka i Andrzej Woźnicki. Ich zadaniem było zrobienie kilku fotografii oraz zdobycie biletów na kolejkę linową. Następnie mieli spotkać się w okolicy Jordano-wa (miejscowość koło Rabki) z grupą Niesiołowskiego i przekazać im aparat ze zdjęciami oraz bilety, by mieli alibi w wypadku, gdyby milicja zdążyła zorganizować blokadę dróg.

Już na pierwszy rzut oka plan wydaje się bardzo skomplikowany – ujawnił się tu całkowity brak doświadczenia w akcjach tego rodzaju. Stefan Niesiołowski stwierdził zresztą po latach, że „plan zakładał umawianie się różnych grup ludzi w różnych, oddalonych od siebie miejscach, co zawsze jest trudne do osiągnięcia”. Ale nie to było jego głównym mankamentem. W trakcie przygotowań przez cały czas podnoszono sprawę niebezpieczeństwa odniesienia poważnych obrażeń przez przypadkowe osoby czy nawet śmierci którejś z nich. Tego ryzyka nie można było całkowicie wykluczyć. Marek Niesiołowski, który był odpowiedzialny za wykonanie akcji, zobowiązał się do podjęcia ostatecznej decyzji już na miejscu. W razie najmniejszego niebezpieczeństwa miał zrezygnować ze spalania muzeum.

Plan miał też inne wady. Wątpliwe, czy bez zwrócenia uwagi osób pilnujących ekspozycji i zwiedzających udało by się wnieść do muzeum kilka butelek z płynem zapalającym. Obecność w budynku mężczyzn z kombinerkami w rękach, wkładających pod gabloty z eksponatami jakieś butelki, pudełka i dziwne metalowe rurki (zapalniki), musiałyby wzbudzić podejrzenie. W dodatku Niesiołowski i Krzyżewski nigdy nie mieli wcześniej do czynienia z materiałami zapalającymi i wybuchowymi.

Znaczne kłopoty sprawiło zorganizowanie samochodów. Okazało się, że samochód Staniewskiego musiał pozostać kilka dni dłużej w naprawie i nie mógł zostać użyty. Na dodatek o plano-

wanej akcji wiedziało co najmniej kilkanaście osób. Zwiększało to w znacznym stopniu groźbę przecieku, czego chyba nikt nie był świadomy. „Z niebezpieczeństw tych nikt jakoś nie zdawał sobie sprawy – pisał później Stefan Niesiołowski – a nawet doświadczony konspirator i żołnierz Armii Krajowej oraz WiN-u Gołębiewski zlekceważył elementarne środki ostrożności”. Akurat w tym przypadku Niesiołowski się myli – Gołębiewski zdążył zapoznać się z planem podpalenia muzeum i ocenił go niezwykle krytycznie właśnie z powodu liczby zaangażowanych osób. Nie mógł jednak w żaden sposób wymusić jego zmiany.

Pytanie, czy ten skomplikowany plan był możliwy do zrealizowania, pozostaje pytaniem retorycznym. W przeddzień akcji – 20 czerwca – bezpieka dokonała pierwszych aresztowań. Zatrzymano 24 osoby, w tym Andrzeja i Benedykta Czumów, Stefana i Marka Niesiołowskich, Kurowskiego i Kęćka. Następnego dnia w zasadzkę załóżoną przez SB w domu Andrzeja

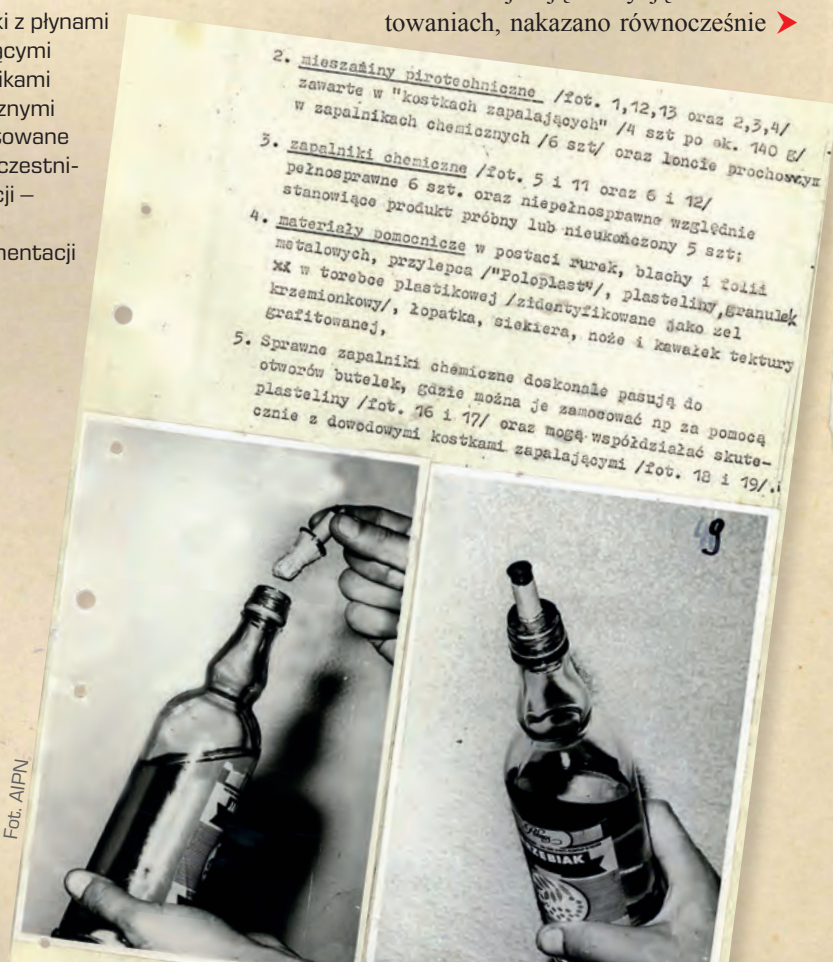
► Butelki z płynami zapalającymi i zapalnikami chemicznymi przygotowane przez uczestników akcji – zdjęcia z dokumentacji MSW

Czumi wpadli Woźnicki i Nagrodzka. Marzenę Górszczyk aresztowano już po jej powrocie z Zakopanego. Pojechała tam razem z Januszem Krzyżewskim, choć musieli zdawać sobie sprawę, że do akcji nie dojdzie, bo przed odjazdem pociągu odnalazł ich na dworcu w Warszawie Woźnicki i poinformował o pierwszych aresztowaniach.

Bezpieka była dobrze poinformowana

Esbecy otrzymali informacje o akcji „Poronin” z dwóch źródeł. Jednym był Daszuta. Oprócz tego w domu Andrzeja Czumi esbecy zainstalowali podsłuch pokojowy i 18 czerwca nagrali rozmowę, w której uczestniczyli m.in. Andrzej Czuma i Kęćka. Jej treść wskazywała na to, że w planowanej akcji zostaną użyte materiały wybuchowe i zapalające, a celem ma być niezidentyfikowany budynek poza Warszawą. Z tego powodu następnego dnia zapadła decyzja o aresztowaniach.

Do momentu aresztowań SB nie wiedziała, że celem akcji było muzeum Lenina. Podejmując decyzję o aresztowaniach, nakazano równocześnie ►



„wzmocnienie czujności terenowych jednostek MO i SB” w zakresie ochrony banków, ważniejszych obiektów przemysłowych, stacji radiowych i telewizyjnych, a nawet lotnisk. Z tego względu należy wykluczyć tezę, że akcja „Poronin” była prowokacją SB.

Nieprawdą jest również, że był to główny powód aresztowań i gdyby z podpalenia muzeum zrezygnowano, do rozbicia organizacji by nie doszło. W rzeczywistości przygotowania do spalenia muzeum jedynie przyspieszyły aresztowania. Wiosną 1970 roku bezpieka rozpracowała organizację w dość znacznym stopniu. Zdobyła tekst deklaracji *Mijają lata* oraz wszystkie kolejne numery „Biuletynu” (pisma wydawanego przez organizację). Ustaliła również tożsamość co najmniej kilkunastu związanych z nią osób. Dyrektor Departamentu IV MSW płk Stanisław Móravski 10 czerwca poinformował dyrektora Biura Śledczego MSW płk. Józefa Chomętowskiego o prowadzonym rozpracowaniu organizacji i jednocześnie poprosił o włączenie do sprawy krypt. „Rewident” funkcjonariusza Biura Śledczego. Wynika z tego, że już wcześniej przygotowywano się do rozbicia „Ruchu”.

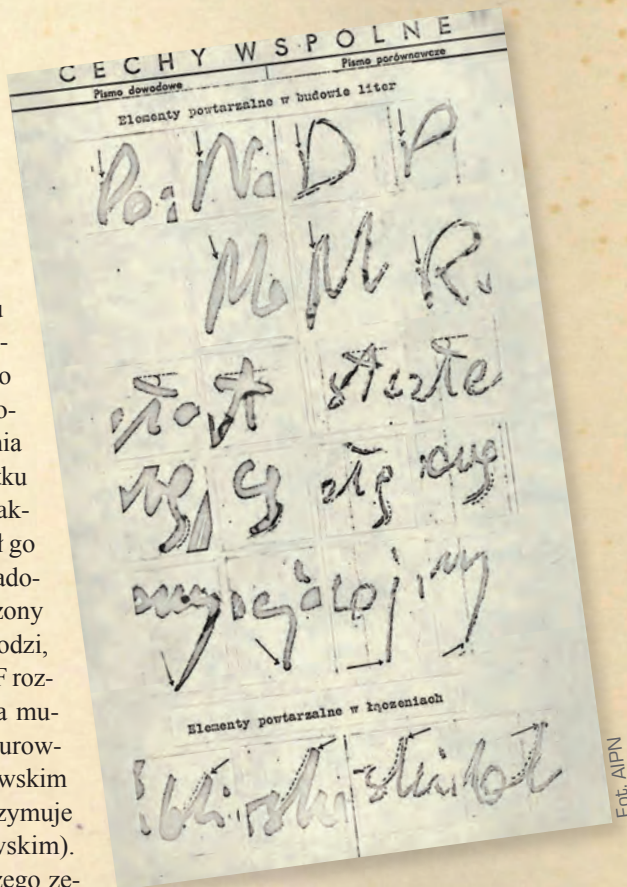
Wspominałem, że w „Ruchu” zdawano sobie sprawę z inwigilacji. Andrzej Czuma i Gołębiewski wiedzieli, że są śledzeni. Podejrzał to również Stefan Niesiołowski, z tego powodu miał zrezygnować z udziału w akcji. Dlatego bardzo ryzykowne było zaangażowanie się w przygotowania Andrzeja Czumy. W dodatku miał on wziąć udział w akcji jako kierowca, zastąpił go jednak jego brat. Nie wiadomo, czy Czuma był śledzony w czasie przyjazdu do Łodzi, kiedy w restauracji SPATIF rozmawiał na temat spalenia muzeum z Kapuścińskim, Kurowskim i Stefanem Niesiołowskim (SB wiedziała już, że utrzymuje on kontakty z Niesiołowskim). To samo dotyczy pierwszego zebrania przy ul. Kościelnej. Benedykt Czuma stwierdził później, że kiedy przyjechał do Warszawy z Markiem Niesiołowskim i Woźnickim, zauważył jadący stale za nimi samochód milicyjny. Jego wersji nie potwierdził jednak Niesiołowski. Podczas wspomnianego zebrania panowała nerwowa

atmosfera czy może nawet psychoza inwigilacji – wyjęto wtyczkę od telefonu, żeby uniemożliwić podsłuch; podejrzewano, że ktoś obserwuje mieszkanie przez lornetkę. Należy się więc zastanowić nad tym, dlaczego nie zrezygnowano wtedy z przeprowadzenia akcji. Przypuszczalnie zdecydowała presja większości i pragnienie zniszczenia za wszelką cenę symbolu znieprawdzonego systemu.

► Wyciąg z badań porównawczych pisma ręcznego Andrzeja Czumy z akt Zakładu Kryminalistyki KG MO

Bez wątpliwości „Poronin” był najpoważniejszym błędem popełnionym przez organizację. Przygotowywanie akcji terrorystycznej w sytuacji, kiedy wcześniej zrezygnowano ze względów bezpieczeństwa z dużo mniej ryzykownych akcji ulotkowych, było karygodną niekonsekwencją. Fatalnie zaciążył też na wizerunku organizacji. „Właśnie na skutek akcji «Poronin» – pisał Stefan Niesiołowski – udało się SB stworzyć obraz «Ruchu» jako organizacji terrorystycznej, którą przecież nie był, a samą akcję potraktować jako najważniejszą i będącą niejako głównym celem i istotą działania całego związku. [...] «Poronin» jakoby podważał wiarygodność zapewnień, że «Ruch» nie będzie stosował przemocy, jakby przekreślał jego dotychczasowe dokonania, unieważniał wszystko, co zostało napisane w «Biuletynie», «Informatyze» i deklaracji *Mijają lata*”.

Piotr Byszewski – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



Fot. AIPN

Warszawa, dnia 17 lipca 1970r

Notatka służbowa

/ dot. wysadzenia Muzeum Lenina w Poroninie /

Grupa osób pod kierownictwem Andrzeja CZUMY miała dokonać w dniu 21 czerwca 1970r wysadzenia Muzeum Lenina w Poroninie. W dniu 15 czerwca 1970r w mieszkaniu przy [redacted] odbyła się narada w składzie:

- 1/ KUROWSKI Wiesław
- 2/ CZUMA Andrzej
- 3/ CZUMA Benedykt
- 4/ KECIK Wiesław
- 5/ GARSZCZYK Marceja
- 7/ NIESIOŁOWSKI Marek
8. WOŹNICKI Andrzej
9. BRZYŻEWSKI Janusz
9. GOŁĘBIEWSKI Marian

Na naradzie tej omówiono dokładny plan akcji oraz rozdzielono w dniu 18 czerwca w mieszkaniu Andrzeja CZUMY w Warszawie - Włochy [redacted] się narada w składzie:

- 1/ Andrzej CZUMA
- 2/ Jan KUROWSKI
- 3/ Wiesław KECIK

W czasie tej narady wniesiono poprawki do planowanej akcji.

Następna akcja odbyła się dnia 19 czerwca 1970r w mieszkaniu przy [redacted] w składzie:

- 1/ KUROWSKI Jan, Wiesław
- 2/ CZUMA Andrzej
- 3/ CZUMA Benedykt
- 4/ KECIK Wiesław
- 5/ GARSZCZYK Marceja

Fot. AIPN

► Pierwsza strona notatki służbowej oficera Biura Śledczego MSW



Fot. AIPN

► Manifestanci na ulicach Poznania

Poznań'56

Jerzy Eisler

W gwarze poznańskiej słowo „szczun” oznacza kilkunastoletniego chłopaka spędzającego sporo czasu na ulicy, takiego trochę ulicznika, małego łobuziaka, ale w żadnym razie nie chuligana czy tym bardziej bandytę. Właśnie tytuł *Szczuny* miał pierwotnie nosić pierwszy fabularny film poświęcony „krwawemu czwartkowi” w Poznaniu. Ostatecznie jednak twórca tego dzieła, rodowity poznaniak Filip Bajon, obawiając się, że taki tytuł byłby pewnie niezrozumiały poza Wielkopolską, odstąpił od tego zamiaru, decydując się na nazwanie filmu w sposób absolutnie zrozumiały dla wszystkich.

Z resztą reżyser i zarazem współtwórca scenariusza Filip Bajon sam oglądał tragedię rodzinnego miasta oczyma niespełna dziesięcioletniego chłopca i z takiego też dziecięcego punktu widzenia zdecydował się później ukazać wydarzenia z Czerwca '56. Po latach mówił na ten temat: „To wszystko działo się w mojej dzielnicy. Nagle na ulicach i podwórkach, na których bawiliśmy się w wojnę, zaczęła się wojna naprawdę. Pojawił się czołg, na dachu stał karabin maszynowy, wokół pełno łusek...”

Demonstracje stłumione przez wojsko

Zanim spróbuję odpowiedzieć na pytanie, czy to zamierzenie artystyczne się powiodło, najpierw trzeba przypomnieć podstawowy zrab faktów. Rankiem 28 czerwca 1956 roku robotnicy przerwali pracę „w ceglorku”, o 6.20 sformowali pochód i w porządku, bez awantur wyszli na ulice. Skierowali się w stronę znajdujących się w centrum miasta i sąsiadujących ze sobą gmachów Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz Miejskiej Rady Narodowej. Wśród demonstrantów szybko ujawnił się silny nurt jednoznacznie polityczny i niepodległościowy. Śpiewano hymn narodowy, *Rotę* w wersji „aż się rozpadnie w proch i pył rosyjska zawierucha”, pieśni religijne: *My chcemy* ►

Boga, Pod Twą obronę oraz Boże, coś Polskę w wersji „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Stosunkowo szybko – jeszcze w pierwszej fazie manifestacji – pojawiły się też białe-czerwone flagi i sporządzone naprędce transparenty o treści na ogół ekonomicznej i społecznej: „Żądamy podwyżki płac”, „Chcemy żyć jak ludzie”, „Chcemy chleba”, „Precz z normami”, „Jesteśmy głodni”. Z czasem dołączyły również te już otwarcie antykomunistyczne i antyrządowe: „Precz z wyzyskiem świata pracy”, „Precz z czerwoną burżuazją”, „My chcemy wolności”, „Precz z bolszewizmem”, „Precz z komunistami”, „Żądamy wolnych wyborów pod kontrolą ONZ”, a nawet „Niech żyje Mikołajczyk”. W końcu pojawiły się też okrzyki o treści antyrosyjskiej i antyradzieckiej: „Precz z Rosjanami”, „Precz z Moskalami”, „Precz z Ruskami, żądamy prawdziwie wolnej Polski”.

Po godzinie 9.00 tłum w centrum miasta na ówczesnym pl. Stalina (obecnie pl. Adama Mickiewicza) niektórzy szacowali nawet na 100 tys. osób, przy czym oczywiście nie wszyscy byli w pełni świadomymi uczestnikami protestu. Wielu ludzi patrzyło na to, co rozgrywało się na ulicach, z niepełnym zdziwieniem, niedowierzaniem, ale zarazem często i z satysfakcją, zadowoleniem, a niejednokrotnie – jeżeli tak można powiedzieć – z radością. Wobec braku jakiegokolwiek reakcji ze strony rządzących z czasem doszło do płańdowania budynków lokalnych władz. W pewnym momencie w tłumie rozeszła się plotka o aresztowaniu robotniczej delegacji. Była to nieprawda, ale część zebranych sformowała pochód i udała się na ulicę Młyńską pod więzienie, aby uwolnić rzekomo tam przetrzymywanych „cegielszczaków”.

Jednocześnie inna grupa skierowała się pod gmach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego. Zbliżający się manifestanci zostali oblani z okien budynku wodą z hydrantów. Wówczas z tłumy w stronę siedziby lokalnej „bezpieki” poleciały kamienie. W odpowiedzi o 10.40 z okna na drugim piętrze obleganego gmachu padły pierwsze strzały, co oczywiście natychmiast wpłynęło na obustronną eskalację agresji. W wielu punktach miasta rozgorzała gwałtowna walka z użyciem butelek z benzyną, ale też broni palnej, którą demonstranci w ciągu następnych godzin zabrali z magazynu więziennego przy ul. Młyńskiej, ze Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Rolniczej, Akademii Medycznej i Politechniki Poznańskiej oraz z mniejszych posterunków i komisariatów Milicji Obywatelskiej. W promieniu kilkunastu kilometrów od Poznania grupy młodych ludzi wyposażone w samochody ciężarowe i zdobytą wcześniej broń rozbrajały posterunki i komisariaty milicji, zabierając z nich każdorazowo od kilku do kilkunastu sztuk broni palnej. W sumie w rękach demonstrantów znalazło się około dwustu sztuk nadającej się do użytku broni palnej, z czego zdecydowaną większość w następnych dniach odzyskano. Natomiast wobec 94 osób sformułowano później zarzut ataków z bronią w rękę.

Ponieważ w owym czasie w PRL nie było specjalnych formacji milicyjnych przeznaczonych do interweniowania w takich wyjątkowych sytuacjach, do tłumienia buntu zdecydowano się użyć jednostek Wojska Polskiego. Do miasta, w którym prawie natychmiast wprowadzono blokadę telekomunikacyjną, wkroczyło łącznie ponad 10 tys. żołnierzy wyposażonych w 359 czołgów (31 z nich zniszczono lub uszkodzono w czasie walk), 31 dział pancernych, 6 armat przeciwlotniczych, 30 transporterów opancerzonych, 880 samochodów i 68 motocykli. W trakcie kilkudziesięciogodzinnej akcji żołnierze zużyli w sumie około 180 tys. sztuk amunicji, głównie do broni maszynowej, co świadczyło tyleż o przyjęciu błędnej koncepcji użycia wojska, co i o zaciętości toczonych walk. Na marginesie można dodać, że w czasie bitwy o Poznań w lutym 1945 roku Armia Czerwona dysponowała w mieście zaledwie 105 czołgami, to jest ponad trzy razy mniejszą liczbą, niż użyto w czerwcu 1956 roku.

Nie ulega wątpliwości, że mieliśmy wówczas do czynienia z czymś więcej niż wyłącznie z protestem o podłożu społeczno-ekonomicznym. Takie też były odczucia wielu uczestników i obserwatorów zająć. Do insurekcyjnej symboliki i retoryki świadomie zresztą nawiązywała część demonstrantów. Obrazy chłopców z butelkami benzyny w dłoniach oraz młodych mężczyzn prowadzących wymianę ognia z wrogiem, za jakiego powszechnie wówczas uznano „ubeków”, młode dziewczyny przedstawiające się jako „powstańcza służba medyczna”, patriotyczne pieśni, liczne białe-czerwone flagi – wszystko to razem nasuwało skojarzenia insurekcyjne. Co więcej, pojawiły się plotki mówiące o tym, że w całym kraju wybuchło narodowe powstanie, a lokalna siedziba „bezpieki” jest jednym z ostatnich broniących się bastionów władzy komunistycznej.

Trudno się więc dziwić, że w miarę rozwoju wydarzeń narastała groźba rozprzestrzenienia się krwawych walk na inne rejony kraju. Mimo że w mieście ogłoszono obowiązującą od godziny 21.00 do 4.00 rano godzinę milicyjną, krwawe walki – choć mniej gwałtowne – trwały również następnego dnia. W ich wyniku zginęło w sumie kilkadziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych.

Okiem reżysera

Tyle historia! A jak ukazał ją w swoim rocznicowym (nakręconym na czterdziestolecie) filmie Filip Bajon? Przede wszystkim zdecydował się, że nakręci go nie w kolorach, lecz na taśmie czarno-białej, ponieważ – jak sam wyznał – tak we własnych wspomnieniach zapamiętał „ówczesną rzeczywistość”. Pokusił się też – na ile tylko było to możliwe – o rekonstrukcję przebiegu wydarzeń oraz „ożywienie” pewnych najbardziej znanych „klisz” z poznańskiego buntu: czołgi na ulicach, skrwawiony sztandar białe-czerwony, tłumy na ulicach w centrum miasta itd. W tym wypadku pozwolił sobie jednak na – moim zdaniem – zbędne uproszczenia i komasacje niektórych wątków i postaci.

Tak na przykład historycznym pierwowzorem jednego z przywódców robotniczego buntu na ekranie, Stanisława Kaczmarka, był naprawdę lider strajku w „ceglorzu” Stanisław Matyja. Natomiast filmowy syn Kaczmarka, Piotrek, jest postacią ewidentnie nawiązującą i wręcz wzorowaną na jednej z najmłodszych ofiar „czarnego czwartku”, trzynastoletnim harcerzu Romku Strzałkowskim, którego imię nosi dzisiaj jedna z poznańskich ulic. W rzeczywistości nie było jednak rodzinnych związków między tymi dwiema historycznymi postaciami. Warto przy okazji przypomnieć, że dokładne okoliczności śmierci Romana Strzałkowskiego pozostają nie do końca rozpoznane. Niemal na pewno jednak był on ofiarą „ubeckiej” zbrodni i dobrze, że taki właśnie trop wskazują twórcy filmu.

Autorskim pomysłem Filipa Bajona było także wprowadzenie wątku odstawionego na bocznicę poznańskiego dworca wagonu kolejowego, w którym zamkniętych przebywało pięciu profesorów, udających się na naukowe sympozjum do Szczecina. W drugoplanowe role wcielili się tutaj najwybitniejsi polscy aktorzy: Janusz Gajos, Władysław Kowalski, Jan Nowicki, Daniel Olbrychski i Jerzy Radziwiłowicz. Owi uczeni – wbrew własnej woli – byli biernymi obserwatorami rozgrywających się wokół wydarzeń. Między innymi przerażeni i wstrząśnięci przyglądali się przez wagonowe okna linczowi rozgrywającemu się na pobliskim peronie. O ile historykom nic nie wiadomo o takich zamkniętych w wagonie naukowcach, o tyle doskonale wiedzą, że zmasakrowanym przez tłum człowiekiem był kapral WUBP Zygmunt Izdebnny. Oskarżony przez zgromadzonych ludzi o zabicie kobiety i dziecka, przez dwie godziny ścigany był po mieście, aż wreszcie – schwytany na peronie Dworca Głównego – został zamordowany w niezwykle okrutny sposób (przypalanie twarzy papierosa-

mi, uderzenie głową o kamienie, kopanie, brutalne bicie). Znęcający się nad Izdebnym mężczyźni mieli wykrzykiwać, że „rozdepczą jak pluskwy wszystkich pracowników UB”.

Na jeszcze jedną rzecz warto zwrócić uwagę. Otóż przez pryzmat losów dwóch chłopców: Piotrka i Darka, którego ojciec (doskonała rola Grzegorza Wonsa) jest oficerem „bezpieki”, Filip Bajon znakomicie pokazał różnice w poziomie życia w stalinowskiej Polsce między uprzywilejowanymi funkcjonariuszami, zaopatrującymi się w podstawowe produkty w osławionych sklepach „za żółtymi frankami” i mieszkającymi w osobnych blokach strzeżonych przez wartowników, a robotnikami z najwyższym trudem wiążącymi koniec z końcem.

Poznań '56 to bardzo ważny i poruszający film. Ukazuje nie tylko sam protest społeczny, jego tło, przebieg i konsekwencje, ale mówi także sporo o istocie systemu komunistycznego i o tym, jak naprawdę wyglądało życie prostych ludzi w Polsce u schyłku okresu stalinowskiego. Jeżeli mówimy, że są książki, które powinny stanowić kanon obowiązkowych lektur kulturalnego i wykształconego Polaka, to na pewno powinien być też kanon takich filmów i bez wątpienia jednym z nich powinien zostać właśnie *Poznań '56*. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

► Kadr z filmu *Poznań '56*





MORS znaczy śmierć, polski pistolet maszynowy wz.39

Michał Mackiewicz

Miał szansę stać się dumą przemysłu zbrojeniowego II Rzeczypospolitej. Wybuch wojny uniemożliwił uruchomienie seryjnej produkcji i w rezultacie pierwszy polski pistolet maszynowy nie odegrał żadnej roli podczas wojny obronnej we wrześniu 1939 roku.

W roku 1918 w okopach I wojny światowej za-debiutował pierwszy w pełni udany pistolet maszynowy – niemiecki MP 18.I. Broń skonstruowana przez Hugona Schmeissera i produkowana w zakładach Teodora Bergmanna stanowiła odpowiedź na zapotrzebowanie wojska na broń lekką, szybkostrzelną i przeznaczoną do walki na bliskich odległościach.

Mimo że wojenny debiut był niezwykle krótki, a liczba użytych bojowo egzemplarzy (MP, *Maschinenpistole*) niewielka, to tę nową kategorię broni uznano za perspektywiczną i w dwudziestoleciu międzywojennym kilka krajów przystąpiło do opracowywania własnych wzorów. Należała do nich także Polska, której myśl konstrukcyjna i przemysł zbrojeniowy rozwijały się w latach trzydziestych nad wyraz prężnie.

Zalety peemów były u nas znane, wszak niewielką ich liczbę zakupiono dla Policji Państwowej (amerykańskie



Fot. ze zbiorów autora

► Jan Skrzypiński, polski inżynier, konstruktor broni strzeleckiej, w tym Morsa



Fot. ze zbiorów autora

► Mors wz.39

Thompsony wz.1921 i fińskie Suomi wz.1931), jednakże wojsko dosyć późno zainteresowało się tą bronią, dlatego też prace projektowe ruszyły dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych. Wnikliwie przebadano konstrukcje zagraniczne i ostatecznie zdecydowano, że wzorcem dla rodzimego projektu będzie niemiecki EMP, zbudowany przez Heinricha Vollmera w zakładach Erfurter Maschinenfabrik (ERMA).

Peem wykorzystywał odrzut zamka swobodnego i strzelał z zamka otwartego. Zasilanie odbywało się z pudełkowego magazynka dołączanego poziomo z lewej strony. Lufa znajdowała się w metalowej osłonie. Podobnie jak większość peemów z lat trzydziestych, EMP miał klasyczną karabinową kolbę i długie łożo; cechą szczególną był natomiast drewniany przedni chwyt typu pistoletowego. Z broni można było prowadzić ogień ciągły i pojedynczy; przełącznik w postaci dźwigniki znajdował się nad osłoną spustu. Zabezpieczeniem było jedynie wyfrezowane wycięcie w komorze zamkowej, na którym opierała się rączka zamkowa; potem dodano także dźwignikę blokującą zamek. Charakterystycznym i jednocześnie wielce nowatorskim szczegółem konstrukcyjnym broni Vollmera była teleskopowana osłona sprężyny powrotnej. Zapewniała to dobrą stabilizację sprężyny w trakcie pracy oraz chroniło ją przed zanieczysz-

czeniami. Rozwiązanie to zastosowano potem w najsłynniejszym niemieckim pistolecie maszynowym MP 38/40.

Polski zespół konstrukcyjny z warszawskiej Fabryki Karabinów, kierowany przez Piotra Wilniewczyca i Jana Skrzypińskiego (twórców Visa wz.35), ogólny układ broni oparł na EMP; zastosowano jednak pionową, a nie poziomą osadę magazynka, uznając takie położenie za wygodniejsze i praktyczniejsze. Dopracowywanie konstrukcji zajęło kilka lat (w sumie powstało kilka prototypów); przede wszystkim zmagano się ze zbyt dużą szybkostrzelnością broni oraz nie najlepszą celnością (duży rozrzut pocisków) – zwłaszcza przy strzelaniu seriami. Rozwiązaniem tych problemów okazało się osłabienie sprężyny powrotnej, zwiększenie masy zamka i wydłużenie jego drogi powrot-

nej (obniżenie szybkostrzelności) oraz zastosowanie dłuższej, masywniejszej lufy i zmodyfikowanie przyrządów celowniczych (zwiększenie celności). Pracowano także nad poprawieniem ergonomii. Ostatecznie latem 1939 roku wojsko odebrało wyprodukowaną w warszawskiej Fabryce Karabinów partię próbną peemów (36 sztuk), które skierowano do testów w jednostkach. Wybuch wojny przekreślił dalsze prace, jak również uruchomienie produkcji seryjnej.

Pistolet maszynowy MORS (z łac. śmierć) wz.39 jest bronią samoczynno-samopowtarzalną, przystosowaną zarówno do ognia ciągłego, jak i pojedynczego, przy czym nie ma klasycznego przełącznika rodzaju ognia, ale dwa języki spustowe – przedni do ognia serią, tylny – pojedynczego. Peem strzela z zamka otwartego i dzięki odrzutowi zamka swobodnego jest zasilany z magazynka pudełkowego dwudziestopięcionaboju (naboje 9 mm Parabellum), dołączanego prostopadle od dołu. Po ostatnim strzale zamek pozostaje w tylnym położeniu, następuje także zwolnienie zaczepu magazynka (miało to przyspieszać przeładunek broni). Jedynym zabezpieczeniem przed przypadkowym strzałem jest wycięcie w komorze, w które wchodzi rączka zamka (identycznie zastosowano we wczesnych MP 38/40).

W Morsie wz.39 zastosowano kilka udoskonaleń, które z dzisiejszej perspektywy są nieco problematyczne. W przednim chwycie znajdowała się teleskopowa podpórka, mająca w zamysle stabilizować broń przy strzelaniu



Fot. ze zbiorów autora

► Piotr Wilniewczyk, współtwórca Morsa



Fot. Muzeum Wojska Polskiego

serią, zapewniono szybką wymianę lufy w warunkach polowych (wiele wskazuje, że było to udogodnienie zupełnie zbędne), zastosowano także pneumatyczny opóźniacz (choć niezwykle pomysłowy, o iluzorycznej raczej wartości). Dużą, zauważalną na pierwszy rzut oka wadą Morsa wz.39 są gabaryty; co prawda inne peemy z lat trzydziestych także miały klasyczną drewnianą kolbę karabinową i łożo, ale nasz wz.39 jest bardzo długi – mierzy 97 cm! A pamiętać trzeba, że projektowano go m.in. z myślą o załogach pojazdów bojowych. Nie można wykluczyć, że po wnioskach z testów przeprowadzonych w jednostkach konstrukcja peemu uległaby dalszym zmianom. Niestety nie starczyło na to czasu.

Ocena Morsa wz.39 musi pozostać niepełna, albowiem nie jest znana żadna relacja dotycząca jego bojowego użycia we wrześniu 1939 roku, nie zachowały się także żadne archiwalne zdjęcia polskiego peemu. Niemniej broń ta wystawia znakomite świadectwo polskiemu przedwojennemu przemysłowi zbrojeniowemu; jakość jej wykonania wydaje się pierwszorzędna.

W Polsce jest tylko jeden zachowany MORS wz.39. Egzemplarz o numerze seryjnym 38, znajdujący się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie i będący jednym z najcenniejszych eksponatów placówki, został pozyskany w 1983 roku z moskiewskiego Muzeum Sił Zbrojnych ZSRR. Ma nieoryginalną lufę i magazynek. Dwa inne znane

Morsy wz.39 są w Rosji – jeden (o numerze 39) we wspomnianym muzeum moskiewskim, drugi (nr 19) w Muzeum Artylerii w Petersburgu. Nie są znane okoliczności, w jakich polskie peemy trafiły do ZSRR (odebrane jeńcom, zdobyte w walce w 1939 roku, a może zabrane z zajętych magazynów lub koszar?), ale bez wątpienia zostały one poddane wnikliwym testom w radzieckich biurach konstrukcyjnych. 🇷🇺

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Orły polskich lotników na tle narodowej symboliki Royal Air Force

Tomasz Zawistowski

Tysiące polskich lotników, pełniących w czasie II wojny światowej służbę w szeregach Royal Air Force, nosiło mundury brytyjskie. Znakiem wyróżniającym ich w szeregach alianckich był polski orzeł na czapkach i kilka innych elementów narodowych. Spróbujmy ocenić, jak wyglądała nasza symbolika na tle oznak własnych noszonych przez lotników innych narodowości.

Kłęska wrześnieńca zmusiła znaczną część Wojska Polskiego do opuszczenia kraju. Żołnierze, którzy nie trafili do niemieckiej lub sowieckiej niewoli i zamierzali dalej walczyć z Niemcami, dotarli – przez Węgry, Rumunię i państwa bałtyckie – przede wszystkim do Francji, gdzie na podstawie umów zawartych we wrześniu 1939 roku zamierzano odtworzyć polską armię. Wytyczne dotyczące ewakuacji nakazywały żołnierzom pozbycie się broni, dokumentów, elementów umundurowania i wyposażenia, ponieważ mogłyby one zdradzić ich wojskową tożsamość. W licznych wspomnieniach „turystów Sikorskiego” – jak złośliwie określała ich hitlerowska propaganda – można znaleźć zapiski świadczące o tym, jak przykrym doświadczeniem było dla żołnierzy pozbywanie się orłów, odznak pułkowych, lotniczych gap i kordzików. Nie wszyscy jednak zastosowali się do otrzymanych poleceń i dzięki temu później dowództwo odradzających się polskich sił zbrojnych dyspo-

▶ Haftowany orzeł lotniczy wykonany i noszony w Wielkiej Brytanii. Ten egzemplarz jest pamiątką po mjr. Mieczysławie Pruszyńskim, nawigatorze z 305. Dywizjonu Bombowego

nowało oryginalnymi wzorcami tych oznak i odznak, które posłużyły do produkcji nowych.

Odtwarzanie polskiego lotnictwa

Zadaniem priorytetowym stało się wykorzystanie wysoko wykwalifikowanego personelu lotniczego (zarówno latającego, jak i naziemnego), mogącego stosunkowo szybko rozpocząć walkę z wrogiem. Podczas brytyjsko-francu-

sko-polskiej konferencji, która odbyła się 25 października 1939 roku w Paryżu, zdecydowano, że odtwarzanie polskiego lotnictwa będzie przebiegać równolegle we Francji i w Wielkiej Brytanii. Do końca 1939 roku do Francji przybyło ponad 8 tys. polskich lotników, gdzie też większość z nich miała pozostać.

Od początku grudnia 1939 roku do końca stycznia 1940 roku przetransportowano do Wielkiej Brytanii 2300 polskich lotników i wcielono ich ▶



Fot. ze zbiorów autora

do Royal Air Force Volunteer Reserve (RAFVR). Lotnicy ci otrzymali sorty mundurowe produkcji brytyjskiej z monogramami kołnierzowymi „VR”, a narodowymi elementami wyróżniającymi były: haftowane naszywki „POLAND” na ramionach bluz i płaszczy, orły haftowane noszone przez oficerów na czapkach i na lewych górnych kieszeniach bluz poniżej guzika oraz orły metalowe na czapkach podoficerów i szeregowych.

Dość szybko, bo już 22 czerwca 1940 roku, Francja skapitulowała i do Wielkiej Brytanii trafiło jeszcze sześć tysięcy polskich lotników. Kilkumiesięczne negocjacje doprowadziły w sierpniu do zawarcia porozumienia między rządami polskim i brytyjskim, w myśl którego Polskie Siły Powietrzne stały się częścią Royal Air Force. Polscy lotnicy, niezależnie od tego, czy pełnili służbę w RAF-ie w jednostkach polskich, czy indywidualnie w dywizjonach brytyjskich, mieli podlegać dyscyplinie i rozkazodawstwu brytyjskiemu. Polaków obowiązywało noszenie munduru Kró-

► Sierżant Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii; wyraźnie widoczne są: orzeł na czapce, odznaka pilota, naszywki „POLAND” i guziki z orłami, a także polskie oznaki stopnia sierżanta na kołnierzu i brytyjskie – na rękawie



Fot. Archiwum IMPS

► Porucznik pilot inż. Jerzy Solak w RAFVR w roku 1940; orzeł haftowany bajorkiem jest przyszyty na kieszeni munduru, a na rękawie widać naszywkę „POLAND”



Fot. Archiwum IMPS

lewskich Sił Powietrznych, a decyzji polskiego dowództwa pozostawiono jedynie wybór oznak narodowych.

Do powyższych ustaleń odnosił się rozkaz Naczelnego Wodza i ministra spraw wojskowych wydany 7 września 1940 roku. Na czapkach oficerskich miał być noszony „orzeł dotychczasowych wymiarów i dotychczasowego wzoru, z tym że skrzydła husarskie otaczające orła i ryngraf, na którym spoczywa orzeł, [mają być] haftowane złotem, orzeł haftowany srebrem”. Na czapki szeregowych przewidziany był „orzeł lotniczy według wzoru noszonego dotychczas przez szeregowych Polskich Jednostek przy R.A.F.V.R.” Z kolei na furażerki wzoru brytyjskiego trafił „zamiast odznaki noszonej przez R.A.F. orzełek metalowy, przepisowy jak w wojskach lądowych”. Ponadto potwierdzono obowiązek noszenia napisów „POLAND” na obu ramionach, ale dodano prawo noszenia złotych guzików z orłem i oznak polskich stopni wojskowych na patkach

kołnierza, jak również przyjęto minimalne zmiany wyglądu brytyjskich oznak stopni chorążych i starszych sierżantów. Wprowadzenie koloru złotego było spowodowane zamiarem dostosowania polskich oznak do wyglądu mundurów brytyjskich, na których miały być noszone.

Polskie oznaki a symbolika mundurowa Sprzymierzonych

W czasie wojny służbę w szeregach RAF-u pełnili lotnicy kilkudziesięciu narodowości pochodzący z dominiów brytyjskich oraz żołnierze z krajów sojusznicznych: Amerykanie, Belgowie, Grecy, Czesi, Duńczycy, Francuzi, Holendrzy, Irlandczycy, Norwegowie i Polacy. Podstawową metodą oznaczania narodowości żołnierza były naszywki z nazwą kraju noszone na obu ramionach. Wszystkie grupy narodowościowe – oprócz Amerykanów i Francuzów – przyjęły do użytku mundur brytyjski.

Umieszczenie na mundurach brytyjskich jakiegokolwiek obcego emblematu było możliwe tylko za wcześniejszą zgodą War Office. Na przykład lotnicy duńscy otrzymali prawo nosze-

nia naszywek naramiennych dopiero w sierpniu 1944 roku. Oznaki narodowe na nakryciach głowy mieli prawo nosić Grecy, Holendrzy i Norwegowie. Ci ostatni – podobnie jak Polacy – nosili też własne oznaki stopni wojskowych, w odróżnieniu od oznak stopni brytyjskich umieszczanych na kołnierzach. Czesi, Belgowie i Holendrzy mieli z kolei prawo używania własnych oznak specjalności.

Mundury polskich lotników ozdabiała największa liczba elementów o charakterze narodowym. Były to, oprócz naszywek „POLAND”, orły na czapkach i (początkowo) na mundurach, oznaki stopni na kołnierzach, oznaki specjalności, odznaki pamiątkowe oraz guziki z godłem państwowym. Ponadto, rzecz jasna, było dozwolone noszenie na mundurach polskich odznaczeń.

Alianckie pamiątki

Nie da się ukryć, że wszystkie polskie emblematy narodowe stanowiły dla Brytyjczyków tak wojskowych, jak i cywilnych, a także dla żołnierzy innych narodowości element bardzo egzotyczny. Były przez to poszukiwanymi i ce-

nionymi pamiątkami, a jako takie zmieniały właściciela za jego zgodą z lekka wymuszoną lub też zgola bez niej. Mieczysław Galicki, pilot 318. Dywizjonu, wspomina: „Do kraju wróciłem z guzikami angielskimi, francuskimi, belgijskimi, norweskimi itp., nie pozostawiając sobie na pamiątkę ani jednego polskiego guzika; nawet te u rękawów i przy naramiennikach wyblagano. Jak można było odmówić, pomijając Francuzów czy Anglików, takiemu Norwegowi, Belgowi czy Duńczykowi albo Kanadyjczykowi, Australijczykowi, Nowozelandczykowi czy Południowoafrykańczykowi. Haftowane polskie emblematy noszone na czapkach z orłem i skrzydłami husarskimi ginęły nam jak kamfora w niepilnowanych szatniach. Przecież to zrozumiałe, że wielu Anglików chciało mieć coś na pamiątkę od tych ludzi, co tu przybyli i bohaterko walczyli”.

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Autor we współpracy z Pawłem Tulińskim przygotowuje kolejny tom monografii polskiego orła *Polskie lotnicze orły do czapek 1918–1945*

► Emblematy noszone przez polskich lotników na brytyjskich mundurach

Fot. Paweł Tuliński



Z Pruszkowa do Moskwy przez Włochy

Tomasz Stańczyk

Sześćdziesiąt siedem lat temu, w czerwcu 1945 roku, szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego stanęło przed sądem w Moskwie. Ich droga do więzienia na Łubiance rozpoczęła się w podwarszawskim Pruszkowie.

W czasie procesu Zbigniew Stypułkowski, jeden z oskarżonych, mówił o zaproszeniu na rozmowy w Pruszkowie otrzymanym od płk. Pimienowa, działającego z ramienia gen. Iwanowa. Sędzia, gen. płk Ulrich, zapytał: „Czy zdaniem pana tacy oficerowie istnieją w armii sowieckiej?”. I nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: „Uległ pan po prostu trikowi NKWD”.

Kilka miesięcy wcześniej, w lutym 1945 roku w Jałcie, przywódcy Związku Sowieckiego, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zdecydowali, że Polsce zostaną odebrane jej ziemie wschodnie, nowy polski rząd zaś będzie się składał z sowieckich protegowanych, tworzących tak zwany Rząd Tymczasowy, z włączeniem „przywódców demokratycznych” przebywających w Polsce i na emigracji. Oznaczało to odmówienie prawa powrotu z Londynu do Warszawy legalnemu rządowi polskiemu.

Rząd na uchodźstwie nie uznał postanowień jałtańskich, likwidujących w istocie suwerenność Polski i pozbawiających jej prawie połowy przedwojennego terytorium. Natomiast istniejąca w kraju Rada Jedności Narodowej (RJN) – złożona z przedstawicieli polskich niepodległościowych stronnictw politycznych – postanowiła, protestując, pogodzić się z dyktatem jałtańskim. Spodziewano się, że dzięki temu stanowisku uda się może coś wywalczyć podczas rozmów z Sowietami.

Na taki grunt padła na początku marca 1945 roku propozycja spotkania zawarta w liście pułkownika gwardii Pimienowa do gen. Leopolda Okulickiego, do niedawna dowódcy AK, oraz do Jana Stanisława Jankowskiego, Delegata Rządu na Kraj i wicepremiera. Pimienow obiecywał spotkanie

► Szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego; w pierwszym rządzie (pionowo): Kazimierz Bagiński, Adam Bień, Józef Chaciński, Eugeniusz Czarnowski, Stanisław Jasiukowicz, Jan Stanisław Jankowski. W drugim rządzie: Kazimierz Kobylański, Józef Stemler, Zbigniew Stypułkowski, Franciszek Urbański, Aleksander Zwierzyński. W trzecim rządzie: Stanisław Michałowski, Stanisław Mierzwa, Leopold Okulicki, Antoni Pajdak, Kazimierz Pużak

z gen. Iwanowem, przedstawicielem Frontu Białoruskiego. W istocie obaj byli enkawudzistami. Pimienow to naczelnik radomskiej grupy operacyjnej NKWD. Pod nazwiskiem Iwanow ukrywał się zaś generał NKWD Iwan Sierow, kierujący „kombinacją”, mającą na celu zwabienie w pułapkę i uwięzienie członków kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego.

Rozmowy miały dotyczyć kwestii zapewnienia spokoju na tyłach Armii Czerwonej. Mimo deklaracji bezpieczeństwa, popartej przez Pimienowa oficjerskim słowem honoru, gen. Leopold Okulicki – który był już więziony przez NKWD w 1941 roku – uważał, że jest to pułapka. Miał jak najgorsze przeczucia. Jak wspominał później Adam Bień, jeden z „szesnastu”, generał obawiał się, że tym razem go nie wypuszczą. I nie chciał spotykać się z Pimienowem. „Byłem wśród tych, którzy go przekonywali [do spotkania – T.S.], i żyję teraz ciągle z bolesnym poczuciem krzywdy, którą mu wyrządziłem” – wyznał Bień.

Zgubne naciski

Jan Stanisław Jankowski wywarł jednak skuteczny nacisk na Okulickiego. Nastawał na podjęcie rozmów, do których, jak uważał, powinni przystąpić czołowi działacze z partii politycznych tworzących RJN – Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy i Zjednoczenia Demokratycznego. Zwolennikiem rozmów był szef ludowców, Stanisław Mikołajczyk. Również emigracyjny rząd Rzeczypospolitej nie zgłaszał sprzeciwu.

Generał Okulicki i piętnastu polityków, w tym członkowie Krajowej Rady Ministrów, znajdowali się pod ogromną presją, ponieważ Sowieci, choć nie uznawali polskiego rządu, chcieli mimo to rozmawiać z wicepremierem tego rządu i delegatami stronnictw politycznych. Polacy obawiali się, że odrzucenie propozycji rozmów oznaczać będzie narażenie

Wyroki w procesie szesnastu

Proces szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego rozpoczął się w Moskwie przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego Związku Sowieckiego 18 czerwca 1945 roku. Zaledwie trzy dni później ogłoszono wyroki. Ostatni dowódca Armii Krajowej gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” został skazany na dziesięć lat więzienia, Jan Stanisław Jankowski – na osiem lat, Adam Bień i Stanisław Jasiukowicz – po pięć lat, Kazimierz Pużak – osiemnaście miesięcy, Kazimierz Bagiński – rok, Aleksander Zwierzyński – osiem miesięcy, Eugeniusz Czarnowski – sześć miesięcy, Józef Chaciński, Stanisław Mierzwa, Zbigniew Stypułkowski, Franciszek Urbański – po cztery miesiące. Uniewinniono Kazimierza Kobylańskiego, Stanisława Michałowskiego i Józefa Stemlera-Dąbskiego. Antoni Pajdak został skazany w innym procesie na pięć lat więzienia. Generał Okulicki zmarł 24 grudnia 1946 roku w moskiewskim więzieniu na Łubiance, Stanisław Jasiukowicz zmarł w szpitalu więziennym 22 października 1946 roku. Jan Stanisław Jankowski zmarł w więzieniu 13 marca 1953 roku. Nie ma pewności, czy umarli śmiercią naturalną, czy zostali zamordowani.



► W tej pruszkowskiej willi przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego spotykali się z płk. Pimienowem

się na posądzenie, iż Polskie Państwo Podziemne jest winne dywersji przeciw Armii Czerwonej na zapleczu frontu. Odmowa oznaczała także utracenie szansy na legalizację partii politycznych, na którą współdziałał w tworzeniu nowego rządu, uznawanego nie tylko przez Moskwę, ale i przez Zachód. Oprócz Leopolda Okulickiego najbardziej sceptycznie nastawiony do rozmów był socjalista Kazimierz Pużak, lecz również on uważał, że trzeba „ratować, co się da”.

Jak wspominał Zbigniew Stypułkowski, rząd polski w Londynie przekazał informację, że władze USA i Wielkiej Brytanii zachęcają do podjęcia rozmów. „Może nie będzie drugiej tak wspaniałej okazji do porozumienia się z wielkim Stalinem, który zapewnia nas, że chce Polski wielkiej, potężnej i niepodległej – takie oto były echa z Zachodu na pierwszą wieść o liście pułkownika Pimienowa” – pisał Stypułkowski. Według niego, właśnie to zdecydowało o podjęciu rozmów. Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego liczyli na opiekę zachodnich aliantów. Zaproszenie sowieckiego pułkownika zostało przyjęte.

Śniadania z Pimienowem

Spotkania odbywały się w siedzibie Pimienowa w Pruszkowie, w domu przy ul. Pęcickiej 3 (dziś: Armii Krajowej). „Leżąca na skraju miasta willa została idealnie wybrana dla przeprowadzenia zaplanowanej operacji aresztowania przywódców polskiego państwa podziemnego. Wybudowana kilka lat przed wojną przez Szulcową, właścicielkę dużego zakładu krawieckiego [...] była otoczona wysokim na dwa metry murem z cegły, uniemożliwiającym obserwację z ulicy tego, co działo się na podwórku i w przyległym ogrodzie” — pisał Henryk Krzyżkowski, mieszkaniec Pruszkowa i żołnierz AK.

Pierwsza rozmowa – Jana Stanisława Jankowskiego z Pimienowem – odbyła się 17 marca 1945 roku. Delegacja ludowców pojechała do Pruszkowa 18 marca. „Mijamy miasto, ►



Fot. P. Życieński

➤ W tym domu we Włochach byli przetrzymywani przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego przed wywiezieniem do Moskwy

przecinamy tory kolejki EKD i stajemy przed domem z czerwonej cegły na jakimś pustym uboczu. Serce bije nieco szybciej niż trzeba, ale najważniejszym uczuciem jest ciekawość” – wspominał Adam Bień. W następnych dniach z pułkownikiem spotykali się ministrowie i przedstawiciele partii. Pimienow podejmował gości śniadaniem.

Rozmawiano o zapewnieniu porządku na tyłach Armii Czerwonej i o tym, na jakich warunkach partie polityczne będą mogły wyjść z konspiracji. Pimienow krytycznie ocenił prosowiecki „rząd lubelski”, który – jak mówił – nie posiadał posłuchu w społeczeństwie i nie potrafił zapanować nad sytuacją. „W ogóle cała ta impreza z tym Komitetem jest nieudana” – twierdził. Mówił też, że po pozytywnym załatwieniu spraw związanych z zapleczem Armii Czerwonej rozmowy mogą rozszerzyć się na inne tematy, jak kwestie granic i formowania rządu. Poruszano sprawę ewentualnego wyjazdu Polaków na konsultacje do Londynu. W ten właśnie sposób Pimienow wciągał Polaków w pułapkę.

Kazimierz Bagiński podczas posiedzenia Rady Jedności Narodowej, które odbyło się 25 marca, odczytał kartkę z ostrzeżeniem: „Nie idźcie na spotkanie. Szczegóły później”. Nigdy nie ujawnił, od kogo dostał tę kartkę. Zebrani nie zlekceważyli informacji, ale uznali, że może być ona prowokacją obliczoną na storpedowanie rozmów, z którymi wiązano wielkie nadzieje.

W sowieckiej pułapce

Dwa dni później do willi w Pruszkowie pojechali: Jan Stanisław Jankowski, Kazimierz Pużak i Leopold Okulicki. Generał powiedział: „Czuję, że źle robię”. Jak pisał we wspomnieniach Kazimierz Pużak, Pimienow przyjął ich z wyszukaną grzecznością, zapowiadając rozmowy z gen. Iwanowem, a nawet marsz. Georgijem Żukowem. Poczęstował ich obiadem. Była zupa z pierożkami, mięso, słodczyce, owoce, wino, wódka. Po obiedzie Kazimierz Pużak i Jan Stanisław Jankowski zostali oddzieleni od Leopolda Okulickiego i przewiezieni do domu we Włochach, gdzie nocowali. Następnego dnia poinformowano ich, że mają lecieć do Moskwy, gdzie będą prowadzili rozmowy „z kim należy”.

Pozostali uczestnicy rozmów, chociaż wiedzieli, że trzech z nich nie wróciło, postanowili pojechać następnego dnia do Pruszkowa. W południe stanęli przed willą Pimienowa. Wydelegowali socjalistę Antoniego Pajdaka, który zastał w willi Józefa Stemlera-Dąbskiego, sekretarza polskiej delegacji. Dowiedział się od niego, że od wczoraj nie widział Jana Stanisława Jankowskiego, Kazimierza Pużaka i gen. Leopolda Okulickiego. Antoni Pajdak doszedł do wniosku, że zostali oni aresztowani. Chciał ostrzec pozostałych, ale wyszedł do nich Józef Stemler-Dąbski i zaprosił ich do środka. „Przed ganek polskiego dworku wyległo na przy-

witanie kilkudziesięciu oficerów wyższych szarż. Oglądali nas z żywym zaciekawieniem, ściskając z uszanowaniem dłonie” – wspominał Zbigniew Stypułkowski.

Polacy zostali poinformowani, że pojadą na śniadanie do wygodniejszego lokalu, a potem na rozmowy z gen. Iwanowem lub marsz. Georgijem Żukowem. Samochody zatrzymały się przed domem we Włochach, otoczonym drutem kolczastym. Kazimierz Bagiński skojarzył ten dom z opowieścią o ucieczce z piwnic NKWD we Włochach Miecysława Jakubowskiego, członka Rady Jedności Narodowej.

Major NKWD poinformował ich, że Jan Stanisław Jankowski, gen. Leopold Okulicki i Kazimierz Pużak właśnie wylądowali na lotnisku w Moskwie. „Żyjemy na pograniczu jakiejś cudacznie uprzejmej gościny i zawołowanego kryminału” – wspominał Adam Bień. Noc spędzili w fotelach. Następnego dnia zostali przewiezieni na lotnisko. Już w powietrzu zauważyli, że samolot nie leci na zachód. Major zawiadomił ich, że lecą do Moskwy, a nie na spotkanie z Żukowem. Uprzejmie, ale szydlerczo zapytał: „Czy w drogę tak daleką zabraliście panowie garść ziemi ojczystej?”

Tomasz Stańczyk – dziennikarz zajmujący się tematyką historyczną, głównie dziejami Polski w XX wieku



Uczniowie piszą historię

Katarzyna Florczyk
Marta Szczesiak-Ślusarek

„Bo z czegoż się składa historia narodu – jeżeli nie z drobnych rysów i pojedynczych życiorysów przodków naszych?”

Stanisław Sokolnicki, *Opis budowy dworu w Pigłowicach*, 1865 r.

Uczestnicy szkolnego konkursu odkrywali i opisywali zapomniane dwory ziemiańskie. Przy okazji poznali bogatą, często skomplikowaną historię ich właścicieli.

Niedaleko Poznania znajduje się niewielki pałac w Bolechowie. Piętrowy, eklektyczny budynek z elementami klasycystycznymi czasy swojej świetności ma dawno za sobą, podobnie jak otaczające go zabudowania gospodarcze, stopniowo popadające w ruinę. Zarośnięty i zaniedbany park dawno już stracił swój malowniczy charakter.

Losy Szuldrzyńskich, właścicieli Bolechowa, podobnie jak dzieje wielu polskich ziemian, były ściśle związane z najważniejszymi momentami naszej historii. Ostatni właściciel, Tadeusz Szuldrzyński, został osadzony w obozie w Starobielsku i zamordowany przez NKWD w Charkowie. Losy majątku przypieczętował dekret o reformie rolnej w 1944 r., który bezpowrotnie pozbawił Szuldrzyńskich ziemi i pałacu.

Zrujnowany dwór w Bolechowie i losy jego właścicieli stały się inspiracją dla konkursu „Wielkopolskie dwory i ich mieszkańcy”, przeznaczonego dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Konkurs został zorganizowany przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Poznaniu, Polskie Towarzystwo Ziemiańskie – Oddział Wielkopolska oraz Fundację im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu. Z regionu Wielkopolski zgłosiło się niemal trzystu chętnych. Pomysłodawcy zaproponowali zajęcia fakultatywne i wykłady w pałacach-muzeach. W marcu i kwietniu od-

były się również spotkania z rodzinami ziemiańskimi, które miały ułatwić uczniom ze szkół ogólnokształcących i zawodowych przygotowanie prac plastycznych, multimedialnych (w formie prezentacji, wywiadu czy filmu) lub pisemnych. Uczniowie mogli wypowiedzieć się na temat architektury dworów, przyczyn ich dewastacji oraz dawnych ich słynnych właścicieli. Z czterdziestu wielkopolskich szkół wpłynęły 84 prace (plastycznych – 52, multimedialnych – 7, pisemnych – 25).

Wytypowanie kandydatów do nagród było dla jury nie lada wyzwaniem. Prace, które zajęły trzy pierwsze miejsca (w każdej kategorii), zostały docenione ze względu na wysoki po-



Fot. AIPN

► Obrady komisji konkursowej

ziom zaprezentowanej wiedzy, oryginalność ujęcia oraz zdolność autorów do wyciągania samodzielnych wniosków. Jury doceniło także ich wysiłek włożony w poszukiwania trudno dostępnych i nieznanymi dokumentów oraz materiałów historycznych. Różnorodność źródeł, do których dotarli uczestnicy konkursu podczas zbierania materiałów, była wyjątkowo duża. ►



Fot. AIPN

► Wręczenie nagród laureatom konkursu, Koszuty 25 maja 2012



Fot. AIPN

► I miejsce: Joanna Michałowska, Gimnazjum nr 3 w Szamotulach

Uczniowie wykorzystali opracowania rodzinne, kroniki, zebrali liczne relacje od spadkobierców rodzinnych majątków oraz od osób niegdyś pracujących w dworach. Przeprowadzili też sondy uliczne i ankiety, dotarli do urzędników miejskich i gminnych oraz do konserwatorów zabytków. Niektórzy z nich odkryli fakty nieznane nawet rodzinom ziemiańskim. Na przykład Stanisław Modlibowski, siostrzeniec słynnej lotniczki Wandy Modlibowskiej, przyznał, że Bartosz Kaźmier-

czak i Piotr Maćkowski, uczniowie Gimnazjum nr 1 w Gostyniu, dotarli do informacji dla niego samego nowych.

Zaskakująca okazała się inwencja uczniów w sytuacji, gdy dostęp do materiałów archiwalnych był niemożliwy. Przykładem może być wyróżnione opowiadanie Kariny Starosty z Gimnazjum w Dębach Szlacheckich. Powstało ono w oparciu o szczątkowe informacje o tamtejszym dworze, a narrator wcielił się w rolę młodszej mieszkanki dworu: „Nadszedł rok

1939. Sytuacja w Rzeszy napięta. Rodzice wydali decyzję, będziemy musieli uciekać. Pamiętam, jak pakowałam z mamą serwis. Rozsyłaliśmy nasze rzeczy po rodzinie [...]. Dojeżdżam na miejsce. Zaniedbany park, pomazany mur, zniszczony budynek”. Podobnie postąpiły Daria i Sandra Łęckie z Gimnazjum nr 7 w Koninie, które opisały początek znajomości Józefa Chełkowskiego i jego późniejszej żony Marii z Donimirskich w Śmiełowie.

Dla wielu uczniów udział w konkursie był przygodą, która dała im satysfakcję i poczucie, że odkrywają nieznane dotąd tajemnice. Ze zdumieniem porównywali stare zdjęcia bogatych wnętrz pałaców i ich wyposażenia ze stanem obecnym. Tak opisała dwór w Kruchowie Roksana Król z ZS w Trzemesznie, laureatka trzeciej nagrody: „Dziś już nie ma śladów świetności dworu. Przed 1939 r. otaczały go drzewa, krzewy, donice z kwiatami, arkadowy podjazd zdobiły pnącza [...]. Coraz mniej jest ludzi pamiętających czasy świetności dworu [...]. Ściany zewnętrzne zawilgocone, z dużymi ubytkami tynku [...]. Spod ubytków tynku widoczna zlasowana cegła”.

Burzliwe losy rodu Kurnatowskich przedstawiły Monika Kaczmarek i Katarzyna Apanasewicz z Gimnazjum nr 1 w Gostyniu, przypominając, że Jan Kurnatowski, ostatni właściciel majątku w Dusinie, mimo powojennych prześladowań przez komunistów, nie wyjechał z kraju, o który walczył podczas wojny.

Dla uczestników konkursu realizacja wybranych przez nich tematów stała się okazją do odkrycia, poznania i opisania zapomnianych dworów ziemiańskich, a przede wszystkim do zrozumienia bogatej, często skomplikowanej przeszłości ludzi z nimi związanych. Dostrzegli wagę dziedzictwa kulturowego, które ich otacza. Mówią o tym chociażby słowa z opracowania Michała Kowalskiego i Maksymiliana Frąckowiaka ze Społecznego Gimnazjum nr 1 w Poznaniu: „Historię tworzą nie majątki czy nawet najwspanialsze budowle, lecz ludzie,



Fot. AIPN

► II miejsce: Magdalena Tylkowska, ZS nr 1 w Swarzędzu

którzy je stworzyli, w nich mieszkali lub pracowali. Którzy po wypełnieniu dzieła swojego życia odeszli, a tym, co po nich pozostało, jest przede wszystkim magia miejsca przesiąkniętego atmosferą patriotyzmu, szacunku dla pracy ludzkiej i miłości do swojego miejsca na ziemi”. Dla Martyny Andrzejewskiej i Kingi Janiak z ZS nr 1 w Swarzędzu poszukiwanie informacji o Augustcie Cieszkowskim i jego dworze w Wierzenicy stało się impulsem do takich oto przemyśleń: „Dwór wierzenicki jest przykładem tego, jak ludzie nie doceniają osób i miejsc, które odegrały ważną rolę w kształtowaniu myśli i rozwijaniu wszelkich pierwiastków narodowych wśród ówczesnego społeczeństwa polskiego. [...] Współczesność daje wystarczające możliwości, aby to zmienić. [...] Mamy więc nadzieję, że temat naszej pracy oraz wszystko, co w niej zawarłyśmy, wpłynie na myśli i ambicje innych – że chociaż jedna z tych osób, które przeczytają o Augustcie Cieszkowskim i jego dworze w Wierzenicy, zmieni swoje poglądy i zechce bliżej poznać historię ziemiaństwa, w tym wspomnianego przez nas filozofa”.

Ciekawe okazały się prace multimedialne i filmowe. Warto wspomnieć o filmie będącym impresją obrazu i dźwięku na temat zrujnowanego dworu w Osieku. Innym interesującym pomysłem była praca, w stylu reportażu dziennikarskiego, w której mieszkańcy wsi opowiadali anegdoty o miłosnych podbojach wieszczki Adama Mickiewicza podczas jego pobytu w dworze w Konarzewie. Prace multimedialne były perfekcyjnie dopracowane, zawierały zsynchronizowane obrazy, podkład muzyczny, fragmenty wywiadów i komentarz narratora. Poza wiedzą historyczną autorzy wykazali się w tej kategorii znajomością wielu nowinek technicznych.

Uroczyste podsumowanie konkursu, w którym uczestniczyli wszyscy laureaci wraz z opiekunami prac, odbyło się 25 maja we dworze w Koszutach, gdzie obecnie mieści się Muzeum Ziemi Średzkiej. Miejsce finału kore-



Fot. AIPN

► I miejsce: Natalia Magnus i Marta Pietrzyk, Technikum Logistyczne w Rawiczu

spondowało z tematyką konkursu. W zrekonstruowanych wnętrzach majątku ziemiańskiego zwycięzcy zaprezentowali swoje prace.

Nagrodą dla uczniów, którzy zajęli pierwsze miejsce w konkursie, był weekendowy pobyt w pałacu w Jaskowie lub Brodnicy. Poza nagrodami rzeczowymi, które otrzymali wszyscy wyróżnieni uczestnicy konkursu, zdobywcy drugiego miejsca odwiedzili pa-

łac w Śmiełowie oraz odrestaurowany dwór w Brzostkowie. Z prac plastycznych przygotowano wystawę, którą zaprezentowano podczas finału konkursu w jednym z zabytkowych pomieszczeń dworu w Koszutach, a później w Bibliotece Miejskiej w Środzie Wielkopolskiej. 🍷

Katarzyna Florczyk i Marta Szczesiak-Ślusarek
– pracownice Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Poznaniu



Fot. AIPN

► Wyróżnienie: Amadea Noemi Łakatosz, Delfin Zefiryn Łakatosz, Szkoła Muzyczna I stopnia Mikosza Deki Czureji w Poznaniu

Cykl: Historia na planszy

Powstanie Warszawskie w wersji soft

Wydana przez Egmont w 2009 roku gra *Mali Powstańcy* została dwa lata później rozszerzona o dodatek *Liberator*.

Przy tej rodzinnej grze planszowej autorstwa Filipa Miłuńskiego może zasiąść od dwóch do czterech osób. Przez trzydzieści minut (w wariantcie uproszczonym) bądź przez godzinę (w wariantcie rozszerzonym) jej uczestnicy wcielają się w role harcerzy przenoszących rozkazy i pocztę cywilną w czasie Powstania Warszawskiego.

W dużym pudełku znajdziemy efektowną planszę z mapą lewobrzeżnej Warszawy, na której są zaznaczone charakterystyczne obiekty takie jak budynek PAST-y czy pałacyk Michła. Oprócz tego w podstawowej wersji gry mamy tekturowe pionki harcerzy, ponad osiemdziesiąt kart, kilkanaście żetonów oraz kostkę i znacznik niemieckiego żołnierza, używane tylko w wariantcie dla dzieci. W pudełku znajdziemy też instrukcję, skrót zasad oraz dodatek edukacyjny z artykułem na temat harcerskiej poczty polowej. Niestety, w dodatku *Liberator* – na który składa się kolejnych kilkadziesiąt żetonów, trochę kart, małe plansze przedstawiające plecaki harcerzy i metalowa figurka bombowca – nie znajdziemy żadnych informacji o znaczeniu zrzutów dla powstańców, które uzasadniałyby taki, a nie inny tytuł gry.

Rozgrywka koncentruje się wokół zaznaczonych na planszy pól wyznaczających możliwe trasy poruszania się po Warszawie. Każdy z graczy dowodzi zastępem trzech harcerzy, którzy – poruszając się po tych kilkadziesiąciu polach – odbierają rozkazy z punktu A i dostarczają je do punktu B



(np. z Cytadeli na Starówkę). Ponieważ poruszaniem się po planszy rządzą trzymane przez graczy talie kart ruchu, istota gry sprowadza się do optymalnego przemieszczania swoich harcerzy po planszy. Rozkazy trzeba jednak dostarczać na czas wyznaczany przez karty przesuwające się po torze rozkazów. Niedostarczenie meldunku może doprowadzić do zajęcia przez Niemców poszczególnych ulic, co w konsekwencji może spowodować porażkę wszystkich graczy. Właśnie dlatego przy planowaniu swoich ruchów gracze muszą odpowiednio wyważyć proporcje pomiędzy rywalizacją a współpracą. Jest to więc element quasi-kooperacyjny.

W wersji z *Liberatorem* dokładamy na planszy żetony zasobników oraz listów cywilnych, których podnoszenie nie jest obowiązkowe, ale może znacząco pomóc w wykonywaniu kolejnych ruchów bądź też przynieść dodatkowe punkty na koniec gry. W *Małych Powstańcach* gracze podejmują bardzo wiele decyzji, a wygrywa ten, kto podejmie najwięcej trafnych. Czynniki losowe występują głównie w wariantcie uproszczonym, w wariantcie dla młodzieży i dorosłych kostki nie używa się wcale, a losowość jest bardzo ograniczona.

Mali Powstańcy z dodatkiem *Liberator* są grą bardzo dobrze zaprojektowaną. Dwa warianty sprawiają, że może ona dać dużo satysfakcji zarówno dzieciom – co zostało docenione przyznaniem nagrody „Świat Przyjazny Dziecku” – jak i szukającym intelektualnej rozrywki dorosłym. Czy jednak można ją uznać za grę edukacyjną? Gra porusza wprawdzie temat powstania, ale jak w większości gier „europejskich” wysiłek projektanta położony jest przede wszystkim na opracowanie jak najdoskonalszego matematycznego modelu rozgrywki. Właśnie dzięki temu gra przyciąga na długo i choć sama w sobie nie przekazuje zbyt wiele wiedzy, to jednak może sprawić, że ktoś zainteresuje się harcerską pocztą polową i zechce sam sięgnąć do opracowań na ten temat albo odwiedzi Muzeum Powstania Warszawskiego. Gra może więc z powodzeniem pełnić funkcję preedukacyjną, czyli przygotowującą do klasycznego zdobywania wiedzy. Może być wykorzystywana w szkołach czy podczas harcerskich zbiórek jako wprowadzenie do zajęć na temat Powstania Warszawskiego.

Warto zaznaczyć, że jest to pierwsza gra planszowa wydana przy współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego, która odniosła sukces komercyjny. Na przedsięwzięciu skorzystali zarówno twórcy, jak i muzeum, które zyskało nie tylko efektowny gadżet w sklepiku, ale przede wszystkim sojusznika w promowaniu swojej misji w Polsce i poza jej granicami, gdyż gra była prezentowana na największych na świecie targach gier planszowych w niemieckim Essen. Sukces *Małych Powstańców* poprzedził popularność gier wydanych przez Instytut Pamięci Narodowej i stał się inspiracją dla innych muzealników do promowania swoich placówek za pomocą dobrze zaprojektowanych gier planszowych. 🍀

Karol Madaj – pracownik BEP IPN, współautor gier edukacyjnych IPN

OKIEM HISTORIA



W najnowszej historii Polski najbardziej dramatycznym wydarzeniem bez wątpienia było Powstanie Warszawskie. Te 63 dni były koronnym dowodem na to, że Polacy „chcą być wolni i wolność sobie zawdzięczać”. Był to także czas, kiedy budowane od 27 września 1939 roku Polskie Państwo Podziemne wyszło z... podziemia. Jednym z najszerzej rozpoznawalnych, choć może nie najważniejszych symboli tych dni była czerwona skrzynka z białym orłem.

Twórcy gry *Mali Powstańcy* skoncentrowali się właśnie na ukazaniu funkcjonowania Harcerskiej Poczty Polowej. Docenić należy zwłaszcza pomysł przybliżenia najmłodszym (gra przeznaczona jest dla graczy od ósmego roku życia) tematyki Powstania Warszawskiego przez pryzmat przygód ich rówieśników. Taka perspektywa zniekształca jednak obraz samego powstania. Nie było ono bowiem, jak może to wynikać z gry, rywalizacją między samymi Polakami (w grze – między poszczególnymi zastępami harcerskimi), podczas której Niemcy czaili się jedynie gdzieś na horyzoncie, ale walką o wolność toczoną na śmierć i życie. Konsekwencją zaś aresztowania nie była jedynie utrata przenoszonych rozkazów i szczęśliwa ucieczka z więzienia, ale – w najlepszym wypadku – wywiezienie do obozu...

Zbyt łatwo w czasie rozgrywki może dojść do sytuacji, kiedy to rywalizacja między „zastępami” niemal całkowicie przesłoni zadanie dostarczenia rozkazów, kluczowe przecież dla przebiegu powstania. Rozgrywka zaczyna zatem bardziej przypominać harcerską zabawę w podchody, w której rywalem są koledzy, co zupełnie odwraca uwagę od kontekstu historycznego. Z drugiej jednak strony trudno też oczekiwać, by w grze dla kilkulatków konsekwencją niepowodzenia była śmierć bohatera. Pomysł z przybliżeniem młodemu człowiekowi wątku dziecięcej poczty w powstańczej Warszawie jest znakomity, choć jak widać, chyba nie do końca dopracowany.

Już tych kilka zastrzeżeń wskazuje, że wartość edukacyjną *Małych Powstańców* przedstawia się niezbyt imponująco, chociaż z pewnością znacznie podnosi ją realistycznie odwzorowana mapa Warszawy, zawierająca kluczowe w czasie okupacji i Powstania Warszawskiego miejsca, takie jak aleja Szucha, Pawiak czy budynek PAST-y.

Z drugiej strony należy stwierdzić, że gra może być dobrą rozrywką nie tylko dla najmłodszych, ale także dla dorosłych. Dodatkowo może stać się inspiracją do zainteresowania się skomplikowaną, ale niezwykle pasjonującą historią Powstania Warszawskiego.

Maciej Żuczkowski – pracownik BEP IPN

Kiedy skandal miał swój smak

„Dzisiaj bez przesady można powiedzieć, iż tamta Polska jest krainą mityczną, słabo opisaną i rzadko zwiedzaną przez nowe pokolenia” – pisał przed trzydnastoma laty Czesław Miłosz we wstępie do swojej *Wyprawy w dwudziestolecie*. Poeta uznawał wprawdzie za naturalne, że pod wpływem doświadczeń czasów PRL „musiało też wkraść się sporo idealizacji w wyobrażenia o Polsce wolnej, przeciwstawianej późniejszemu zniewoleniu”. Ale za swoją powinność uważał odburzenie międzywojnia, tak aby współczesni nie ulegali fascynacji ahistorycznymi mitami, lecz mogli się skonfrontować z całym skomplikowanym obrazem wielkości i małości, chwały i nędzy II RP.

W swojej nowej książce *Afery i skandale Drugiej Rzeczypospolitej*, w jakiejś mierze czerpiącej z tamtej głośniejszej antologii Miłosza, Sławomir Koper idzie jeszcze dalej, bo ogranicza się do samych tylko ciemnych spraw dwudziestolecia. Na próbę oddania sprawiedliwości przynajmniej osiągnięciom gospodarczym i kulturalnym, z którą mieliśmy do czynienia w *Wyprawie*, tutaj nie ma już miejsca. Autor przedstawia międzywojenną Polskę wyłącznie od strony morderstw politycznych, afer gospodarczych i skandali obyczajowych, ograniczania wolności i nasilania się tendencji autorytarnych.

Paradoks polega jednak na tym, że *Afery i skandale* ukazały się jako kolejny tom w poczytnej serii Bellony poświęconej właśnie polskiemu dwudziestolecu i ewidentnie odwołującej się do żywej wciąż legendy II RP. Autor i wydawca zdają sobie sprawę z tego, czego u schyłku zeszłego stulecia nie wiedział chyba jeszcze noblista: że jeśli czytelnik sięgnie po książkę ukazującą międzywojnie w niekorzystnym świetle, to i tak nie po to, aby nabrać doń krytycznego dystansu, lecz raczej by – choć nieco perwersyjnie – nadal karmić własne sentymenty wobec dawnych pięknych czasów. Różnica dzieląca obydwu autorów jest więc ostatecznie taka, że o ile Miłosz, patrząc na nieprzewycięzoną słabość rodaków do Polski dwudziestolecia, przewraca się w grobie, o tyle Koper odwołuje się do tej właśnie słabości, mierząc w listę bestsellerów.

Kreślony piórem Kopera wizerunek Drugiej Rzeczypospolitej, oglądanej przez pryzmat Brześcia i Berezy, robi wrażenie chwilami groźne, a chwilami operetkowe. Dawni pepeesowscy towarzysze i legionowi podkomendni Piłsudskiego bezpardonowo bronią własnego stanu posiadania, łamiąc kręgosłupy sądom i sejmom, tak jakby to ich dewizą było: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. Z kolei opozycja z prawa i lewa pozostaje bezsilna, sparaliżowana przez urastającą do półboskich rozmiarów postać Marszałka. Obezwładnia ją też nieziszczalne marzenie o rządach wcale nie bardziej demokratycznych niż sanacyjne, ale wykorzystanych do zaprowadzenia własnych porządków. Wszystkie stronnictwa polityczne łączy zaś brutalny język propagandy i skłonność do akceptowania przemocy, jeśli tylko stosują ją ich zwolennicy, a nie rywale.

Zgodnie z heglowską dialektyką dziejów zwalczające się kierunki z czasem coraz bardziej upodabniały się do siebie nawzajem, co lapidarnie, choć nie bez pewnej stronnictwością skwitował Antoni Słonimski słowami: „Gdy skończył się świat szwoleżerów, niektórzy bojowcy zbliżyli się do bojówkarzy”. Palkarzy spod znaku ONR-u ani antyżydowskich hec urządzanych przez korporantów na uniwersytetach nie zobaczymy u Kopra wielu, co nawet trochę dziwi. Raz po raz wracają za to sceny z udziałem, jak ich nazywa autor, „bandytów w mundurach”, czyli oficerów występujących w roli bezkarnych „nieznanych sultawców” pobić i uprowadzeń. Jednocześnie ci sami ludzie kulturową zwyżką – oficjalnie nielegalny – pojedynkowania się, a nawet miewają czelność odmawiać swoim przeciwnikom zdolności honorowej. Wylaniający się z książki obraz międzywojennej Polski jest bowiem bardzo sugestywny i dalece odbiega od kossakowskich pejzaży z ułanem konno goniącym bolszewika i wspartym na białych kolumnach gankiem ziemiańskiego dworku.

Od sponiewierania etosu wojskowego i patriotycznego już w kilka lat po wojnie z Sowiecami – największej polskiej wiktorii w wieku XX, która zapewniła armii popularność na długie dekady, a może i dzisiaj nie pozostaje tylko martwym podręcznikowym faktem – smutniejszy jest tylko wrześnieowy finał II RP. Koper często podąża za analizami Stanisława Cata-Mackiewicza, bezpardonowego w ocenie sterników – Rydza, Mościckiego i Becka – którzy wiodąc nawę państwową ku nieuchronnej klęsce, niedostatki własnej polityki pokrywali frazesami o honorze i mocarstwowości. Pozbawiony głębszego przygotowania czytelnik masowy, do którego adresowane są *Afery i skandale*, po lekturze może zapytać, czy jest tu właściwie czego żalować. I za odpowiedź na to dramatyczne pytanie raczej nie starczy mu fakt, że tytułowe skandale i afery miały wtedy swój smak właśnie dzięki temu, że działy się w epoce, kiedy nie umiano obywać się bez wzniosłych dekoracji, mimo że skrywała się za nimi ponadczasowa arcyludzka marność.

Sławomir Koper zatem nie pomaga nam zmierzyć się z zagadką popularności II RP, ale też jego książka nie ma ambicji być czymś więcej niż tylko czytadłem historycznym. I to zadanie spełnia przyzwoicie, pomimo że autor nie zawsze jest *au courant* z literaturą przedmiotu, a sądząc po bibliografii, głównym źródłem wiedzy pozostają prace Andrzeja Garlickiego sprzed trzydziestu lat. Szkoda zwłaszcza, że gdy Koper pisze o zaginięciu generała Zagórskiego, nie zna ani monografii Piotra Kowalskiego sprzed kilku lat, ani hipotez, które w tej sprawie wysunął rok temu Rafał Jabłoński na łamach „Życia Warszawy”.

Zdecydowanie z rezerwą trzeba też traktować ustępy dotyczące roli Kościół w życiu społeczno-politycznym międzywojennej Polski. Nie ma ich na szczęście zbyt wiele, ale i tak zdradzają *idée fixe* autora. Gdyby bowiem dać wiarę, że – jak twierdzi Koper za Dawidem Ropuszyńskim z portalu racjonalista.pl – kler katolicki miał „dominującą pozycję” pod reżimem konkordatu umożliwiającego prezydentowi RP wetowanie kandydatur przy obsadzie stolic biskupich, to w jakim ustroju żyjemy dzisiaj, gdy władzom świeckiego państwa przysługują dalece mniejsze uprawnienia? ■



Sławomir Koper, *Afery i skandale Drugiej Rzeczypospolitej*, Bellona / Rytm, Warszawa 2011, ss. 360

Wymazywanie z pamięci

Dla czytelnika przyzwyczajonego do tego, że publikacje IPN poświęcone są najnowszej historii Polski, książka *Damnatio memoriae w europejskiej kulturze politycznej* będzie niemałym zaskoczeniem. W całkiem pokażnej części dotyczy bowiem starożytności. To właśnie w tamtej epoce, w świecie rzymskim, rozpowszechniła się metoda usuwania na zawsze ze zbiorowej pamięci ludzi, którzy zostali oskarżeni o zdradę stanu i uznani za wrogów państwa. *Damnatio memoriae*, czyli skazanie na niepamięć, to praktyka, którą stosowano wobec władców i dygnitarzy. Niszczono ich wizerunki, skuwano nazwiska, wykreślano je z dokumentów, odmawiano prawa do grobu. Po wiekach, w ustroju komunistycznym, robiono to samo.

Spośród wielu artykułów składających się na książkę kilka dotyczy wypaczania i fałszowania pamięci w XX wieku, m.in. o polskim wkładzie w złamanie kodu Enigmy, żydowskich ofiarach Auschwitz, Żołnierzach Wykłych, Powstaniu Warszawskim. Usuwano i marginalizowano prawdę o ludziach i wydarzeniach, a niekiedy zastępowano ją – jak w przypadku żołnierzy antykomunistycznego podziemia – czarną legendą.



Damnatio memoriae w europejskiej kulturze politycznej, red. Renata Gałaj-Dempniak, Danuta Okoń, Magdalena Semczyszyn, IPN, Szczecin 2011, ss. 308

Jeden z artykułów, autorstwa Renaty Gałaj-Dempniak, opisuje polityczną burzę wokół katastrofy piławieckiej, czyli chaosu i panicznej ucieczki polskiego wojska z pola bitwy podczas powstania Chmielnickiego w 1648 roku. Była próba osądzenia winnych tej bezprzykładnej kompromitacji. Wskazywano na regimentarzy, próbowano wykluczyć z grona posłów tych, którzy byli pod Piławcami. Wokół sprawy Piławiec toczyła się ostra rozgrywka polityczna, były przejawy nienawiści do ludzi posądzanych o klęskę. Skończyło się na niczym. „Elity pragnęły uniknąć odpowiedzialności za porażkę. Można zadać pytanie, czy do tuszowania i wyciszania sprawy prowadził rozsądek, czy strach przed nieprzewidywanymi konsekwencjami śledztwa” – pisze Gałaj-Dempniak. Hańbę katastrofy piławieckiej starano się wymazać z pamięci. W dwa lata po Piławcach Sejm zakazał używania terminu „szlachta ukraińska” i „szlachta ukraińska”, aby nie przypominać niesławnych wydarzeń. Jednak, jak stwierdza autorka, nierozliczenie się z przeszłością nie przyniosło państwu niczego dobrego. Umocniło się bowiem przekonanie, że jeśli jest wielu winnych, występki pozostanie nieukarane. 📌

Tomasz Stańczyk

Ludzie drugiego obiegu

Autor porusza temat, o którym dużo napisano. Nielegalne książki i czasopisma zwracały uwagę badaczy od czasu, gdy tylko się pojawiła ich kolejna fala w dziejach Polski. Poza wszystkim zwłaszcza książki były często elementem obiegu myśli inteligencji, a więc ludzi o działaniach dość dobrze dokumentowanych w źródłach, także takich, którzy potem sami pisali o przeżytych czasach. Z nielegalnym drukiem można było się zapoznać przy stosunkowo niewielkim ryzyku. Drugoobiegowe publikacje były też czymś wymiernym, materialnie lepiej widocznym i sprawdzalnym niż nastroje. Zachód je zauważał. Wszystko to sprawiło, że w wielu opracowaniach jest o nich mowa. Licznych historyków i historyków literatury zainteresowała też treść publikacji „drugiego obiegu”.

Napisanie w tych warunkach czegoś nowego i ciekawego nie było łatwe. Autorowi udało się tego dokazać, gdyż spojrzął na specyficzny aspekt rozpatrywanych zagadnień. Przystudiował mianowicie społeczne uwarunkowania zjawiska nielegalnej książki. Poszedł w kierunku, który jest bardzo cenny w historiografii: przyglądania się historii jako historii ludzi. W pewnym momencie pojawiły się wśród nas nie abstrakcyjne, nielegalne książki z księżycą, ale konkretne produkty,



Paweł Sowiński, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977-1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2011, ss. 367

które ktoś wytworzył (zdobył papier, farbę, środki poligraficzne), a ktoś rozprowadzał. Ludzie pracujący nad nimi wchodzili we wzajemne stosunki, druki rozchodziły się na swego rodzaju rynku, musiały się bilansować ekonomicznie. Wydawano je, kierując się jakimiś przesłankami lub/i kryteriami. Co nie najmniej ważne, ktoś też w końcu zwałczał „drugiego obiegu”.

Właśnie takimi zagadnieniami zajmuje się w swoim studium dr Sowiński. Porównywalne problemy badano w odniesieniu do dawniejszych czasów, zwłaszcza w odniesieniu do epoki Rewolucji Francuskiej. Nawiasem mówiąc, badacze tamtego casusu też pokazali, jak wielką rolę odegrało pojawienie się zjawiska wolnego druku w przełamywaniu monopolu władzy i tworzeniu jednej z wielu w dziejach edycji wolności. W odniesieniu do burzenia komunistycznego *ancien régime* raczej nie studiowano społecznych aspektów i skutków nielegalnego drukarstwa. Zrobił to właśnie Paweł Sowiński. Uczynił to ciekawie zarówno w wymiarze badawczo-zawodowym, jak pod względem stylu referowania wyników. 📌

Marcin Kula



■ Krystyna Bień-Orlicz, *O sprawiedliwy wymiar kary. Losy organizacji niepodległościowej Ludwika Machalskiego ps. „Mnich”*, IPN, Kraków 2012, ss. 262.



■ Paulina Codogni, *Wybory czerwcowe 1989 roku*, IPN, Warszawa 2012, ss. 376.



■ *Dokumenty Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” (1980–1981)*, oprac. T. Kozłowski, M. Owsiański, IPN, Warszawa 2012, ss. 344.



■ Tomasz Domański, Andrzej Jankowski, *Represje niemieckie na wsi kieleckiej 1939–1945*, IPN, Kielce 2011, ss. 421.



■ Przemysław Gasztold-Señ, *Koncesjonowany nacjonalizm. Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” 1980–1990*, IPN, Warszawa 2012, ss. 448.



■ Janina Fieldorf, *Los już mną zawładnął... Wspomnienia*, oprac. A. Dymek, J. Jurach, K. Lisiecki, IPN, Gdańsk 2012, ss. 216.



■ Janusz Kaliński, *Gospodarka w PRL*, IPN, Warszawa 2012, ss. 126.



■ Elżbieta Kowalczyk, Katarzyna Pawlicka, *Działalność Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na m.st. Warszawę (1944–1954)*, „Warszawa Nie? Pokonana”, t. 3, IPN, Warszawa 2011, ss. 656.



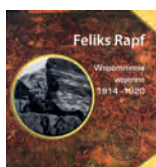
■ „Pamięć i Sprawiedliwość. Pismo naukowe poświęcone historii najnowszej”, nr 2 (18) 2011.



■ *Powiat Siedlce w pierwszej dekadzie rządów komunistycznych*, „Mazowsze i Podlasie w ogniu 1944–1956”, t. 4, red. K. Krajewski, IPN, Oficyna Wydawnicza Rytm, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Warszawa 2012, ss. 784.



■ *PRL – „normalny” kraj*, red F. Musiał, J. Szarek, IPN Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2012, ss. 151.



■ Feliks Raph, *Wspomnienia wojenne 1914–1920*, red. D. Golik, IPN Kraków, Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu, Dom Wydawniczy „Rafael”, Kraków 2012, ss. 154.



■ *Spętana Akademia. Polska Akademia Nauk w dokumentach władz PRL*, oprac. P. Pleskot, T.P. Rutkowski, Warszawa 2012, ss. 896.



■ *Stanisław Mierzwa 1905–1985. Ludowiec i działacz niepodległościowy*, red. M. Szpytma, IPN Kraków, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Wydział Historyczny UJ, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa w Wierchosławicach, Warszawa – Kraków 2011, ss. 347.



■ „*Śmierci się z nas nikt nie boi*”. Listy kapłanów archidiecezji wileńskiej z ZSRS, oprac. ks. A. Szot, W.F. Wilczewski, IPN, Białystok 2012, ss. 400.



■ Sławomir Zajęczkowski, Krzysztof Wyrzykowski, „Orlik” Marian Bernaciak, *Wilcze tropy*, z. 2, IPN, Warszawa 2011, ss. 40.



■ Dominik Zamiatła, *Zakony męskie w polityce władz komunistycznych w Polsce w latach 1945–1989, t. 2: Działalność duszpasterska i społeczna zakonów w latach 1945–1989*, IPN, Warszawa 2012, ss. 376.



■ *Zbrodnie przeszłości. Opracowania i materiały prokuratorów IPN, t. 4: Ściganie*, red. R. Ignatiew, A. Kura, IPN, Warszawa 2012, ss. 124.



■ Marcin Krzanicki, *Komiks w PRL, PRL w komiksie*, IPN, Rzeszów 2012, ss. 174.

Szczyt rozrzutności: podłożyć komuś świnię...

Najbogatszą chyba grupę tematyczną wśród kawałów politycznych poświęconych funkcjonowaniu peerelowskiej gospodarki zajmowały te dotyczące braków w zaopatrzeniu, w szczególności zaś niedoboru mięsa i jego przetworów. Powody tych braków dla społeczności kolejkowej były oczywiste – realizacja utopijnych założeń ideologii komunistycznej:

Socjalizm, komunizm i kapitalizm umówili się na spotkanie. Kapitalizm i komunizm czekają w umówionym miejscu. Wreszcie wpada socjalizm i mówi: - Przepraszam za spóźnienie, ale stałem w kolejce po mięso. - A co to jest kolejka? - pyta kapitalizm. - A co to jest mięso? - pyta komunizm.

Wraz z pogarszaniem się sytuacji gospodarczej w latach osiemdziesiątych zwiększała się także gorycz żartów. Wchodząc w poetykę ówczesnych dowcipów, można powiedzieć, że brak mięsa nie przesłonił Polakom innych braków w zaopatrzeniu.

Dlaczego nie ma ryb na rynku? Aby odwrócić uwagę od braku mięsa.

Oznaka sklerozy: gdy stoisz przed sklepem z pustymi siatkami i nie wiesz, czy przyszedłś po zakupy, czy z nich wracasz.

W propagandzie komunistycznej były to jednak „przejsiowe trudności”, które miały zniknąć tym szybciej, im szybciej PRL stanie się państwem w pełni socjalistycznym. Służyć temu miały kolejne plany gospodarcze, etapy reform, „wdrożenia”... Szkoda tylko, że polska gospodarka gnała ku świetlanej wizji dobrobytu tylko na papierze – co oczywiście celnie skomentowali bywalcy kolejek:

Dlaczego nie ma mięsa? Dlatego, że nawet byłoby nie nadąza, tak szybko idziemy do socjalizmu.

Dlaczego w Polsce nie ma mięsa? Bo mamy Świnoujście, a nie mamy Świnodojścia.

Wprawdzie to nie przez port w Świnoujściu szły transporty produktów żywnościowych eksportowanych z Polski do „bratnich państw socjalistycznych”, ale społeczeństwo było pewne, że owo „Świnodojście” musi zapewne znajdować się gdzieś na linii brzegowej Związku Radzieckiego...

Permanentne kłopoty z zakupem mięsa były stałym tematem polskich kawałów politycznych przez cały okres PRL. W każdym sklepie wśród pustych haków wisiało za to na wyekspozowanym miejscu godło państwowe:

W sklepie mięsny: - Pół kilograma zwyczajnej poproszę - mówi klient. - Nie ma - odpowiada ekspedientka. - To poproszę pół kilo parówkowej. - Też nie ma. - A co pani ma? - To, co pan widzi. Klient rozgląda się po sklepie i mówi: Poproszę pół orła.

Symbolem – nawet państwowym – człowiek się nie naje, szczególnie że orzeł bez korony Polacy uznawali za „towa” wybrakowany. Puste haki w sklepach mięsnych czasów stanu wojennego dość szybko zostały porównane do rezultatów pokonania Japonii w 1945 roku. W tym kontekście hasło „budowania w Polsce drugiej Japonii”, rzucone w latach siedemdziesiątych przez władze (a później podjęte przez Lecha Wałęsę), mogło zabrzmieć jak groźne memento:

Nagasaki - rezultat wojskowych rządów w Japonii. Nagie haki - rezultat wojskowych rządów w Polsce.

Okazją do tworzenia kawałów były bieżące wydarzenia. Gdy w końcu lat pięćdziesiątych PRL zgłosiła czysto propagandową inicjatywę utworzenia strefy bezatomowej w Europie Środkowej, ulica szybko to złośliwie skomentowała:

Na sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych Polska ma wystąpić z propozycją utworzenia strefy bezmięsnej w Europie Środkowej.

Polacy często wspominali okres II Rzeczypospolitej, bezpodstawnie mitologizując przedwojenny dobrobyt i zestawiając go z powojenną biedą.

Przed wojną nad sklepami mięsnymi był napis „Rzeźnik” i w środku było mięso, natomiast w Polsce Ludowej zamontowano neony „Mięso”, a w środku jest tylko rzeźnik.

W tej nienormalnej sytuacji hierarchią społeczną zaczynały rządzić nienormalne reguły. Wobec trudnej dostępności mięsa i wędlin siłą rzeczy uczestniczący w dystrybuowaniu tych towarów pracownicy sklepów mięsnych, stawali się osobami poważanymi szanowanymi i wpływowymi.

W tramwaju warszawskim awantura. Starszy, dystyngowany pan krzyczy: Pan nie wie, kto ja jestem! Jestem kierownikiem sklepu mięsnego! Stojący obok pasażer zwraca się do towarzysza: To znany profesor uniwersytetu. Tylko że ostatnio cierpi na manię wielkości.

AZ



„Kolejka” daleko wychodzi poza bycie tylko grą,
to raczej kapitalna metafora. Nie wyobrażam sobie
celniejszego przełożenia gospodarki PRL-u na zbiór reguł.

Maciej Kasprzyk, e-czaskultura.pl



Gry szukaj w dobrych sklepach
z grami planszowymi
oraz w punktach sprzedaży IPN,
tel. 22 576 30 06, 22 581 88 72.

Więcej o projektach BEP IPN:
www.ipn.gov.pl/gry
oraz www.ipn.gov.pl/edukacja